

Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzyzwoite, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.

CENA 15,80 zł w tym 8% VAT NR 32-33 (1768-1769) 9-22 sierpnia 2024



nr indeksu 367125 ISSN 0867-2237



nie@redakcja.nie.com.pl www.tygodniknie.pl Tygodnik NIE Tygodnik NIE

Z URNY URBANA

Skoro nadszedł 15 sierpnia, to nie może być inaczej: felieton Urbana dotyczący wydarzeń z 1920 r. napisany w czerwcu 2012 r.

Jak Piłsudski pomagał bolszewikom



URBAN

W numerze:

3: Polski mit zbudowany na bolszewickich przechwałkach – czy Piłsudski naprawdę uratował Europę przed bolszewicką nawałą?

4: Twoja pleć, nie twoja rzecz – jak Ordo Iuris chce zabronić tranżycji dorośłym, łżąc, że chodzi o dzieci

5: Ręce precz od PKW – czy Komisja naprawdę powinna orzekać tak, jak woła lud?

6-7: Święta krowa polskich mediów – dlaczego Indie nie są na cenzurowanym (a powinny); **Ostateczne rozwiązanie** – jak Niedzielski do spółki z Leszczyną wykańczają chorych na raka; **Promocja nicości** – młodzi woła lewicę od prawicy, olaboga!

8: Czym jest dobro? – czyli wyrzucie z głowy celebrytów; **Terfy z PiS** – dlaczego prawacy szukają mężczyzn w kobietach

9: Olimp idiotyzmu – niech nas Nieistniejący chroni przed igrzyskami

10-11: Struganie biskupa – skąd się biorą oberpasterze?

12: Z Kościołem kopię się od lat – wywiad z Arturem Nowakiem, autorem książki „Plebania”

13: W dziób od pingwina – jak biją zakonnice; **Wesoła plebania** – nasz pomysł na nowy serial oparty na faktach

14-15: Ruskie onuce wymienię – czy barter więźniów jest etyczny?; **Fuck USA** – Ameryka nie jest rajem dla pracownika; **Stany Zjednoczone Republik Radzieckich** – symetryzm na osi świata

16-17: Blog wszystkich świętych by błagier Urban – czyli wspominamy tysego

18: Boruta ostrzy kły – życie Zgierz; **Kupa mięci Polaka-papierzaka** – o polskiej kulturze defekacji

19: Dziurę w ziemi sprzedam – na pohybel deweloperom, czyli za komunę było lepiej

20-21: Bezkarność dwóch pedałów – precz z cyklistami!

22: Żeby dziadek zjadł obiad – w żadnym wypadku nie konsultuj się z farmaceutą!

23: Zdrowie tanio sprzedam – medycyna alternatywna nie leczy głupoty

24: Łęki nasze powszednie – jest się czego bać, ale nie warto; **Jak zrobić typiara** – czego młodzieńcy nie wiedzą o kobietach

25: Teoria Mittelstaedta – czy liberałka może z konserwatystą?

26-27: Wakacje z syfami – krótka lista przebojów wenerycznych; **Polska uśmiechnięta kontra Polska szczerbata** – zęby to kwestia klasowa; **A rzucić to wszystko** – groza urlopowia

28-29: Wędrująca Europa – nie bójmy się migracji; **Pomór z bożą pomocą** – jak Anglicy wykończyli półtora miliona Irlandczyków niewidzialną ręką wolnego rynku

30: Od punkowca do pisowca – co się stało z „Kodymem” Kodymowskim; **Krakowski bluźnierca** – herezje prof. Andrzeja Romanowskiego

31: Bule, żużel, cymborgaj – wreszcie nie o igrzyskach w Paryżu

A poza tym, to co zwykle.

Następný, pojedynczy numer NIE będzie w kioskach dopiero 23 sierpnia. Czytajcie zatem powoli i uważnie.



O wojnie Polski z Rosją radziecką to tylko wiemy, że ruszyła szarża ułanów Jerzego Hoffmana i Józefa Piłsudskiego, a książd Skorupka zrobił im cud nad Wisłą. Polityczne kulisy zdarzeń są mniej znane, choć ciekawsze. Wacław Solski uczłowiecza je w „Moich wspomnieniach” wydanych w latach 70. przez „Kulturę” paryską.

Solski był Polakiem, łodzianinem, komunistą, uczestnikiem radzieckiej delegacji na rozmowy pokojowe z Polską. Jest chyba najbardziej bezstronnym ich obserwatorem, gdyż kilka lat po zawarciu pokoju emigrował z Rosji Radzieckiej do Niemiec i przystał do antykomunistów socjalistycznej barwy. Wówczas spisał wspomnienia. Żadnych rewelacji nie odkrywa, ale maluje, co pamięta.

Dr Julian Marchlewski był to Polak, intelektualista i komunista. Stał on na czele komitetu, który w razie zwycięstwa Tuchaczewskiego miał objąć władzę w Polsce. Przed wybuchem konfliktu zbrojnego Marchlewski w 1919 r. tajnie przyjeżdżał do Warszawy. Przez granicę przeprowadzali go oficerowie II Oddziału polskiego Sztabu Generalnego (wywiad i kontrwywiad). Marchlewski był wysłannikiem Lenina. Prowadził tajne rokowania z Piłsudskim i jego współpracownikami Hołówką i Boernerem, dawnym antycarskim bojowcem socjalistycznym.

Lenin w liście do Piłsudskiego pisał, że chce pokoji. Piłsudski wywodził w dopowiedzi, że „w każdym razie nie zamierza rozbić bolszewików na korzyść Denikina”.

Biali gen. Denikin stał na czele Armii Ochotniczej i wojsk kozackich. Zajmował Krym i wielkie połacie południowo-wschodniej Ukrainy. Rozpoczął marsz na Moskwę. Stworzenie państwa polskiego uważał za rozbiór Rosji. Biali podkreślali, że walczą o niepodzielną Rosję, to znaczy w granicach sprzed 1914 r. Piłsudski uważał Denikina i innych dowódców białych armii za

groźniejszych wrogów Polski niż bolszewicy i nie wiązał walkami Armii Czerwonej, dopóki nie pokonała rosyjskich antykomunistów – wrogów wewnętrznych. Rosyjscy historycy trafnie uważają, tak jak Solski, że Piłsudski silnie się przyczynił do klęski Denikina i jego następcy Wrangla. Niedobitki ich wojsk odpłynęły do Turcji.

Od 21 września 1920 r. pokojowe rozmowy polsko-radzieckie toczyły się w Rydze i Solski brał w nich udział. Powiada, że w radzieckiej delegacji było aż 10 Polaków. Wymienia z nazwiska Aleksandra Daniszewskiego, Juliana Leszczyńskiego, Jakubowicza z Warszawy, syna polskiego polityka Patka, Jana Lorentza z Łodzi, Juliana Rosenblatta, niekomunistę z Warszawy i siebie. Bawiła też w Rydze Stefania Sempołowska zabiegająca o sprawy humanitarne i obie delegacje traktowały ją jak swoją. W rosyjskiej delegacji rdzenną osobliwością był książę Oboleński.

Negocjatorzy obu stron biegle znali rosyjski. Jedną z komisji obradowała po polsku, gdyż obie strony władzy tym językiem jako macierzystym. Kiedy delegat Polski przemówił do radzieckich negocjatorów po rosyjsku, ci obrazili się i zagrozili, że zaczną do komunistów mówić po polsku. Tylko w jednej komisji językiem wspólnym obu stron był niemiecki. Zajmowała się ona ustaleniem granic państwowych. Polacy żądali Mińska i to była ostatnia sporna sprawa terytorialna. W końcu Polska zrezygnowała z Mińska. „Nie warto wojować z rządem, który godzi się na granice Polski na wschodzie, a pomagać w instalowaniu starych władców, którzy nasze rozmowy nazywają rozbiorem Rosji” – mówił w przemówieniu końcowym Jan Dębski, przewodniczący polskiej delegacji.

Solski opisuje, że w Rydze pomiędzy uczestnikami rozmów obu stron na gruncie towarzyskim panowała atmosfera koleżeńska, pili raz, mając wspólne wspomnienia i przyjaciół. Na

WOJNA DOMOWA

Państwowa Komisja Wyborcza odczytała do 29 sierpnia podjęcie decyzji w sprawie sprawozdania finansowego Komitetu Wyborczego PiS. Podniecenie prorządowych mediów sięga zenitu. Są dobre wiadomości – jeden z portali uzyskał tajną wiedzę, że odrzuci; ale są i złe – a mianowicie, że Fundusz Sprawiedliwości nie będzie brany pod uwagę. Wprawdzie nie ma sposobu, żeby na gruncie obecnego prawa uznać wozy strażackie i garnki dla gospodyń wiejskich za zakupy dokonane przez komitet wyborczy, ale poczucie niesprawiedliwości pozostaje. Choć są tacy, którzy okazują spokój. „Jeśli ten dodatkowy czas ma pomóc PKW podjąć decyzję, że za oszustwa należy karać oszustów, to ja wytrzymam dodatkowy miesiąc” – oświadczyła heroicznie Barbara Nowacka. Inny punkt widzenia prezentuje eksminister Kierwiński: „PKW musi stanąć na wysokości zadania, inaczej stwierdzę, że ta Temida jest po prostu ślepa”. Może ktoś wytłumaczyłby europosłowi, że w przypadku Temidy ślepotą nie jest zarzutem?

Drugim źródłem powszechnej ekscytacji jest sprawa „wymiany więźniów” z Putinem: za ośmiu ruskich szpionów, w tym jednego zabójcę na usługach FSB, Zachód dostał 16 zupełnie niewinnych osób, co ma uzasadniać kurs 2:1. Jeden ze szpionów użytych w wymianie pochodził z polskich zapasów. Był to niejaki Pablo González, hiszpański dziennikarz, w Polsce przedstawiany jako ruski szpieg Paweł Rubcow: urodzony w Moskwie wnuk jednego z dzieci ewakuowanych do ZSRR w trakcie hiszpańskiej wojny domowej. Po rozwodzie rodziców, González wraz z matką przeniósł się do Hiszpanii. Miał dziewięć lat, ale najwyraźniej już był zwerbowany przez GRU i dla niepoznaki od razu zmienił nazwisko na hiszpańskie. Aresztowany w Przemyslu trzy dni po ataku Rosji na Ukrainę, przesiedział 2,5 roku bez postawienia zarzutów; upominała się o niego m.in. Amnesty International. Teraz opozycja jest oburzona, że nie dostaliśmy za niego Poczobutta. „Hańba” – ogłosił Mariusz Kamiński, dodając że do Poczobutta

powinni byli nam dorzucić „posiadającego Kartę Polaka Rosjanina W. skazanego na 12 lat łagru za współpracę z polskimi służbami”. Tak dla jasności: on był tylko „skazany” za współpracę, czy może był – jakby to ująć – polskim szpiegiem w Rosji?

Głos zabrał europoseł Obajtek. Orzekł, że z pieniędzy Orlenu „w ciągu 8 lat za czasów Platformy przeznaczono na zadania społeczne 60 milionów, a w ciągu naszych 8 lat przeznacziliśmy ponad 1,3 miliarda na zadania społeczne”. I dodał zaczepnie: „Czy to że budowaliśmy hospicja, wspieraliśmy różnego rodzaju zadania społeczne, to teraz będziemy rozliczać, czy w tym regionie był ktoś z władarzy, kto lubił PiS, czy nie lubił PiS, czy w tym regionie był poseł który był z PiS-u, czy nie był z PiS-u?”. Śmieszność polega na tym że nawet nie to jest najważniejsze. Ważniejsze jest to, iż w Europie XXI wieku istnieje taki dziwny zwyczaj, że politykę społeczną prowadzi państwo zgodnie z ustawą budżetową przyjętą przez parlament, a nie prezesi państwowych spółek, za pieniądze de facto państwowe, wedle uważania. Fakt, że to uważanie miało na szczególnej uwadze okręgi wyborcze kolegów prezesa, jest tylko wisienką na torcie.

Janusz Kowalski opublikował nagranie. „Popelniliśmy wiele błędów, sam oczywiście popelniałem błędy, za które przeprosiliśmy, za które przepraszamy każdego dnia” – ogłosił czołowy ziobrysta. „Trzeba przeprosić za to, jak często źle traktowaliśmy również ówczesną opozycję”. Antypis zatrząsł się ze śmiechu; a nam się przypomniały słowa innego młodego posła prawicy, akurat sprzed ćwierćwiecza: „Niektóre moje wypowiedzi na tej sali mogły być odebrane przez moich politycznych adwersarzy jako niepotrzebna agresja. Chcę powiedzieć, że za te moje wypowiedzi przepraszam tych wszystkich, którzy poczuli się urażeni. Nie jestem człowiekiem, który żywiłby do poglądów lewicowych pogardę i nienawiść. Bardzo wielu ludzi w polskiej historii reprezentujących wartości lewicowe szanuję”. Był to poseł, który wcześniej pielgrzymował do Pinocheta z ryngrafem z Matką Boską, a potem mówił z trybuny do posłów SLD: „Jak na was patrzę, panowie, to wiem, że o generale Pinochecie nie trzeba mówić, tylko go trzeba naśladować”. Jego nazwisko: Michał Kamiński. Najdłuższa droga do dostatniego centrum zaczyna się od pierwszego kroku.

AWŁ

PRASA ŚNIADANIOWA

Resort finansów zapewnił, że nie chce obciążać podatkiem krzyży, figurek świętych i kapliczek. To, że wśród wymienionych nie ma krasnali ogrodowych jest niepokojące.

Francuzi zainicjowali światowy różaniec wynagradzający za bluźniercze otwarcie igrzysk. Cały świat modli się o bolesną śmierć gościa pomalowanego na niebiesko.

Rafał Trzaskowski powiedział, że sam by poszedł do walki w powstaniu warszawskim. Poszedł, nie poszedł, ale focia w mundurze na pewno by była.

MARTA M.

Tylko dwóch kandydatów zgłosiło się w naborze do toruńskiego seminarium. Obydwal są agentami skarbówki.

Antonii Macierewicz powiedział, że Tusk chce przekazywać Polakom tradycje niemieckie. Tusk zamierza przekazać Polakom niemiecki przepis na gulasz z kłuskami ziemniaczanymi.

„Nasz Dziennik” ostrzega przed seksualizacją dzieci poprzez szczepionkę na HPV. Słusznie, po to Bóg dał kobietom macice, aby umierały na jej raka.

Jaką konkurencję sportową należałoby stworzyć, żeby Polacy byli w niej najlepsi?

Facebook

Taki Michau: Rozkładanie parawanów na plaży na czas – na wynik oczywiście ma wpływ rozłożenie punkt o wschodzie słońca.

Klaudia Kitińska: Wypowiadanie się na tematy, na których się nie znamy.

Kamil Duszak: Wyprowadzanie publicznej kasy na lewo i prawo stylem dowolnym, na czas. Konkurencja zarówno indywidualna jak i drużynowa (zorganizowane grupy przestępcze).

Hanna Grzegorzczak: Narzekanie.

Mateusz Rajkowski: Pokazywanie palcem, zbieranie grzybów, wspinaczka po kablu od internetu, bieg slalomem, rzut młotem w elgiebety, kolarstwo nocne pod wpływem.

Jacek Karczmietowicz: Pielgrzymki.

Maciej Dadej: Maraton czytania kazań.

TRYBUNA LUDZI

Jakub Chitrosz: Wyciągi barek.

Łukasz Owczarczyk: Obgadywanie stylem klasycznym.

Eugeniusz Rezmier: Bicie piany.

Barbara Zet: Kąsanie bliźnich na czas.

Karolina Jędrzejczak: Uśmiechanie po polsku.

Piotr Bukszyński: Kłękanie na czas.

Waldemar Szul: Konkurencja: jak spierdolić to, w czym jesteśmy dobrzy.

Wojciech Skold: Bieg w kłapkach przez przeszkody.

Michał Czarnowski: Bieg na kolanach w Licheniu.

Bogumił Woźniakowski: Łapanie wafelka – Anżej mistrzem olimpijskim.

Grzegorz Kapelak: Konkurencja „niestety”.

Andrzej Wiszniewicz: Klaskanie po wyładowaniu.

Forum

Arend: W opierdalaniu na czas.

Piłsudski nie uważał się za zbawiciela Europy. Był na to zbyt poważny.

Polski mīt zbudowany na bolszewickich przechwałkach

Dzień Wojska Polskiego ożywi pamięć o Bitwie Warszawskiej 1920 r. Była to niewątpliwie największa i najważniejsza dla odradzającej się Polski konfrontacja wojenna. Niespełna dwa lata po odzyskaniu niepodległości nad Wisłą stanęła 120-tysięczna armia Rosji Radzieckiej dowodzona przez utalentowanego oficera byłej carskiej armii Michaiła Tuchaczewskiego. Wyszła ta armia na rubież Wisły w pościgu za cofającymi się pośpiesznie z Ukrainy wojskami polskimi i szykowała się do ustanowienia w Polsce *manu militari* kolejnej Republiki Rad.

Bitwa niewarszawska

Rząd tej republiki już osiadł w Wyszkwowie. Na czele władze czerwonego Kremla postawiły kogo miały: Juliana Marchlewskiego, sympatyzującego raczej z niemieckim niż polskim ruchem komunistycznym oraz całkowicie zrzuconego szlacheckiego syna Feliksa Dzierżyńskiego, czynnego w radzieckich strukturach policyjnych. Jemu w dwa lata później Lenin rzucił w twarz obelgę: „Zruszczony obcoplemieniec, teraz popisuje się rdzennie ruskim nastrojem!”. Dość marni to kandydaci na wodzów Czerwonej Polski, ale innych nie było.

Nad młodą Polską zawisło wielkie niebezpieczeństwo – utraty niepodległości. Naród był tego świadomy, ożywienie patriotyczne ogromne, napływ ochotników do armii znaczny. Do obrony przed inwazją ówczesna Polska wystawiła na froncie głównym od Zamościa do Torunia siły mniej więcej równoważne siłom Tuchaczewskiego, a dodatkowo na południu, w obronie Lwowa, około 50 tys.

Bitwa rozegrała się między 13 i 25 sierpnia i zakończyła się całkowitym polskim zwycięstwem. Choć nazwano ją warszawską, najważniejsze boje stoczono na północ i na południe od stolicy. W rejonie Płocka armie dowodzone przez Józefa Hallera i Władysława Sikorskiego ściągnęły na siebie i wzięły walką główne siły Tuchaczewskiego. Na południu zaś Józef Piłsudski na czele dwu doborowych, choć niezbyt licznych armii przerwał obronę radziecką i szybkim marszem wyszedł na tyły całego radzieckiego Frontu Zachodniego zmuszając Tuchaczewskiego do szybkiego odwrotu spod Warszawy; odwrót ten pod koniec przekształcił się w paniczną ucieczkę. Część jego wojsk, ratując się przed okrażeniem, schroniła się w Prusach Wschodnich, gdzie została internowana.

Wojska Tuchaczewskiego próbowały jeszcze stawić opór w bitwie nad Niemnem we wrześniu, ale ją też przegrały. 12 października podpisano rozejm. Obie strony były krańcowo wyczerpane i rozpoczęto rokowania pokojowe, początkowo w Mińsku, później w Rydze. Pokój podpisano i granice ustalono 21 marca 1921 r. Polska niepodległość była uratowana.

Takie wiekopomne zwycięstwo powinno być starannie pielęgnowane, z dbałością o historyczną prawdę. Nie wymaga ono żadnych kłamliwych upiększeń – mogłyby mu jedynie zaszkodzić. Niestety, prawie nawykowo nie ustrzeżono się, zwłaszcza po śmierci Piłsudskiego, od upiększania historycznej prawdy i stopniowo w ciągu stulecia przyozdobiono ją w rozliczne mity, po części tak mało prawdopodobne, że aż ośmieszające. Szczególnie natarczywie kłamliwe mity zagnieździły się w dwu kwestiach: w genezie bitwy oraz w jej konsekwencjach międzynarodowych, geopolitycznych.

Nieudana federacja

Myślą przewodnią polityki wschodniej Piłsudskiego w latach 1918–1922 była koncepcja federacji Polski z wyzwolonymi spod rosyjskiego panowania Litwą, Białorusią, Ukrainą, czyli dawnymi posiadłościami polskimi z czasów przedrozbiorowych. Ku utworzeniu takiej federacji marszałek konsekwentnie – choć początkowo ostrożnie – zmierzał.

Zdecydowanie przeciwstawiała się tej idei Narodowa Demokracja Dmowskiego, uważając ją

za niebezpieczną utopię wklajającą Polskę w wojnę z Rosją i konflikt z mocarstwami zachodnimi. Piłsudski był uparty. Przez cały 1919 r. na tysiąc kilometrowym styku wojsk polskich z Armią Czerwoną utrzymywał stan wojny, raczej pozorowanej niż aktywnej. Nie odrzucał ani nie podejmował radzieckich propozycji pokojowych, dość dla Polski korzystnych. Liczył, że dojrzeją warunki, kiedy – wykorzystując polskie wsparcie militarne – zdoła zrealizować idee owej federacji. Chodziło głównie o dwa warunki.

Pierwszym było pokonanie przez Rosję radziecką kontrrewolucji białych carskich generałów. Rokowania, które prowadził w Targanrogu z najważniejszym z nich, Antonem Denikinem, przekonały go, że zwycięstwo tych generałów byłoby dla Polski gorsze od bolszewików. Zgadali się oni na niepodległość Polski jedynie w granicach Królestwa Kongresowego, a cieszyli się poparciem zachodnich aliantów. Postanowił zatem nie przeszkadzać bolszewikom w walce z białymi generałami, a nawet po chichu tę walkę ułatwiać.

Wiosną 1920 r. kontrrewolucja generalska ostatecznie przegrała – ten warunek został spełniony.

Z drugim warunkiem było gorzej. Chodziło bowiem o powstanie na Litwie, Białorusi i Ukrainie silnego antyrosyjskiego ruchu narodowego, który Polska mogłaby wesprzeć. Na Litwie taki ruch nawet się rozwinął – niestety, był jednocześnie silnie antypolski i na federację z Polską się nie pisał. Na Białorusi ruch narodowy nadal był w powijakach. Na Ukrainie był silniejszy, ale bardzo zróżnicowany. Zwolennicy hetmana Skoropadskiego byli raczej prorosyjscy i proniemieccy. Nacjonaliści zachodnioukraińscy wprawdzie zdecydowanie antyrosyjscy, ale też zaciekle antypolscy po przegranej wojnie o Lwów. Pozostawał Symon Petlura – urodzony w Połtawie z ojca kozackiego oficera i matki Polki, zdecydowanie antyrosyjski, a wobec Polski koncyliacyjny. Niestety, jego wpływy na Ukrainie pozostawały nikłe, z trudem formował jedną dywizję. Ponadto obarczał go antysemityzm i odpowiedzialność za liczne pogromy.

Jedna wygrana, jeden remis

Z powstaniem narodowym przeciw Rosji, której Polska mogłaby poprzeć, sprawy zatem miały się źle. W tej sytuacji Piłsudski zdecydował się wiosną 1920 r. na wojnę z Rosją Radziecką, mając u boku jedynie ową dywizję Petlury. Zamiast wspieranego przez Polskę powstania antyrosyjskiego wyszła wojna polsko-rosyjska o Białoruś i Ukrainę – taki był sens wyprawy na Kijów. Narodowa Demokracja tak to oceniała i miała Piłsudskiemu za złe, że w istocie sprowokował najazd Tuchaczewskiego na Warszawę. Endecy mieli sporo racji.

Zajęcie Kijowa, historycznej stolicy całej Rusi, przez wojska polskie wywołało w Rosji silne poruszenie. Na pomoc bolszewikom zgłaszały się nie tylko wojska kozackie, ale też masowo carscy oficerowie – nawet dowódca frontu z I wojny światowej gen. Aleksiej Brusilow. Zresztą dowódcami wszystkich armii – poza jedną – tworzących antypolski Front Zachodni



oficerowie zostali na lodzie. Piłsudski odwiedził ich w miejscu internowania, oddał im honory wojskowe i oświadczył: „Panowie Ukraińcy, bardzo was przepraszam!”. Nawet autonomii dla Galicji Wschodniej i Wołynia, do której był zobowiązany traktatowo, nie ustanowił.

Największe spustoszenie w świadomości narodowej spowodował mit o uratowaniu przez Polskę całej Europy przed bolszewickim najazdem i zniewoleniem. Zupełnie bezpodstawny. Rozkwitł dopiero w czasie zimnej wojny. Za czasów Piłsudskiego nie był w modzie. Sam Marszałek w laury zbawiciela Europy się nie stroił, był na to zbyt poważny. Endecy ze wzmianek na ten temat pokpiwali.

Dzisiejsi piewcy naszego „drugiego Wiednia” powołują się na źródła bardzo wątpliwej wartości. Traktują poważnie chełpliwe przechwałki bolszewików – choćby fantazje Stalina z czasów, gdy był komisarzem Frontu Południowego. Wywodził, iż gdyby Tuchaczewski nie odebrał mu armii konnej Budionnego, aby skierować ją na Zamość, to on z Jegorowem na czele 50 tys. szabel i bagnatów zająłby całe południe Polski, a ponadto Węgry, Czechy, Austrię, Włochy i Hiszpanię. A tak nie przekroczył nawet rogatki Lwowa. Takie banialuki opowiadali wówczas bez umiaru bolszewicy wodzowie, jak kanie dżdżu łaknący rewolucji światowej.

Ręka boska, nie marszałkowska

Inne – ale też wczesne i też niepoważne – źródło to książka ambasadora brytyjskiego w Warszawie ogłaszająca bitwę warszawską 19. najważniejszą w dziejach. Nie był on ekspertem wojskowym, lecz propagandowym, Polsce sprzyjał i chciał zachęcić Zachód do zaakceptowania traktatu ryskiego. Tymczasem Rada Ambasadorów zwlekała dwa lata i zatwierdziła tylko na 20 lat. W jej opinii wciąż właściwszą granicą byłaby linia Curzona.

Żaden poważny ekspert wojskowy nigdy nie twierdził, że Polska w 1920 r. zbawiła Europę. Nikt nie traktował wówczas zagrożenia Europy poważnie. Żaden rząd zachodnioeuropejski nie obawiał się najazdu bolszewickiej Rosji.

Zbyt wielka była dysproporcja sił. Cały radziecki front zachodni dysponował co najwyżej 200 tys. żołnierzy. Wielkie państwa Zachodu przed kilku miesiącami zdembilizowały i odesłały do rezerwy 5 mln weteranów wojny światowej zaprawionych w bojach, ostrzelanych.

Nie ma śladu, aby w 1920 r. we Francji czy Niemczech ktokolwiek chciał sięgać do tych rezerw lub też do pełnych broni magazynów. Nie widziano takiej potrzeby. Nie posłano też z pomocą Polsce ani jednego żołnierza; wysłano jedynie doświadczonego generała Maxime Weyganda, gdyż nie ufano w kompetencje Piłsudskiego. Nie było na Zachodzie lęku przed Tuchaczewskim. Owszem, rząd niemiecki rozważał zajęcie Śląska, Wielkopolski i Pomorza, gdyby Polska skapitulowała, aby te niemieckie do niedawna prowincje ocalić przed bolszewikami.

Rewolucja komunistyczna w Europie też rozplynęła się w mgłę. We Francji i Wielkiej Brytanii w ogóle nie wybuchała. W Niemczech wiosną 1919 r., podobnie na Węgrzech i w Austrii. We Włoszech w 1920 r. faszysta Mussoliniego szykowali się już do marszu na Rzym. Rewolucja europejska pozostała tylko niespełnionym marzeniem Lenina i Trockiego.

Realną spuścizną po mītach 1920 r. pozostała jedynie wersja Cudu nad Wisłą. Nazwał tak Bitwę Warszawską prominentny endek Stanisław Stroński, jeszcze w toku wydarzeń. Chciał przez to powiedzieć, że nie Piłsudski, tylko ręka boska mogła zbawić i zbawiła Polskę. Kościół katolicki tę bajeczkę podjął – też nie lubił Marszałka, rozwodnika i apostaty. Naród jakoś obie wersje zdarzeń – mityczną cudu i realną operacji zaczepnej znad Wieprza – połączył w jedną, niestety też ogłupiającą. Nauka historyczna za tym z trudem nadąga.

M.Z.

byli oficerowie carscy. Na czele stał porucznik Tuchaczewski, pozostali – Uborewicz, Kork, Jegorow – to pułkownicy z wojennym doświadczeniem.

To patriotyczne uniesienie sprawiło, że Lenin i Trocki na chwilę nabrali nadziei na realność projektu Polskiej Republiki Rad, którą zdążyli już utracić.

Wywiązały się dwie wojny rosyjsko-polskie: jedna o niepodległość Polski, druga o Ukrainę i Białoruś. Tę pierwszą Piłsudski na szczęście dla Polski wygrał błyskotliwie; ta druga zakończyła się remisem, podziałem Ukrainy i Białorusi.

Linia rozejmu z 10 października prawie dokładnie pokrywała się z linią frontu sprzed wyprawy kijowskiej, a wytyczona w Rydze granica też niewiele od tej linii odbiegała. Petlura i jego

Tvoja płeć, nie twoja rzecz

Ordo Iuris
chce zakazu
korekty
płci

Katofundamentalisci z Ordo Iuris wprowadzają kuchennymi drzwiami do sejmu projekt ustawy o zakazie procedur dotyczących korekty płci. Grzmią o nim już od roku, uzasadniając konieczność ustanowienia takiego prawa troską o dzieci i młodzież – hasłem „Stop okaleczaniu dzieci” (pisałam o tym przed rokiem w „Dzienniku Trybunie”, nr 145/2023). Można się było spodziewać, że będą chcieli zamienić słowo w czyn jeszcze za poprzedniej władzy, ale najwyraźniej nie zdążyli. Udało im się to teraz.

Padlina w sejmie

„Projekt zakazu wykonywania na dzieciach operacji »zmiany płci« jednogłośnie przekazany do dalszych prac sejmowych” – zaturbił na swojej stronie internetowej Instytut na rzecz Kultury Prawnej Ordo Iuris po obradach sejmowej Komisji do Spraw Petycji 23 lipca.

Jak szepnęły nam sejmowe myśli, Komisja do Spraw Petycji to taka komisja, którą powołano na samym początku poprzedniej kadencji i która służy nie wiadomo do czego, bo zakresem jej prac jest rozpatrywanie petycji. No i Ordo Iuris złożył projekt właśnie jako petycję. Komisja postawiła oczy w ślup i orzekła, że jest on zbyt daleko idący, bo dotyczy poważnej zmiany systemowej i nie może być rozpatrywany jako petycja. W związku z czym podrzuciła tę padlinę innym Komisjom: Zdrowia oraz Sprawiedliwości i Praw Człowieka.

To oczywiście jeszcze nie znaczy, że projekt został skierowany do dalszych prac sejmowych – jak chce OI – lecz jedynie to, że komisja nie wiedziała, co z tym pasztetem zrobić i niejako zdjęła z siebie odpowiedzialność. Każdy, kto ma w tej dziedzinie choć odrobinę pojęcia, przysłuchując się obradom komisji, musiałby stwierdzić, że stopień niezrozumienia dla tematu wśród jej członków – ze sprawozdającą wniosek Ordo Iuris poseł Urszulą Augustyn (KO) na czele – był znaczny. No, może z wyjątkiem dwóch przytomnych posłów KO Krzysztofa Mieszkowskiego i Marcina Józefaciuka. Wyglądało na to, że starali się oni ostrzec komisję przed niebezpieczeństwami wynikającymi z propozycji Ordo Iuris, ale bezskutecznie. Następne komisje mogą jednak projekt uwalić, co byłoby jedynym rozsądnym posunięciem. W każdym razie na razie chłopakom z OI się udało.

Ich pomysł jest rodem z najbardziej ksenofobicznych i zacofanych intelektualnie stanów USA oraz mentalnie cofniętej przez ostatnie lata Wielkiej Brytanii i podobnie jak tam – lansowany pod hasłem troski o najmłodszych. Maskowanie działań OI tą troską znamy m.in. z wcześniejszych akcji, których celem było zastopowanie obecności w szkołach edukatorów seksualnych oraz aktywistów równościowych i LGBT.

Na nieletniego

Im głośniejszy OI krzyczy o konieczności ratowania transpłciowych dzieci przed korektą płci, tym większe oburzenie ze strony przeciwnej, czyli społeczności osób trans, ich rodzin (przynajmniej tych rozumiejących i akceptujących), organizacji społecznych, pracujących w tym obszarze lekarzy i psychologów oraz wszystkich sojuszników osób trans. Wszyscy oni potępiają nieludzki pomysł OI, który może zamknąć transpłciowym dzieciom możliwość w miarę wczesnego rozpoczęcia korekty, co z punktu widzenia dobrostanu osób transpłciowych ma



ILUSTRACJA: KRZYSZTOF OLEJNIK

znaczenie fundamentalne. Tymczasem niemal wszystkim umyka rzecz najważniejsza: w projekcie autorstwa OI wcale nie chodzi tylko o dzieci.

„Stop okaleczaniu dzieci” to nośne hasło, pod którym polscy talibowie chcą tylnymi drzwiami wprowadzić uniemożliwienie procesu korekty płci w ogóle, a przynajmniej utrudnić go tak jak się tylko da.

Jeżeli więc projekt zostanie przyjęty, co – sądząc po tym, jak mała jest wiedza na tematy związane z transpłciowością wśród polityków – wcale nie jest niemożliwe, szybko się okaże, że w Polsce korekty płci nie może dokonać już niemal nikt. Nie będzie ona wprost zakazana, ale propozycja OI to w gruncie rzeczy dyskretnie uchylona furtka do tego, by możliwe stało się powstrzymanie każdego przypadku korekty płci.

W projekcie ustawy proponuje się bowiem, by podjęcie „działań medycznych w celu uzyskania cech płciowych typowych dla płci przeciwnej względem męskiej albo żeńskiej płci pacjenta, rozpoznanej przy urodzeniu” było zakazane w stosunku do osób małoletnich, ale także – uwaga, uwaga! – w stosunku do osób z zaburzeniami neurorozwojowymi, chorobami lub zaburzeniami psychicznymi, w tym z zaburzeniami osobowości oraz w stosunku do osób ubezwłasnowolnionych. I to właśnie głównie o te przypadki tak naprawdę chodzi.

życia i chciałaby się poddać procedurze korekty płci, to żaden lekarz nie będzie z nią rozmawiał, bo podpada ona pod punkt o zaburzeniach osobowości i psychicznych.

Jeżeli dorzucimy do tego fakt, że wśród młodych osób transpłciowych jest nadreprezentacja osób autystycznych i odwrotnie: wśród osób ze spektrum autyzmu występuje nadreprezentacja osób transpłciowych (nauka jeszcze nie doszła, czym to jest spowodowane; na razie odnotowała tylko ten fakt), to mamy kolejną przeszkodę. I wszyscy z jakimikolwiek podejrzeniami o autyzm i inne dysfunkcje neurorozwojowe mają zamkniętą drogę do korekty płci, nawet jeżeli będą już pełnoletni. ADHD-owcy, sorki, też odpadacie! Żaden lekarz się wami nie zajmie pod kątem transpłciowości, bo jeżeli to zrobi, to pójdzie pierdzieć w pasiaki. Tak, OI chce karać lekarzy, którzy naruszają ustawę, karą więzienia do trzech lat.

Na ubezwłasnowolnienie

No dobrze, to cały czas mowa o osobach młodych. A co z dorosłymi transpłciowymi? Myślicie, że im OI da spokój i pozwoli robić korektę? No, może tam komuś się uda przecisnąć przez gęste sito, ale... Weźmy na przykład dorosłego osobnika uchodzącego za mężczyznę i prowadzącego męski tryb życia, który nagle ujawni swoją transpłciowość, ogłosi, że jest kobietą i pragnie poddać się korekcie płci. To czemuż by go nie ubezwłasnowolnić? Przecież to nie jest normalne, że dorosły facet nagle chce być babą względnie odwrotnie: dorosła kobieta – chłopem! Nie bójcie się, już OI zadba, by ludzie tak właśnie myśleli: „Chcesz być innej płci? To nienormalne! Trzeba cię ubezwłasnowolnić, bo widać, że coś ci się poprzestawiało pod kopułką”. I rodzice, współmałżonkowie, dzieci, ewentualnie inna bliższa i dalsza rodzina będą mogli ruszyć szturmem na sądy, by ubezwłasnowolnić tych wszystkich „popaprańców”.

Ze nikomu się nie będzie chciało? Nieprawda! Znam wiele takich przypadków, w których – gdyby tylko istniały odpowiednie warunki – chętnie skorzystano by z możliwości ubezwłasnowolnienia transpłciowego członka rodziny, „bo przecież wstyd tylko przynosi” i „co ludzie powiedzą, gdy się dowiedzą”. Znam przypadki podejmowania takich prób. Poza tym spece z OI już zadbają propagandowo, by się ludziom chciało. A potem udzielią potencjalnym chętnym odpowiedniej „pomocy prawnej”. Już w przeszłości zachęcali do podobnych działań i obiecywali wsparcie prawne. Robią to zresztą do dziś – poczytajcie sobie o tym na ich stronie internetowej w zakładce „Interwencje prawne”.

A gdy sądy ubezwłasnowolnią już tych wszystkich, którym się marzy inna płeć niż ta, która stoi zapisana w metryce, no to szlus – klamka zapadła. Żaden lekarz nie poda im nawet złamanego kawałka tabletki hormonalnej, bo jeżeli to zrobi, to też przez najbliższe trzy lata będzie oglądał świat w kratę.

Idźmy dalej: pokażcie mi choć jednego człowieka na świecie, który byłby wolny od jakichkolwiek zaburzeń osobowości, względnie psychicznych. I teraz każdy lekarz będzie pod tym kątem sprawdzał każdego pacjenta trans do trzeciego pokolenia. Korekta płci w najlepszym razie stanie się torem przeszkód dla najodważniejszych, survivalem.

A że u każdego da się coś znaleźć, pozostaje już tylko sporządzenie od-

powiedniej opinii przez biegłego sądowego – jest tajemnicą poliszylną, że na potrzeby sprawy w sądzie da się taką załatwić. Mając w ręku stosowną opinię, będzie można takiego delikwenta spokojnie ubezwłasnowolnić.

A wracając jeszcze do młodych: czy jeżeli dziecko ujawni się jako transpłciowe przed „osiemnastką”, nie będzie go można profilaktycznie ubezwłasnowolnić, żeby po osiągnięciu dorosłości nie poszło natychmiast robić korekty? Spoko, że znajdują się tacy „dobrzy rodzice”, którzy to zrobią.

Zaklinanie rzeczywistości

Nie łudźmy się więc, nie o ochronę niepokalanej dziatwy polskiej przed złym potworem dżeder tu chodzi. OI dobrze wie, że występując wprost z propozycją zakazu korekty płci w ogóle, wiele nie ugra – wiem z doświadczenia, że wystarczy chwila rozmowy, żeby nawet ludzie obojętni i niechętni zrozumieli, że osobom transpłciowym należy się pomoc w tranzycji. Ordo Iuris kombinuje więc tak, by pod hasłem obrony dzieci wprowadzić przepisy, które wyeliminują z procesu korekty jak najszerszą grupę osób trans.

Hasło ochrony dzieci odwraca sytuację: ludzie mogą poprzeć pomysł choćby dlatego, że jak ognia boją się, by ktoś z ich najbliższych nie okazał się osobą transpłciową. Szczególnie jeżeli będzie to ich własne dziecko. Rodzice mają bowiem to do siebie, że zazwyczaj chcą, by życie ich dzieci odzwierciedlało ich pomysły, a mało który rodzic ma pomysł na życie swojego dziecka jako osoby transpłciowej.

Zakaz tranzycji nie spowoduje, że osoby transpłciowe przestaną istnieć. Będą nadal, tyle że będą miały jeszcze bardziej przerabane niż teraz. Efektem będzie zwiększenie klienteli polskiej psychiatrii,

która i tak leży i kwiczy. Za tym pójdzie wzrost trudnych do wytłumaczenia samobójstw pozornie bez powodu. Także wśród nieletnich. Ku temu pcha nas Ordo Iuris i wszyscy podobnie myślący.

Prostym wyjściem jest rzetelna edukacja dotycząca tożsamości już na etapie szkoły podstawowej. Spowoduje ona, że młodzież będzie wiedziała, że nie zawsze tożsamość płciowa – nawet jeżeli jest nienormalna – wymaga radykalnej korekty płci. Problem w tym, że próby prowadzenia takiej edukacji także natrafiają na paniczny opór ze strony całej katoprawicy.

Prostym wyjściem z sytuacji jest także zapewnienie tym najmłodszym osobom trans rzetelnej opieki medycznej i psychologicznej zgodnej z obecnym stanem wiedzy. Polega ona m.in. na tym, że opóźnia się dojrzewanie płciowe właśnie po to, by dziecko (odpowiednio prowadzone przez psychologa) mogło dorosnąć i przekonać się, czy chce poddać się procesowi korekty, czy nie. Odbyna się to bez konsekwencji dla zdrowia fizycznego, za to z wielką korzyścią dla psychiki dziecka – jego ciało nie zyskuje niepożądanych cech płciowych. A jeżeli dziecko się rozmyśli, to zaprzestając takiej kuracji, szybko dojrzeje płciowo, tyle że trochę później.

No ale takie praktyki też nie przejdą, bo podpadałyby pod te zakazane w projekcie ustawy. I kółko się zamyka. Katotaliban robi wszystko, by urządzić nam państwo według własnych przekonań, fiksjacji, fantazji, fanaberii – w prawackiej wizji Polski osoby trans się nie mieszczą. Toteż Ordo Iuris uczyni wszystko, by oczyścić z nich Polskę. Za wszelką cenę, wszelkimi metodami.

EDYTA BAKER

**Nagonka obozu władzy
na Państwową Komisję Wyborczą
jest nie tylko niesłuszna i niezgodna
z zasadami praworządności.
Jest też po prostu głupia.**



Rys. MARCIN CHUDZIK

Dawno, dawno temu, kiedy jeszcze wolno było mówić „Murzyn”, istniało w języku potocznym pojęcie „moralność Kalego”. Pochodziło ono z „W pustyni i w puszczy” i określało postawę subiektywizacji etyki, która każe nam własne czyny mierzyć inną miarką niż cudze, zwłaszcza przeciwko nam wymierzone. W przypadku Kalego – Afrykanina z plemienia Wa-Hima, bohatera narysowanego przez Sienkiewicza w raczej rasistowskich barwach – bezczelność tej postawy była tłumaczona prymitywizmem postaci. W odniesieniu do „demokratycznej koalicji” nie ma takiego alibi.

Roman wkurzony na Ryszarda

Przez osiem pisowskich lat od szeroko pojętej opozycji słyszeliśmy – przeważnie słuszny – lament nad niszczeniem praworządności, naginaniem i łamaniem prawa, bezczelnym wykorzystywaniem publicznych instytucji do własnych, prywatnych i partyjnych, interesów.

I oto dziś ci sami zaśluzeni obrońcy demokracji żądają od Państwowej Komisji Wyborczej, żeby przestała zajmować się prawem i przeszła do wykonywania wyroków.

Ta kampania nacisków, organizowana wspólnie i w porozumieniu przez polityków koalicji rządzącej i sprzyjające jej media, zbliża się do poziomu politycznego lincozu: internetowy antypisowski lud ruszył za prowodyrami i „krwi żąda, krwi żąda, krwi żąda”. A tam, gdzie w grę wchodzi sprawiedliwość ludowa – dyskusja o prawie staje się bezprzedmiotowa.

Uradowani odzewem ludu prorządowi żurnaliści zarzucili jakiejkolwiek próby wyjaśniania sytuacji i zajmują się głównie podtykaniem mikrofonów politykom, którzy mogą PKW obsztorcować za brak pilności, naprowadzając ich na temat niesugerującymi pytaniami z gatunku „W co gra Państwowa Komisja Wyborcza?”. Pytania bywają okraszone błyskotliwym dowcipem: „Można mieć wrażenie, że właściwie kalkulator trzeba by było kupić Państwowej Komisji Wyborczej” (Agata Adamek, TVN24). Komentatorzy już w tytule swojego komentarza informują komisję, do jakich wniosków powinna dojść: „PKW ma dość dowodów, by odrzucić sprawozdanie PiS” (Agnieszka Kublik, „GW”).

W klasie politycznej jest kilku przywódców tej szarży. Przoduje Roman Giertych, który na platformie X wzywa PKW, żeby przestała „rznąć głupa” i odebrała PiS-owi subwencję. Ryszard Kalisz – który jako członek nowej PKW obstaje z osłim uporem przy przestrzeganiu procedur – odnotowuje wrogość, jaką jego prawnicza skrupulatność budzi w necie. Kiedy zwrócił się do

Giertycha z apelem: „Roman, obejrzyj sobie ten hejt i weź na wstrzymanie” – Giertych, mistrz ciętej riposty, odparował na X: „To nie gadaj Ryszard bzdur, że dowodów nie macie, jak NIK wam ich przesłał aż nadto. Bo to wkurzyło ludzi”. „Wkurzenie ludzi” to jest ten argument, którym prawnicy powinni się posługiwać w dyskusjach o procedurach.

Berek cofa czas

Drugi harcownik – co ciekawe, też prawnik, a nawet doktor nauk prawnych – to Maciej Berek, szef Komitetu Stałego Rady Ministrów. Berek nie wychodzi z mediów i wszędzie narzeka na indolencję PKW, ale czyni to nieco subtelniej niż Giertych, zadając błyskotliwe, podszyte finezyjną ironią pytania retoryczne: „Co mamy zrobić, cofnąć czas i nagrać Państwowej Komisji Wyborczej te obrazy przed kilku miesiącami?”...

Udowodnienie, że PiS używał w partyjnej kampanii wyborczej państwowych pieniędzy i instytucji nie wymaga „cofnięcia czasu”; wystarczy zajrzeć na YouTube. Rzecz jednak w tym, czy na gruncie obecnego prawa PKW jest instytucją uprawnioną do analizowania nagrań w internecie – czy też może jej uprawnienia mają nieco innych charakter.

„Dziennik Gazeta Prawna” streszcza rekomendację organu o przydługiej nazwie „zespołu kontroli finansowania partii politycznych i kampanii wyborczych” istniejącego w Krajowym Biurze Wyborczym. Na czele zespołu stoi Krzysztof Lorentz, niekwestionowany fachowiec od prawa wyborczego, od lat pracujący w KBW, propaństwowy i bezpartyjny. Jego wywód jest dość prosty: otóż wyznaczony przepisami zakres kontroli sprawowanej przez PKW obejmuje wyłącznie działania komitetów wyborczych. PKW nie ma prawa oceniać działań organów administracji państwowej, fundacji, stowarzyszeń, czy spółek skarbu państwa. Fakt, że działania takich podmiotów wpłynęły na polepszenie szans tego czy innego komitetu wyborczego, nie może być podstawą do odrzucenia sprawozdania inkryminowanego komitetu. Nielegalne działania takich podmiotów nie podlegają ocenie PKW, bo od tego są inne organy państwa; złamanie prawa przez rząd czy państwowe firmy nie jest podstawą do odrzucenia sprawozdania komitetów partii będącej przy władzy. Tak jest napisana ustawa i tyle.

Można szczerzej

Z tego wynika dość oczywisty morał: trzeba uszczelnić prawo tak, żeby radykalnie odciąć partię rządzącą od rządowych pieniędzy. No dobra: „radyklanie”. Tak do końca pewnie się nie odeśnie, ale przecież jakieś ruchy można tu sobie wyobrazić. Np. zakaz promowania kandydatów przez organizatorów otwartych dla publiczności wydarzeń w jakimkolwiek stopniu opłacanych z budżetu państwa, samorządów, spółek skarbu państwa, czy też fundacji i stowarzyszeń otrzymujących wsparcie z tych źródeł. Tu się oczywiście pojawi dyskusja na temat tego, czym jest „promowanie przez organizatorów” – ale przecież eksperci mogą stworzyć jakiś katalog zachowań, które pod tę kategorię podlegają. Np. rozdawanie ulotek, ustawienie stolika i rollupa – nie; występowanie na scenie, przemawianie z nagłośnieniem, udział w nadawaniu odznaczeń lub przekazywaniu wyposażenia zakupionego za środki publiczne – tak.

Katalog pewnie nie będzie pełny – ale PiS bardzo pomógł w jego opracowaniu; wystarczy popatrzeć, co jego politycy wyprawiali w ostatnich latach na piknikach wojskowych, leśnych, czy osiemsetplusowych; żeby nie wspomnieć już o rozdawaniu przez ziołbrystów czeków dla strażników pożarnych i kół gospodyń wiejskich.

Dodatkowo można rozważyć rozszerzenie uprawnień PKW w czasie – tak, aby nie były ograniczone do formalnego trwania kampanii. Może należy zezwolić Komisji na analizowanie okresu „prekampanii” – dajmy na to, na sześć miesięcy wstecz od ogłoszenia terminu wyborów – i wyciągania konsekwencji wobec szczególnie rażących przykładów, takich jak billboardy posłów opłacane z budżetu biura poselskiego. Póki co PKW może jedynie apelować do polityków o nieuprawianie prekampanii – co robi dość regularnie – a oni solidarnie ją olewają.

I zgoda, takie przepisy zawsze można jakoś tam obejść – ale po pierwsze, to ryzyko dotyczy w zasadzie każdego przepisu; i po drugie, jeśli prawo wyraźnie czegoś zabroni, powstanie podstawa do ścigania takich zachowań. A jeśli do tego dojdzie przepis kładący finansowo komitet wyborczy kandydata, który złamie taki zakaz – np. w formie przypadku równowartości (kosztów organizacji pikniku, wywieszenia billboardu) na rzecz skarbu państwa – partie dojdą do wniosku, że taka chucpa się nie opłaca.

To nie jest tak, że nic w tej sprawie nie można zrobić. Jest tak, że nikt tego dotychczas nie zrobił, bo wszyscy rządzący w mniejszym czy większym stopniu doili system.

Być może potrzebowaliśmy pisowskiego rymopalu, żeby sobie uświadomić, że tak nie wolno.

Kto spadnie z barykady

W tej całej awanturze umyka nam wszakże pytanie dość kluczowe: czy należy pozbawić PiS finansowania budżetowego? I to w dwóch sensach: czy jest to etycznie uzasadnione? I czy jest to politycznie celowe?

Żeby nie było wątpliwości: życzyć PiS-owi jak najgorzej. Ale głosowało na niego grubo ponad 7 mln obywateli RP. Czy w takiej sytuacji wolno PiS zagłodzić, odbierając mu subwencję? Mam poczucie, że to rozwiązanie nie ma wiele wspólnego z zasadami demokracji. Czego by nie mówić o PiS – a mówieniem tym wszystkie „wolne media” zajmują się od dwóch dekad – jest to partia, która wciąż ma bardzo szerokie poparcie. Co oznacza, że ma legitymację społeczną. Odbierając kaczystom finansowanie, obecna władza wyrzuca poza nawias nie kilka tysięcy członków partyjnego aparatu, ale kilka milionów partyjnych zwolenników.

Drugie – mniej filozoficzne, a bardziej praktyczne – pytanie brzmi: czy w ogóle da się PiS zagłodzić? Czy jest to wykonalne? Czy będzie to politycznie skuteczne?

Obawiam się, że odpowiedzią jest twarde „nie”. Z kręgów PiS już słyszymy, że zostało obliczone, iż jeśli każdy z ok. 50 tys. członków partii wpłaci na nią 38 zł miesięcznie – będzie to kwota wystarczająca do pokrycia ubytku w finansowaniu, spowodowanego przez ewentualne odrzucenie sprawozdania przez PKW.

Nie wiem, jak Państwo, ale ja jestem dziwnie pewna, że jest to realne. Działania nowej władzy, wymierzone w PiS, budują syndrom obłożonej twierdzy w szeregach formacji, która i tak jest w znacznym stopniu oparta na – mówiąc uprzejmie – bezkrytycznym oddaniu. Nieuprzejmie: fanatyzmie. A co więcej – także wyborcy siedzący do tej pory okraciem na barykadzie mogą stoczyć się z niej na pisowską stronę, kiedy represjonowanie byłej władzy przez obecną przekroczy pewien punkt krytyczny. Polacy, zwłaszcza ci o nastawieniu prawicowym, odczuwają sentyment do przegranych i prześladowanych; wystarczy spojrzeć na kult powstania i NSZ. Zrobienie z PiS-owskich czynowników żołnierzy wykłębłych III RP nie jest w interesie demokracji.

Urban, bezrozumny prymityw

Nasz ojciec założyciel, który nienawidził PiS-u żarliwym, namiętym uczuciem, przestrzegał przed zinstytucjonalizowanym pogromem członków rządzącej ekipy przez kolejną – bynajmniej nie kierując się miłosierdziem. Z właściwą sobie autoironią przywoływał swoje młodzieńcze ataki na powojennego kanclerza Niemiec Konrada Adenauera, który zamiast powywieścić byłych hitlerowców, zatrudniał ich do rządzenia państwem – np. szefem swojej kancelarii mianował dr Hansa Globke, współautora ustaw norymberskich.

Urban zauważał, że w powojennych Niemczech tolerancja wobec nazistów była warunkiem budowy demokracji: „Posthitlerowcy z rodzinami stanowili tak liczną grupę wyborców, że politycy, którzy by ich odsuwać od życia publicznego, nie mogliby w wyborach liczyć na większość głosów. Nie czyniąc sprawiedliwości dziejowej, Adenauer tym niezbędnym zaniechaniem fundował demokrację wyborczą i okazało się, że miał rację. Naziści z czasem powymierali, a demokracja utrwaliła się w Niemczech, trwa i jest wzorowa, podczas gdy w Polsce zdycha. Na przykładzie Adenauera udowodnijam zatem, że byłem osłem” – pisał, dodając, że „głupio się oburzając”, był „bezrozumnym prymitywem”.

Dla jasności: nie usiłuję porównywać PiS do NSDAP w żadnym wymiarze – poza tym, iż mówimy o upadłej formacji rządzącej, która nadal ma w społeczeństwie szerokie poparcie.

Nowa władza powinna przekonać do siebie zwolenników starej mądrą polityką nakierowaną na zaspakajanie potrzeb grup nieuprzywilejowanych – które dały partii Kaczyńskiego władzę w 2015 r. i pozwoliły mu ją utrzymać do 2023. Harce z komisjami śledczymi, spektakularnymi aresztowaniami, odbieraniem subwencji – zwłaszcza w połączeniu z brakiem wyrazistej prospołecznej polityki gospodarczej – zamiast osłabiać PiS, utrwalają jego elektorat.

Żeby zacytować klasyka: nie idźcie tą drogą.

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA

Święta krowa polskich mediów

GADMAN

Miał piarowego pecha. Ścisnął się z Putinem w wyjątkowo podłym dniu.

Spotyka szczur chomika i pyta: „Czemu tak jest? Ty i ja zjadamy wszystko, co u ludzi znajdziemy. Przegryzamy im wszystko, co napotkamy. Zarażone pchły też czasem przenosimy. Robimy im to samo. To czemu ludzie nas nienawidzą, a was kochają?”. „Bo my mamy dobry piar” – wyjaśnia chomik.

Status szczura mają w zachodnich mediach Chiny. Zwłaszcza w tych mieniących się wolnymi, przywiązanymi do szerzenia demokratycznych wartości. Zdeklarowanymi obrońcami praw człowieka. Depozytariuszami najszczytniejszych cnót cywilizacji Zachodu.

Oprócz stałego mniemania się, cyklicznego deklarowania przywiązania i rutynowego szerzenia, media te stale zajmują się też recenzowaniem. Oceniają skalę poziomu demokracji w państwach demokratyzujących się lub taki proces obiecujących. Gromko i surowo ujawniają i piętnują kolejne przypadki dalszego dyktaturyzowania się w politycznych dyktaturach oraz autokratyzowania się w państwach już rządzonych autokratycznie. Monitorują przypadki łamania tam praw człowieka, zwłaszcza mniejszości narodowych, kulturalnych i seksualnych. Ostatnio trendy jest też demaskowanie łamania praw kobiet. I mobbingu w pracy również.

Recenzowanie dotyczy zwykle państw spoza cywilizacji Zachodu. Te uznane za już zachodnią cywilizację traktowane są zdecydowanie łagodniej.

Czerwony szczur

Chiny są stale krytykowane przez media cywilizacji Zachodu. Nie tylko dlatego, że rządzi nimi od 1949 r. partia zwąca się komunistyczną.

Kiedyś w państwach zachodniej Europy komunizm był zagrożeniem dla kapitalizmu i trzeba było go stale zwalczać. Dziś to historia. Partie komunistyczne zwykle należą do tych niszowych. Nie budzą większych emocji. Za to w dzisiejszej III Rzeczypospolitej komunizm to szczególna, żywa obelga. Wypielzająca z babiarzowych koszmarów wizję gilotyny dla tradycyjnej narodowo-katolickiej cywilizacji.

Dziś Chiny krytykowane są przez liberalne zachodnie media za to, że olały ich podstawowy dogmat. Głoszący, że jedynie model zachodniej demokracji parlamentarnej przynosi postęp techniczny, wzrost gospodarczy i bogacenie się społeczeństwa. Tylko ten model jest postępowy i sprawiedliwy.

Chiny dowiodły, że również rządy autokratyczne i jednocześnie merytokratyczne mogą stworzyć gospodarkę innowacyjną, rozwojową, postępową, wyciągającą miliony ludzi ze stanu biedy.

Zapewne ten rozwój, postęp i bogacenie się byłyby „komunistom” chińskim wybaczone. Ale oni zamiast „siedzieć cicho”, coraz głośnieżej deklarują, że pomimo stałego bogacenia się nie zamierzają wprowadzać zachodniej demokracji parlamentarnej. Nie chcą kopiować demokracji Zachodu, choć w kopiowaniu są biegli.

Co gorsza, krytykują zachodnie demokracje za brak demokracji w ich demokracjach. I co najgorsze, głoszą potrzebę pokojowego współistnienia przeróżnych systemów politycznych. Potrzebę świata wielobiegunowego.

To kłóci się z zasadami wolności głoszonej przez ideologów cywilizacji Zachodu. Zakładającej, że jedynie zachodnia cywilizacja czyni ludzi naprawdę wolnymi. Reszta to barbaria jest.

Ponieważ trudno jest plugawić cywilizację Chin, kiedy staje się ona drugą gospodarką świata i globalnym mocarstwem, to wolne media szukają innych ku temu sposobów. Teraz dyskredytują Chiny za to, że nie przyłączyły się do koalicji



antyputinowskiej. Za odrzucenie polityki gospodarczych sankcji wobec Rosji. Za rozkręcany zyskowy handel z nią. Choć jest to handel unikający współpracy sektorów zbrojeniowych.

Za takie kontakty gospodarcze i polityczne z wyklętem przez demokratyczny Zachód prezydentem Putinem, a także za trwanie przy komunistycznych symbolach, władze chińskie są regularnie krytykowane przez polskie media. Zwłaszcza te głównego nurtu. W nich Chiny jawią się jako ta jedyna podpora Putina. Źródło jego sukcesów. Wyłamująca się ze zjednoczonego, antyrosyjskiego światowego frontu bojowników o zwycięstwo Ukrainy i demokratyzację Rosji.

Chomik jak ta krowa

Miał pechowy dzień. Ścisnął się publicznie z prezydentem Putinem w dniu, kiedy rosyjskie rakiety zburzyły największy szpital dziecięcy w Kijowie. Wtedy dzienniki telewizyjne na całym świecie najpierw pokazywały tragedię ukraińskich dzieci, a chwilę potem indyjskiego premiera Narendrę Modiego łaszącego się do prezydenta Putina. Goszczącego w putinowskiej wypasionej rezydencji Nowo-Ogariowo. Przyjmowanego tam z tradycyjnym rosyjskim przepychem. Słowiańską gościnnością.

Widok zbratanych przywódców dwóch regionalnych mocarstw dowodził, że prezydent Putin jednak nie jest jedynie bojkotowanym zbrodniarzem wojennym, jak prezentują go polskie media. Ale przywódca dużego państwa, do którego przybywają liderzy największych państw świata.

„Wizyta w domu przyjaciela to wielka radość” – cieszył się wtedy premier Modi. Polityk nazywany przyjacielem także przez innego znanego na świecie prezydenta – Joe Bidena.

Premier Modi cieszył się z nadanego mu najwyższego odznaczenia Federacji Rosyjskiej, czyli Orderu Świętego Andrzeja. Miał też inne powody do radości. W trakcie spotkania obaj przywódcy zobowiązali się do znaczącego wzrostu obrotów handlowych między obu państwami.

Prezydent Putin obiecał indyjskiemu przyjacielowi, że Rosja terminowo wywiezie się z zawartych już kontraktów na dostawy uzbrojenia do Indii. Choć wojna z Ukrainą opóźnia je.

Co jest powodem takiego zbliżenia Modiego z Putinem? Brytyjski dziennik „Guardian” w prostych, żołnierskich słowach wyjaśniał. Po pierwsze Chiny. Indie muszą się zbroić, bo mają konflikt graniczny z Chinami. Pamiętają o wojnie z 1962 r. Wtedy Indie wsparł Związek Radziecki. Dziś Rosja kontynuuje taką politykę, sprzedając Indiom uzbrojenie.

Indie chcą nim odstraszać Chiny, a także nieprzyjazny im Pakistan. Zwłaszcza kiedy zacieśnia on więzi gospodarcze z Chinami.

Po drugie, Indie zintensyfikowały zakupy taniej rosyjskiej ropy naftowej. W 2023 r. kupiły rosyjską ropę za 60 mld dolarów. Teraz rosyjskie dostawy zaspokajają ponad 40 proc. indyjskiego zapotrzebowania.

Dodatkowo Indie przetwarzają rosyjską ropę. Sprzedają benzynę i olej napędowy do innych państw. Po niższych cenach, toteż kupowana jest też w państwach cywilizacji Zachodu. Już jako przyjazny produkt indyjski, a nie wraży, bo ruski.

Trzeba przypomnieć, że „komunistyczne” Chiny takich praktyk nie stosowały.

Niekrytykownalni

Czemu tak przyjazne dla putinowskiej Rosji państwo ma status świętej krowy w zachodnich, a zwłaszcza w polskich mediach? Nie jest krytykowane, choć prezydent sojuszniczej Ukrainy stwierdził, że „kiedy przywódca największej demokracji ścisnął się w Moskwie z najbardziej krwawym przestępcą na świecie”, to zadaje tym cios światowym staraniom o pokój w Ukrainie.

Premier Modi nie jest w polskich mediach krytykowany, nawet kiedy indyjskie specyby prawdopodobnie mordują w sąsiednim Pakistanie indyjskich opozycjonistów. Ani on, ani inni indyjscy liderzy nie są krytykowani przez polskie media za utrwalanie strukturalnej biedy w Indiach. Pomimo rosnącego bogactwa indyjskiej klasy politycznej. Nie słyszą krytyki za olbrzymią korupcję w Indiach. Za powszechne wykluczenia wielu grup społecznych, powszechną dyskryminację kobiet. Polskie media nie krytykują władz indyjskich nawet za ignorowanie licznych łamów zbiorowych gwałtów na kobietach.

Indie mają w Polsce i w świecie medialny status „niekrytykownalnych”. Tylko dlatego, że piarowo zyskały sobie miano największej demokracji świata.

Rzeczywiście raz na jakiś czas odbywają się w Indiach wybory. Parlamentarne nawet. Wtedy światowe media ekscytują się, podając, ileż to tysięcy ton papieru przerabianych jest właśnie na karty do głosowania. Rzadko zaś te media informują o przeliczonych fałszerstwach wyborczych. O masowym kupowaniu głosów, brutalnym dławieniu opozycji.

Gdyby indyjskie wybory były monitorowane tak surowo i dokładnie jak wybory w republikach porażonych do Unii Europejskiej państwach bałkańskich, to zakwestionowano by ich demokratyczny przebieg i uzyskane wyniki.

Ale przepojonym hipokryzją zachodnim mediom i zakłamanym politykom cywilizacji Zachodu potrzebna jest taka „największa w świecie demokracja”. Jej piarowski mit uzasadniający tezę, że cywilizację Zachodu można przeszczepić nawet do kraju liczącego miliard zróżnicowanych obywateli.

Można ten mit propagować, bo medialni i polityczni entuzjaści zachodniej cywilizacji w tych „demokratycznych” Indiach na stałe nie mieszkają. I emigrować do tej największej na świecie demokracji też masowo nie chcą.

PIOTR GADZINOWSKI

Masowa produkcja wykluczonych w Polsce trwa w najlepsze. Dzięki ustawowemu bękartowi PiS, którym troskliwie zaopiekowała się Koalicja Obywatelska, cierpienie części chorych na nowotwory może się niebawem diametralnie skrócić. Bo szybciej wylądują na cmentarzach.

26 lipca wojewódzkie oddziały Narodowego Funduszu Zdrowia opublikowały listy 243 szpitali, które spełniły kryteria wejścia do tzw. Krajowej Sieci Onkologicznej na ich terenie. To efekt ustawy z marca ubiegłego roku. Głównym celem powstania siatki placówek dedykowanych leczeniu nowotworów było zapewnienie każdemu pacjentowi równego dostępu do kompleksowej opieki onkologicznej opartej na jednakowych standardach diagnostyczno-terapeutycznych niezależnie od miejsca zamieszkania.

Flagowy projekt Ministerstwa Zdrowia z czasów jego ówczesnego szefa Adama Niedzielskiego od początku budził mieszane uczucia w środowisku lekarskim. Wychodząc ze słusznego założenia, że jeśli coś jest do wszystkiego, to jest do dupy, lekarze wyrażali obawę, że KSO nie tylko nie rozwiąże problemów polskiej onkologii, ale stworzy nowe. Niedzielski krytyków spuszczal po brzytwie, ale nie kwapił się do przedstawienia raportu z czteroletniego okresu pilotażu obejmującego część ośrodków, świadczącego o poprawie efektów leczenia chorych. Zrobiła to dopiero ministra Izabela Leszczyna i choć wyniki zestawienia okazały się niezadowolające, by nie rzec: głównie warte, Ministerstwo Zdrowia weszło w ten wątpliwej jakości interes. Wszystko dlatego, że sieć została wpisana do Krajowego Planu Odbudowy, a wartość grantu wyniosła 5,5 mld zł. Fundusz zrobił tym samym nieformalną łaskę z polykiem największym ośrodkiem onkologicznym, mniejsze spychając w niebyt, a ich pacjentów w otchłań okrzężnicy.

Wskutek reformy wyznaczono Specjalistyczne Ośrodki Leczenia Onkologicznego (SOLO) na trzech poziomach. I tak podstawowe świadczenia medyczne (czyli chirurgia onkologiczna lub chemioterapia) będą realizowane na poziomie SOLO I, złożone (chirurgia i chemia) – w SOLO II, a najbardziej skomplikowane (chi-

Wartości za kasę

Larum grają! Polska młodzież bardziej kocha lewicę niż prawicę – jęczy Ordo Iuris i zachęca lud do wystąpienia we wspólnym froncie walki o odzyskanie duszyczek najmłodszych Polaków. „CBOS opublikował niedawno badania, z których wynika, że obecnie wśród osób w wieku 18–24 lat prawie 30 proc. deklaruje się jako zwolennicy lewicy. To najwyższy wynik w historii badań społecznych prowadzonych przez CBOS! Co znaczące, pierwszy raz od ponad 20 lat większy odsetek młodych ludzi deklaruje poglądy lewicowe niż prawicowe” – biadola w rozesłanym do swoich fanów newsletterze Jerzy Kwaśniewski, prezes Instytutu na rzecz Kultury Prawnej Ordo Iuris oraz Marcin Perłowski, dyrektor Centrum Życia i Rodziny, organizacji, która niedawno połączyła się z Ordo Iuris.

Panowie co prawda nie piszą, o jakie badanie chodzi, ale można śmiało założyć, że odnoszą się do opublikowanego 12 lipca przez CBOS sondażu preferencji partyjnych. Rzeczywiście wynika z niego, że w grupie młodzieży 18–24 lata Lewica odnotowuje 29-procentowe poparcie. I rzeczywiście w tej samej grupie wiekowej miłośność do całej zebranej do kupy prawicy wynosi 24 proc. Przy czym Konfederację młodzież kocha na 16 proc., a PiS – zaledwie na 8 proc. Warto odnotować, że w tej grupie wiekowej PiS jest partią o najniższym poparciu ze wszystkich ugrupowań, co pozwa-

Krajowa Sieć Onkologiczna tylko pogorszy warunki leczenia

Ostateczne rozwiązanie

rurgia, chemia i radioterapia) – na najwyższym wyspospecjalistycznym poziomie SOLO III. Wśród kryteriów decydujących o wejściu placówki do sieci i poziomie jej referencyjności decydowały między innymi: liczba operacji poszczególnych nowotworów, kwalifikacje personelu i aparatura, a co najważniejsze liczba pacjentów z określonymi rozpoznaniem. Ostatnie kryterium miało wyeliminować z leczenia onkologicznego oddziały, które miały za mało pacjentów, by wykazać się odpowiednim doświadczeniem. Brzmi profesjonalnie i europejsko, ale jest łyżka szajsu w tej beczce miodu. W praktyce oznacza to tyle, że ośrodki spoza sieci będą mogły kontynuować leczenie zaręczonych pacjentów tylko do 31 marca przyszłego roku. Chorzy (w liczbie ok. 7 tys.) zostaną wtłoczeni do dużych szpitali onkologicznych już teraz pracujących na granicy możliwości ludzkich, lokalowych i sprzętowych. To dopiero początek złych wiadomości.

Choroby nowotworowe wymagają częstych wizyt u lekarzy w równych odstępach czasu. Badania przeprowadzone w USA dowodzą, że długi i trudny dojazd do ośrodków leczniczych w przypadku schorzeń onkologicznych sprawia, że chory pada ofiarą nieoptymalnej terapii. Doskonale obrazują to dane przedstawione przez Gdański Uniwersytet Medyczny, z których wynika, że 25 proc. (!) kobiet z nowotworami ginekologicznymi i rakiem piersi, które rozpoczęły leczenie chirurgiczne, zaprzestaje kontynuowania terapii i znika z systemu. Smutną przyczyną tego stanu rzeczy jest fakt, iż nie mają jak się dostać do placówki – ze względów ekonomicznych czy przez wykluczenie komunikacyjne. W tym momencie warto podkreślić, że większość pacjentów onkologicznych w Polsce to osoby starsze, zatem skala



problemu może za chwilę nabrać solidnego tempa.

KSO ma strukturę hierarchiczną, a więc zakłada istotną centralizację leczenia. Ośrodki niższego szczebla podlegają placówkom wyższego, są przez nie monitorowane i co zabawne – równocześnie współzawodniczą z nimi w konkursach Narodowego Funduszu Zdrowia. Z której strony nie spojrzeć, dupa lub jak kto woli konflikt interesów. Szczególnie, że choć wyścig o kasę zaraz się rozpocznie, wciąż nie ma ministerialnych wytycznych dla kontroli szpitali SOLO III nad SOLO I. Nie będzie żadnym odkryciem podejrzanie, że miejsce przy rządowym paśniku wywalczy silniejszy, co znowu przełoży się na blokadę rozwoju mniejszych ośrodków, chociażby biorąc pod uwagę odpływ specjalistów do placówek o wyższym standardzie. Dodatkowo projekt nakazuje kontrolowanie jakości instytucjom, których celem jest leczenie chorych, a nie prowadzenie nadzoru nad innymi szpitalami. Pytanie, czy wyspospecjalistyczne placówki zatrudnią w tym celu armię urzędników, czy może sędzią dodatkową robotę na zajęciach pracy klinicznej lekarzy, pozostaje tyle otwarte, co retoryczne. Audyt będzie zatem czysto iluzoryczny i rzetelny jak niechlujstwo pisanej na kolanie ustawy. W każdym województwie jest inna infrastruktura, zasoby kadrowe i możliwości leczenia. Problem najlepiej obrazuje przykład z Wielkopolski, gdzie jeden ośrodek SOLO III, czyli Wielkopolskie Centrum Onkologii im. Marii Skłodowskiej-Curie w Poznaniu ma sprawować nadzór nad jakością leczenia w aż 19 ośrodkach SOLO I.

Generalnie patrząc na to, jak rozłożyła się Krajowa Sieć Onkologiczna, można zaszlochać. Województwo

pomorskie (2,3 mln mieszkańców) ma takich szpitali dziewięć, natomiast województwo podkarpackie (2,1 mln mieszkańców) – aż 14. Nietrudno sobie zwiualizować, jaki burdel pacjencki zrobi się w regionach, gdzie na kilkanaście ośrodków SOLO I i SOLO II przypada jeden statek-matka SOLO III – a tak jest nie tylko we wspomnianej Wielkopolsce, ale i w województwach dolnośląskim czy łódzkim. Można zatem założyć, że

ministerialny projekt, który obiecywał równy dostęp do opieki, konkretnie spiętrzy problemy tam, gdzie i przed reformą ich nie brakowało.

W Polsce na nowotwory złośliwe choruje blisko 1,5 mln obywateli. Co roku liczba ta wzrasta o ok. 170 tys. Pomysł ograniczenia leczenia tylko do sieci onkologicznej, kiedy chorzy na raka pojawiają się w niemal każdej instytucji ochrony zdrowia, jest równie absurdalny, jak mieszanie kutasem herbaty bez cukru z nadzieją, że stanie się bardziej słodka.

IDALIA DUBICKA

Promocja nicości

la nam nieco optymistyczniej zerknąć w przyszłość.

Kwaśniewski i PiS patrzą jednak optymistycznie w przyszłość, a nawet wprost przeciwnie. „Obserwując te niepokojące tendencje, zadajemy sobie pytanie, jak dotrzeć do młodych z promocją dobra, prawdy i piękna w czasach politycznego dyktatu radykalnych ideologii. Na pewno nie wolno nam w tej misji liczyć na polityków i rząd. Musimy sami wziąć odpowiedzialność za stworzenie atrakcyjnej oferty formacyjnej dla młodych ludzi” – piszą.

Z całym szacunkiem, ale mamy całkiem odmienne pojęcie o „niepokojących tendencjach”. Niepokojącymi tendencjami nazwalibyśmy nie to, że młodzież woli lewicę od zatechłej prawicy, ale raczej to, że Ordo Iuris czuje się władne decydować o tym, jak ma wyglądać formowanie młodych ludzi oraz to, że chce w tym wyreć rząd.

Jak ma wyglądać docieranie do młodych „z promocją dobra, prawdy i piękna” made by Ordo Iuris et consortes? Duo Kwaśniewski & PiSowie ma na to prostą receptę: „1 sierpnia to dzień,

w którym wspominamy bohaterskie czyny Powstańców Warszawskich, wśród których istotną część stanowili ludzie młodzi – w tym prawie 10 tys. nastolatków. Niezależnie od dyskusji na temat zasadności Powstania, narodowy zryw i męstwo młodego pokolenia (wychowanego przez 20 lat II RP) zainspirowały silny nurt patriotyczny w młodzieżowej kulturze ostatnich dwudziestu lat. Dzisiaj potrzebujemy kolejnych inspiracji i impulsów, które pozwolą pozyskać młodych do walki o Polskę i wolność”.

Rozumiecie?! Faceci, którzy domagają się, by w ich ręce oddać rząd młodych dusz, mają tymże duszom do zaproponowania powstania warszawskie – bez nadziei, straceńczy zryw, który doprowadził do zrównania z ziemią całkiem sporego miasta, zaś setkom tysięcy ludzi przyniósł śmierć, potworne cierpienia, poniewierkę, biedę, głód.

Ale właśnie! Nawet nie wdając się w oceny zasadności wybuchu powstania, postaw ówczesnych decydentów politycznych i dowódców wojskowych oraz stosunku ludności cywilnej do tego powstania, mamy dla koleś z OI przykrą wiadomość: dziś takie coś już by nie przeszło. Nie tylko z powodów ideologicznych, ale przede wszystkim praktycznych. Gdyby takie powstanie miało wybuchnąć dziś, to bez względu na to, jak bardzo silny byłby „nurt patriotyczny” w młodzieżowej kulturze, do powstania nie mogłoby w ogóle dojść. Przeciętnemu przedstawicielowi współczesnej młodzieży wystarczyłoby na parę godzin odebrać smartfona (z czym ewentualny okupant nie miałby raczej problemu), by natychmiast wypiełniał wszystkie adresy, kontakty, telefony... Żadna konspiracja nie byłaby możliwa w takich warunkach, więc i powstania by nie było.



Rys. TOMASZ WIATER

Panowie sami najwyraźniej mocno tkwią w anachronicznym „nurcie patriotycznym”, który wciąż nakazuje pozyskiwać „młodych do walki o Polskę i wolność”. My akurat wolilibyśmy, żeby koleś o takich przekonaniach trzymał łapska jak najdalej od działań, gdyż jedynie, co z tego może wyniknąć, to przekazanie kolejnym pokoleniom tych samych nacjonalistyczno-romantycznych rojeń, którymi jesteśmy karmieni od 200 lat. Panowie Kwaśniewski i PiSowie być może tego nie zauważyli, ale tragedia powstania warszawskiego (i nie tylko jego) to właśnie efekt m.in. tego „nurtu patriotycznego”.

To, co przeraża kato-prawackich fundamentalistów, nas akurat cieszy. Choć lewica rzeczywiście dawno nie miała takiego poparcia wśród najmłodszych młodych, to jednak odnotowuje je na razie jedno badanie. Nie ma co wyciągać z tego zbyt daleko idących wniosków. Musimy poczekać na kolejne sondaże preferencji partyjnych, by zobaczyć, czy to jest trwały trend.

Nie ukrywamy, że byłoby miło. Także dlatego, że pokazywałoby, że koleś pokroju Kwaśniewskiego i PiSowskiego mogą spadać na drzewo ze swoim „pozyskiwaniem młodych do walki o Polskę i wolność”, bo młodzież zwyczajnie ma ich gdzieś wraz z ich „promocją dobra, prawdy i piękna” i woli lewicę zięjącą moralną nicością, aborcją na życzenie, zgnilizną dżederu, feminizmem, tęczę etc., etc. Pokazywałoby także, że dotychczasowe działania Ordo Iuris i sprzymie-

rzeńców były nieskuteczne. Skoro po takiej fali propagandy ze strony OI, jaka przeszła przez Polskę za rządów PiS, efektem jest słabnięcie wśród młodzieży zainteresowanie szeroko rozumianą prawicą i wzrost poparcia dla lewicy, to znaczy, że ta organizacja, a także inne jej podobne, są po prostu partaczami. Wywalały kupę kasy i nic.

A właśnie, skoro już jesteśmy przy kasie. Bo to zdaje się głównie o to tu chodzi....

Mamy przekonanie graniczące z pewnością, że wciskanie abonentom ordo-iurisowego newslettera tego i podobnych kitów jest tak naprawdę wyciąganiem kasy.

Chuj z dziećmi, ideologią, powstaniem i podobnymi duperelami! Chodzi przede wszystkim o to, by przy pomocy nośnych hasłek wyrażających „troskę” i głoszących wiadome „wartości” wyciągnąć pieniądze od ludzi, którzy jeszcze się takimi pierdołami entuzjazmują, a wciąż jest ich niemało. Przez cały newsletter (który jest tekstem średniej długości) aż siedem razy przewija się upominanie się o kasę i to od razu z skierowaniem do stosownej płatności. I w ten sposób interes się kręci. Tylko po co wspierać partaczę?

EDYTA BAKER



MÓZDZEK TYGODNIA

Paweł Jabłoński – prawnik, analityk w Ordo Iuris, pisowski wiceminister spraw zagranicznych, teraz zwykły poseł, który, najwidoczniej z nadmiaru wolnego czasu, oddał się nowej pasji – został tropicielem płci. Szuka mężczyzn w kobietach – nie odwrotnie.

Siedział Jabłoński przed telewizorem, zobaczył, jak polska judoczka przegrała z meksykańską, postanowił więc zamieścić na X zdjęcie tej drugiej i dać wyraz oburzeniu, że „komentatorzy w TV nie odważyli się na jedno słowo krytyki – chyba boją się, że poniosą konsekwencje jak Przemysław Babiarczy”.

Później Jabłoński najwidoczniej zobaczył, jak na ringu wygrywa bokserka z Algierii. I nie wytrzymał: „Podczas igrzysk kibicuję tej dziewczynie. Zwłaszcza że to dla niej coś nowego. Jeszcze rok temu podczas mistrzostw świata nie przeszła testu płci (nie wnioskujemy)”. Musiał przestraszyć się, że czytelnicy nie zrozumieją tej wyszukanej ironii, bo wkrótce dodał jednoznaczny komentarz: „Na zdjęciu »zawodniczka« z Algierii – a tak naprawdę udający kobietę pan Imane Khelif, który najwyraźniej jest za słaby żeby bić się z mężczyznami – więc wymyślił sobie, że będzie bić w ringu kobiety. Komentatorzy? Boją się skrytykować, żeby nie scancelowano ich za tzw. transfobię”.

Trudno powiedzieć, na jaką fobię cierpi Jabłoński, jednak najwyraźniej polega ona na wsadzaniu łapy w cudze majtki. Nie wsadza jej w swoje, bo wie, że znajdzie tam niewiele.

Czym jest dobro?

A może byśmy tak spróbowali myśleć za siebie...

Mówi się, że gdzie dwóch Polaków, tam trzy opinie; ośobiście myślę, że nawet i więcej. Nie trzeba też dodawać, że każda z tych opinii jest jak najbardziej słuszną; Polak jest wszak ekspertem w każdej dziedzinie, a swoich opinii, szczególnie tych politycznych, będzie bronić do końca.

Tylko czy te opinie na pewno są nasze? Czy nie jest tak, że jesteśmy niezwykle – coraz bardziej – podatni na przyjmowanie opinii i poglądów promowanych przez ogólnie pojętych celebrytów i ludzi, których nie bez powodu nazywamy influencerami? Nie tylko w Polsce.

Ekspertyza Taylor Swift

Sondaż przeprowadzony w USA przez Redfield & Wilton Strategies wykazał, że aż 30 proc. wyborców do 35. roku życia byłoby skłonne zagłosować w wyborach prezydenckich na kandydata popartego przez Taylor Swift. W starszych grupach wiekowych ta tendencja naturalnie zanika, ale fakt, że celebrytka ma tak znaczący wpływ na sporą grupę wyborców, jest z lekką przesadą.

Nawiasem mówiąc, koncept udziału Taylor Swift w polityce nie jest teoretyczny: w 2018 r. poparła ona kandydata Partii Demokratycznej do senatu. I choć Phil Bredesen w końcu przegrał wybory z popieraną przez Donalda Trumpa Marshą Blackburn, to

gdy piosenkarka udostępniła w swoich mediach społecznościowych link do strony z rejestracją do głosowania, w ciągu doby zarejestrowało się 65 tys. ludzi.

We Francji przed drugą turą wyborów do Zgromadzenia Narodowego – która zbiegła się z ćwierćfinałem Mistrzostw Europy w Piłce Nożnej – kapitan reprezentacji Kylian Mbappe na konferencji prasowej apelował, szczególnie do młodego pokolenia, którego jest idolem, o głosowanie przeciwko faszystom ze Zjednoczenia Narodowego Marine Le Pen. Jego apel był jednoznaczny. Mówił o „ekstremizmie pukającym do drzwi” (z czym nie sposób się nie zgodzić) i zachęcał, by głosować „na właściwą stronę”. Nie jest to jakiś jednostkowy przykład, bo w podobnym tonie wypowiadało się jeszcze kilku piłkarzy francuskiej kadry. Z jednej strony można się cieszyć, że wpływowi piłkarze wykorzystali swoją rozpoznawalność, by wpłynąć na wynik wyborów i uchronić ojczyznę przed potencjalną katastrofą.

Problem leży jednak w słowie „wpłynąć”. Nie sposób zbadać bowiem skali tego wpływu. Ilu Francuzów nie ma własnych poglądów i jest gotowych zagłosować tak, jak wskazał ich idol? A co, gdyby inny, nie mniej uwielbiany celebryta równie skutecznie agitował za Le Pen? Mówilibyśmy o katastrofie, ślepotcie i upadku społeczeństwa obywatelskiego. Tym razem się udało, ale nie zawsze tak musi być, a zagrożenie jest realne i cała sytuacja powinna budzić moralne wątpliwości.



Rys. HENRYK CEBULA

Gladiator popkultury

I tą francuską historią przechodzimy na nasze nadwiślańskie podwórko. W programie Kuby Wojewódzkiego i Piotra Kędzierskiego w Onecie pojawił się bramkarz reprezentacji Polski Wojciech Szczęsny. Prowadzący zagaili rozmowę o polityce, przywołując sytuację z Francji i pytając swojego gościa, dlaczego kapitan polskiej reprezentacji nie idzie tym samym śladem i stroni od jakichkolwiek politycznych deklaracji. Szczęsny odpowiedział, iż zadaniem piłkarza powinno pozostać kopanie świńskiego pęcherza ku ucieście ludzi, a nie przekonywanie ich do swoich poglądów. To cenny głos rozsądku. Na pytanie Kuby Wojewódzkiego, czy „gladiatora popkultury” nie kusi możliwość kształtowania poglądów swoich fanów „w imię dobra”, zasłużony bramkarz odpowiedział retorycznie: „A ty wiesz, czym jest dobro?”.

To ważne pytanie w kontekście tego, jak rzadko zastanawiamy się, na ile słuszne są nasze opinie. A szczerze mówiąc, nie zastanawiamy się wcale, uznając, że nasza wizja świata jest słuszną obiektywnie.

Pomijając filozoficzne wnioski, z tej rozmowy zapamiętałem jeszcze jeden cytat Wojtki Szczęsnej, który uderza prostotą swojej logiki: „Miej poglądy i głosuj. Nie głosuj poglądami Szczęsnego czy Lewandowskiego”. To chyba najsensowniejszy wywiad z polskim piłkarzem od lat.

Ale poza morałem płynącym z tej rozmowy, jest ona również przykładem na to, jak medialni celebryci przekonani są o swojej racji i swego rodzaju wyższości moralnej nad tłumem, której światopogląd można modelować niczym dziecięcą plasteliną, bo jest ona naiwna niczym dzieci. Każde pytanie prowadzących było wzbogacone o dość wyraźny kontekst. Pytanie: „A przyjąłbyś order od Andrzeja Dudy i zonglował piłką w Pałacu Prezydenckim jak trochę taki wynajęty cyrkowiec?” – zawiera w sobie założenie, że jakkolwiek kontakt z prezydentem-pisowcem to ujmą na honorze oraz jednocześnie mniej lub bardziej (raczej mniej) subtelna krytyka Roberta Lewandowskiego za przyjęcie takowego orderu. Nawiasem mówiąc, wbrew oczekiwaniom rozmówców Szczęsny odparł, że przyjąłby order od prezydenta RP niezależnie od tego, kto nim jest – co było przejawem odwagi w upiornie spolarzowanym społeczeństwie, gdzie każdy element naszego życia, włącznie ze sportem, staje się absurdalnie upolityczniony.

Wara od naszych głów

Pointa zdaje się oczywista: zwykli obywatele powinni nauczyć się myśleć samodzielnie, bo bez tego pozwalamy innym meblować naszą głowę; celebryci powinni oduczyć się mówienia ludziom, co mają myśleć; politycy zaś – zrezygnować z używania showbiznesu do agitacji politycznej.

Każdy z tych aspektów będzie trudny do zrealizowania. Dopiero co na swojej konwencji wyborczej Donald Trump użył Hulka Hogana; zresztą, można też spojrzeć z drugiej strony i powiedzieć, że to Hogan chciał i został użyty jako prymitywne narzędzie agitacji wyborczej w politycznym cyrku. W społeczeństwie tak podzielonym politycznie i światopoglądowo jak w Polsce, oddzielenie grubą przeszkodą polityki i sportu czy showbiznesu będzie z korzyścią dla nas wszystkich. Musimy nauczyć się stawiać granice, bo gdyby te osoby, które dziś mówią innym, co myśleć i na kogo głosować, zaczęły się udzielać jedynie profekwencyjnie, to sprzyjałoby to rozwojowi społeczeństwa obywatelskiego. A tak świat showbiznesu serwuje nam tego pełne przeciwieństwo i jedyne, czemu sprzyja, to wyłączanie myślenia. A szkoda.

NIKODEM KUSZ

Sportsmenki na celowniku prawactwa.

Terfy z PiS

Igrzyska Olimpijskie w Paryżu nie dają odpocząć kato-prawactwu i podobnym „postępowym” myślicielom. Jeszcze na dobre nie rozwiały się ich żale z powodu ceremonii otwarcia, a już znaleźli sobie nowy powód do utyskiwania. Tym razem przywalili się do kobiet. A ściślej – do tych, które w ich mniemaniu nie wyglądają zbyt kobieco, by na miano kobiety zasłużyć.

Hejt skierowany jest do kobiet, ale właściwie w podtekście jego adresatkami są transkobiety. Prawactwo kombinuje bowiem tak: jeżeli jakaś sportsmenka nie wygląda na zwiewną blond laskę o powłóczystym spojrzeniu rzucanym zza firan rzęs i nie nosi przed sobą biustu numer sześć, to ani chybi jest transkobietą, czyli – w ich mniemaniu – chłopem przerobionym na babę. Przerobionym oczywiście po to, by wygrywać rywalizację ze słabszymi kobietami. Wtórą im w tym niezawodne terfy (od ang. trans exclusionary radical feminism; takie pseudofeministki, które bronią kobiecego świata przed transkobietami – agentami patriarchy dążącymi do zniszczenia kobiecości) z ich królową, J.K.

Rowling (tą od Harry’ego Pottera) na czele. Ta koncepcja to nie jest wykwit naszych rodzimych oszołomów, ale tendencja ogólnoswiatowa. Choć nasi dokładają do tego wątek polacki: jeżeli taka laska będzie miała nieszczęście pokonać rasową Polkę, to na pewno jest trans.

Tak właśnie zdarzyło się w olimpijskich zawodach judo, w których Meksykanka Prisca Aviti Alcaraz pokonała Polkę Angelikę Szymańską. Natychmiast dopatrzono się w wyglądzie zawodniczki z Meksyku cech męskich i orzeczono, że to chłop przerobiony na babę po to właśnie, by sprawić manto zwiewnej Calineczce znad Wisły. Obwieszczenia tej prawdy podjęli się m.in. pisowscy posłowie Paweł Jabłoński i Filip Kaczyński. „A oto »zawodniczka«, która pokonała dziś w judo reprezentantkę Polski – a potem zdobyła olimpijski medal. Co Państwo o tym sądzicie?” – napisał na platformie X Jabłoński. I Kaczyński w podobnym tonie: „Ta piękna, urokliwa dama to Prisca Alcaraz Aviti, która pokonała naszą reprezentantkę w judo Angelikę Szymańską. Komentarz zostawiam Państwu”.

Dostało się też algierskiej bokserce Imane Khelif. Wszystko dlatego, że gdy rywalizująca z nią Włoszka Angela Carini dostała dwa razy po obliczu, to natychmiast poddała walkę i wycofała się, jęcząc, że tak silnych ciosów nigdy nie dostała. Natychmiast wyciągnięto Khelif, że kiedyś nie przeszła tzw. testu płci, bo miała za wysoki poziom testosteronu (nie ona jedna zresztą) i orzeczono, że to chłop.

Próżno Angelika Szymańska sprzeciwia się hejtowaniu Priski Alcaraz Aviti i twierdzi, że doskonale zna swoją rywalkę i jest pewna, że jest ona kobietą. Próżno protestują Algierczycy i tłumaczą, że Imane Khelif nie może być transpłciową, bo w Algierii korekta płci nie jest dozwolona. Próżno jej ojciec pokazuje publicznie zdjęcia małej Imany i jej metrykę. Próżno po mediach prują się fizjologzy tłumaczący, że organizmy kobiet też produkują testosteron, więc także kobieta może mieć za wysoki poziom tego hormonu. Kato-prawactwo i terfy wiedzą lepiej.

Naszym rodzimym mędrcom nie będą już nawet wyciągać argumentu Stanisławy Wasiliewiczówny (mistrzyni olimpijskiej

z 1932 r., osoby interplciowej), bo i tak nie wiedzą, kto to był, zaś wiedza ta zasiałaby niepotrzebny niepokój w ich niepokalanych umysłach.

Oczywista prawda jest, że nie ma właściwie żadnego wzorca kobiecej urody (podobnie zresztą jak męskiej), który byłby lepszy od innych. Oczywiście prawdą jest, że jeżeli ktoś uprawia sport na poziomie olimpijskim i jest kobietą, to raczej nigdy nie będzie wyglądać na modelkę z pokazu *haute couture*. Te prawdy są jednak dla prawackich mózgownic niedostępne. Tak się dzieje, ilekroć w szale tropienia potwora dżeder ideologia zaczyna przesłaniać rzeczywistość.

Na szczęście poseł Kaczyński (Filip) zostawił komentarz nam. Otóż i on: jestem ciekawa waszych min, drodzy terfo-kato-prawacy, gdy jakiś transchłopak (czyli w waszych kategoriach kobieta przerobiona na faceta) spuści wpierdol w ringu czy na macie jakimś prawidłowo blond cebulakowi z orzełkiem na piersi. A wcześniej czy później spuści.

EDYTA BAKER

Olimp idiotyzmu

Jak to dobrze, że prezydent Polski nie liczy się w świecie sportu.

Od rozpoczęcia Igrzysk Olimpijskich w Paryżu cały świat drze łacha z Francji za wszystkie organizacyjne wtopy i niedoróbki. Symbolem imprezy stały się twarde materace, teksturowe łóżka i brak klimatyzacji we wlokących się autobusach. Oczywiście popularności turystycznej Paryża – który sam z siebie jest odwiedzany przez więcej turystów niż miasto może przyjąć – to nie zaszkodzi, ale dodatkowej promocji na pewno z tego nie będzie. Tymczasem to właśnie promocja turystyczna kraju, jest tym, co dla każdego państwa chcącego zorganizować igrzyska jest – obok pokazania mocarstwowości – najważniejsze.

Dlatego we wrześniu 2023 r. w Zakopanem prezydent Andrzej Duda ogłosił: „Jest naszą ambicją i zamiarem, aby rozpocząć starania o letnie igrzyska olimpijskie w naszym kraju w roku 2036”.

Lepiej z głupim stracić?

Przy tej okazji Duda wspominał o organizowanych przez Polskę i Ukrainę Mistrzostwach Europy w Piłce Nożnej w 2012 r. i o świeżo wówczas zakończonych Igrzyskach Europejskich w Krakowie. Gdyby nie ta reminiscencja, to poza nieliczną grupą działaczy o obu tych wydarzeniach w istocie nikt by nie pamiętał. To zaś najlepiej pokazuje, jak z reguły działa mechanizm reklamowania się poprzez organizowanie wielkich imprez. Bo to nie działa. Raz tylko w historii udało się Barcelonie. Tak wcześniej, jak i od tej pory, na organizowaniu igrzysk się finansowo traciło.

Dwadzieścia lat temu Grecja przeznaczyła na letnie IO w Atenach ok. 15 mld dol., znacznie przewyższając pierwotnie planowany budżet. A kwota ta i tak nie obejmuje wszystkich wydatków infrastrukturalnych. Międzynarodowy Komitet Olimpijski zarobił na tej imprezie prawie miliard dolarów. Grecja zaś kilka lat później stanęła na skraju bankructwa. Pieniądze, które mogły pomóc w gaszeniu kryzysu lub po prostu nie obciążać publicznej kasy, w dużej mierze państwo greckie musiało przeznaczyć na straszące pustkami areny i kompleksy sportowe.

Brazylia wzięła na siebie Mistrzostwa Świata w Piłce Nożnej w 2014 r. oraz igrzyska dwa lata później. Na organizację obu imprez wydała kolejno 13 mld dol. i 12 mld dol. Zamiast sukcesu zrobił się olbrzymi kryzys finansowy. Skończony tym, że organizator nie spłacił nawet rachunków za wybudowanie większości infrastruktury olimpijskiej. W końcu komitet organizacyjny zwrócił się do Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego o pomoc w spłacie długu – MKOl odmówił. Ekonomicznym aspektem olimpiad zajęło się dwóch ekonomistów. Po latach badań Stephen Billings i Scott Holladay opublikowali pracę, w której jednoznacznie zaprzeczono tezie, jakoby igrzyska miały korzystny wpływ na długofalowy wzrost PKB.

Postradany mózg

Dlatego cieszyć się należy, że uwalono Zakopane jako organizatora olimpiady zimowej. Choć wiele do katastrofy nie brakło. Pod koniec listopada 2012 r. premierujący podówczas Tusk powiedział, że będzie „wspierał ideę” olimpiady zimowej w Polsce i na Słowacji. Początkowo wyglądało to na formułkę, dzięki której odcepi się od

niego optująca jak się da za imprezą Jagna Marczałajtis-Walczak. Zwłaszcza że swoje poparcie premier opatrzył taką formułką: „Rozstrzygające będzie to, ile nas będzie to kosztowało w tych dość krytycznych latach”.

Wydawało się bowiem, że jako historyk z wykształcenia Tusk wyciągnął wnioski z organizowania mistrzostw w piłce kopanej. A wnioski były jednoznaczne. Turyści piłkarscy nie stawili się w takiej liczbie, jak planowano. Turyści zwykli, przestraszeni Euro 2012, nie przyjechali w ogóle. Biznesplany wymyślane dla zbudowanych za 4,5 mld zł stadionów nie miały nic wspólnego z realiami. Od lat trzeba do nich dokładać miliony rocznie, żeby się nie rozsypały.

O pozytywnym wizerunku Polski świat przestał myśleć tuż po ostatnim gwizdku, a dane z biur turystycznych kazały zapomnieć o efekcie barcelońskim, co to miał nagonić nad Wisłę miliony złaknionych polskości obcokrajowców.

Po listopadowej enuncjacji Tusk milczał parę miesięcy. W tym czasie do wspólnej z Polską Olimpiady zapalił się ówczesny i – a jakże – dzisiejszy premier Słowacji Robert Fico. Pod koniec stycznia 2013 r. oficjalnie stwierdził, że słowacki rząd będzie wspierał kandydaturę Krakowa. Determinacja Słowaków była wielka. W lutym pod słowami premiera Fico podpisał się cały słowacki rząd.

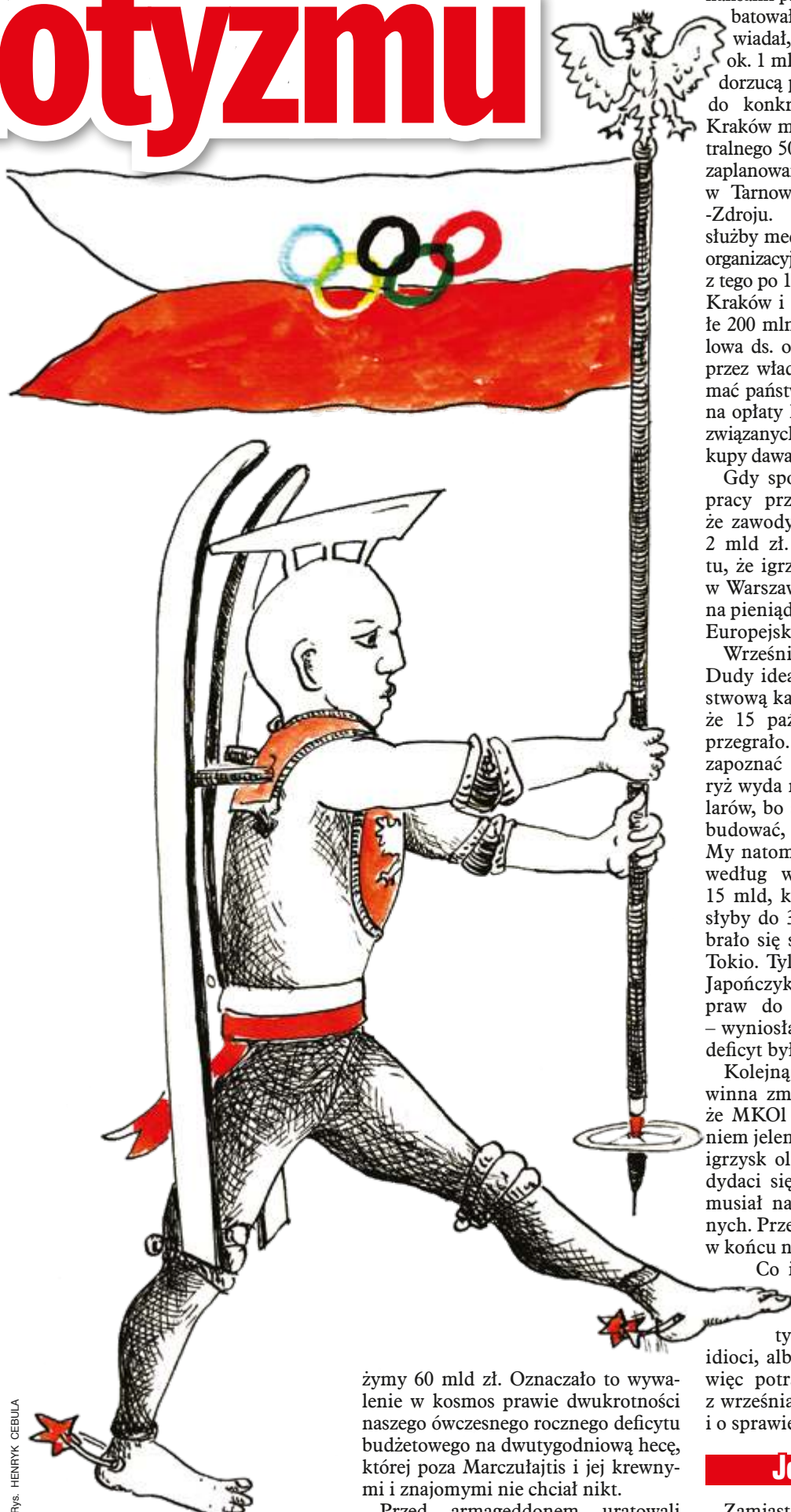
Milczenie Tuska publiczności zbiło na karb tego, że premier zapoznał się z rozliczeniem igrzysk w Vancouver. A było ono pouczające. Przygotowanie imprezy kosztowało Kanadyjczyków ponad 6 mld dolarów. Trzy razy więcej niż zakładano pierwotny budżet, w załącznikach do którego przedstawiono wyliczenia, że Vancouver na igrzyskach zarobi 10 mld dolarów. Kiedy jednak przyszło do podsumowań, to wyszło, że przychodów było raptem ok. 1 mld dolarów.

W początkach 2013 r. Tusk miał też okazję przyglądać się, jak postępują prace nad mającą się odbyć za rok zimową olimpiadą w Soczi. Której koszty od momentu wyboru wzrosły Putinowi z prognozowanych 6,8 mld do 33 mld dolarów, a niektóre źródła podawały, że przekroczą 50 mld.

Wyposażony w pełną wiedzę o konsekwencjach organizowania igrzysk olimpijskich, 27 marca 2013 r. premier Tusk pojechał do Popradu, spotkał się z premierem Fico i przemówił: „Mamy realne szanse na zorganizowanie zimowych igrzysk olimpijskich w 2022 roku. To nie tylko marzenie, to jest konkretny plan”.

Olimpijski sprzeciw

Ruszył więc wyścig o to, kto będzie gospodarzem zimowych igrzysk w 2022 r. Wyścig kanadyjski, czyli taki, gdzie kolejno odpadają poszczególni konkurenci.



Rys. HENRYK CEBULA

zymy 60 mld zł. Oznaczało to wywalenie w kosmos prawie dwukrotności naszego ówczesnego rocznego deficytu budżetowego na dwutygodniową hecę, której poza Marczałajtis i jej krewnymi i znajomymi nie chciał nikt.

Przed armageddonem uratowali Polskę krakowscy aktywiści, którzy dziesiątkami protestów zmusili władze miasta do przeprowadzenia 25 maja 2014 r. wraz z wyborami do Parlamentu lokalnego referendum. Do wzięcia udziału uprawnionych było 585 140 osób. W głosowaniu wzięło udział 210 441 osób (35,96 proc.), co oznaczało, że referendum było ważne. Ponad 143 tys. Krakowian opowiedziało się przeciwko organizacji zimowych igrzysk w Krakowie. Kraków, a wraz z nim Polska, wycofały się z konkurowania o prawo do organizacji imprezy.

PiS-u i igrzysk

Potem jednak przyszło PiS ze swoimi mocarstwowymi kompleksami i spowodowało, że w połowie 2019 r. ogłoszono, iż Kraków został miastem organizatorem Igrzysk Europejskich 2023. Miasto było bezkonkurencyjne tylko dlatego, że nikt inny nie wyraził chęci robienia czegoś, o czym żaden kibic nie słyszał, a jeśli już słyszał, to tyle, że pierwsze igrzyska odbyły się w stolicy Azerbejdżanu Baku w 2015 r., zaś drugie – cztery lata później u Łukaszenki w Mińsku.

Ani Baku, ani Mińsk nie stały się kolejną Barceloną, ale w Polsce nikogo to nie interesowało. Dla PiS było jasne, że kurska TVP i tak sprzeda gawiedzi igrzyska jako wydarzenie o randze wszechświatowej. Nawet z tego wyszła kłapa. Europejskim z nazwy wydarzeniem nie interesowali się nawet Polacy. Krakowska i małopolska branża turystyczna też nie stwierdziła, żeby w czasie zawodów jako specjalnie przybyło jej klientów.

Zabawnie natomiast zrobiło się z finansami przedsięwzięcia. Gdy sejm debatował o tych igrzyskach, rząd opowiadał, że przeznaczy na imprezę ok. 1 mld zł, a Kraków i Małopolska dorzucą po 100 mln zł. Gdy przyszło do konkretów, wyglądały one tak: Kraków miał otrzymać z budżetu centralnego 500 mln zł. Około 100 mln zł zaplanowano na inwestycje sportowe w Tarnowie, Zakopanem i Krynicy-Zdroju. Bezpieczeństwo, transport, służby medyczne itp., czyli tzw. koszty organizacyjne oszacowano na 400 mln zł, z tego po 100 mln zł miały przeznaczyć Kraków i Małopolska, a rząd pozostałe 200 mln zł. Na deser zaś spółka celowa ds. organizacji igrzysk powołana przez władze Małopolski miała otrzymać państwową dotację do 160 mln zł na opłaty licencyjne i część wydatków związanych z obsługą imprezy. Do kupy dawało to 1 mld 160 mln zł.

Gdy sportowcy się rozjechali i do pracy przystąpili księgowi, wyszło, że zawody te kosztowały ostatecznie 2 mld zł. Gdy Duda ogłaszał światu, że igrzyska letnie w 2036 r. będą w Warszawie, 140 firm wciąż czekało na pieniądze za pracę przy Igrzyskach Europejskich w Krakowie.

Wrześniowa olimpijska deklaracja Dudy idealnie zgrywała się z mocarstwową kampanią wyborczą PiS. Tyle że 15 października towarzystwo to przegrało. Duda mógł więc spokojnie zapoznać się z informacjami, że Paryż wyda na olimpiadę ok. 9 mld dolarów, bo stadiony już ma i nie musi budować, żadnych nowych obiektów. My natomiast musieliśmy wsadzić według wstępnych wyliczeń około 15 mld, które z czasem pewnie urosłyby do 30 mld dolarów. Te 15 mld brało się stąd, że tyle zainwestowało Tokio. Tyle że bezpośredni przychód Japończyków – czyli kasa z biletów, praw do transmisji i sponsoringu – wyniosła ok. 7 mld dolarów... Czyli deficyt był przeokrutny...

Kolejną sprawą, która Dudę powinna zmusić do myślenia, było to, że MKOl miał problem ze znalezieniem jelenia do organizacji zimowych igrzysk olimpijskich w 2030 r. Kandydaci się powycofali i to MKOl musiał na własną rękę szukać chętnych. Przez rok nikogo nie znalazł, aż w końcu namówił do tego Francuzów.

Co im obiecano, nikt nie wie, ale był to dowód na to, że do organizowania tego typu imprez zgłaszają się albo idioci, albo satrapie. Duda powinien więc potraktować swoją wypowiedź z września jako kolejny kit wyborczy i o sprawie zapomnieć. Ale nie...

Jeleń znad Renu

Zamiast 12 grudnia zaprzysiąc rząd Tuska, Duda ruszył do Szwajcarii. Okazało się bowiem, że mianowani przez PiS szefowie Polskiego Komitetu Olimpijskiego nie mogą się spotkać z szefem MKOl Thomasem Bachem, którego Duda znał. Wziął więc prezydent teczkę z dokumentami w sprawie starań o igrzyska w 2036 i poleciał samemu złożyć je na ręce Bacha.

Od ponad pół roku jesteśmy więc krajem aspirującym do miana organizatora igrzysk olimpijskich w Warszawie w 2036 r. Choć właściwie, to chyba nie. Bo gdy dowiedział się o tym prezydent stolicy Rafał Trzaskowski, powiedział mediom: „Nikt z nami tego nie konsultował. Jestem zaskoczony takimi planami”.

Niestety, ani zaskoczony, ani niechętny olimpijskiej hucpie nie jest człowiek Tuska w randze ministra sportu. W marcu Sławomir Nitras potwierdził w rozmowie w TVP, że Polska jest gotowa do podjęcia wyzwania organizacji letnich igrzysk olimpijskich w 2036 r. Żeby tam! Według Nitrasa igrzyska olimpijskie powinny być projektem narodowym, który „przyczyni się do dalszego rozwoju kraju”. Najgorsze, że od tej głupoty nie odciął się Tusk.

Na szczęście – jak donoszą źródła z MKOl – Thomas Bach miał gdzieś Dudę i jego pomysł, a na dodatek udało mu się wcisnąć Niemcom, że to właśnie oni powinni być gospodarzami olimpiady. Dokładnie w setną rocznicę tej otwieranej przez Hitlera w 1936 r.

TADEUSZ JASIŃSKI

Z CZARNEJ DUPY SIĘ WYRWAŁO

■ Znicz olimpijski w rękach drag queen to była tylko zapowiedź coming outu Francji. **Najstarsza córka Kościoła wybrała piekło czyli zagładę.** Francji zwycięskiej Joanny d'Arc już nie ma, **została ruja i porubstwo.** (...) Polacy, pilnujmy Polski!

Barbara Nowak, X, 27 lipca



Rys. WIDGET

■ **Katolikofobia nie rozumie ewangelii.** Dla nich stawianie po stronie wartości – tylko dla doskonałych. Nie pojmują, że można mieć skomplikowane życie i tym bardziej widzieć sens w Dekalogu. **Za trudne dla tych, którzy usprawiedliwiają swe grzechy, perfumierią nazywają duchowe szambo.**

ks. Daniel Wachowiak, X, 30 lipca

■ W „Imagine” został zakwestionowany m.in. transcendentny świat, który przez Sokratesa, Arystotelesa i Platona został odkryty z pozycji rozumu. Zakwestionowano, że istnieje transcendentne niebo, Bóg poza widzialnym kosmosem – o tym rozum ludzki wie od ponad 2 000 lat! **To wielka szkoda, że takie talenty jakimi byli Beatlesi zostały tak mocno zinstrumentalizowane dla celów rozprzestrzeniania się ideologii komunizmu światowego, dzisiaj nazywanego globalnym neo-komunizmem – zradikalizowanym o wymiar nihilistyczny, z którym zмага się cała ludzkość.**

ks. prof. Tadeusz Guz, PCh24.pl, 2 sierpnia

■ **Profanacje będą coraz większe.** Kiedy człowiek traci odniesienie do Pana Boga, to co mu pozostaje? Schodzimy w przepaść. Brakuje fundamentów, z których wyrasta nasza kultura. Kard. Ratzinger już dawno zauważył, że **kiedy zanika wiara w podobieństwo człowieka do Boga, pozostaje akcentowanie podobieństwa człowieka do zwierzęcia.**

bp Michał Janocha, PCh24.pl, 30 lipca

■ **Tęczowa ideologia jako dyktatura relatywizmu to kontynuacja komunizmu.** Komuna zatem nie musi powracać skoro nie odeszła, tylko się przepoczwarzyła.

ks. Janusz Chyła, X, 30 lipca

■ Wszystkie podstawowe formy prawa naturalnego są zrelatywizowane; cywilizacja zachodnia odrzuca po kolei wszystkie prawdy, jakie odkryła dla nas chrześcijaństwo, dorobek naukowy ludzkości, dziedzictwo Świętego Kościoła Chrystusowego. **Mamy do czynienia z takim rozmiarem satanizacji Polski, Francji, Europy, Chin i innych krajów, z jakim pokolenie w dotychczasowej historii świata nie miało do czynienia.**

dalej Guz

■ Dobrze, że wielu młodych cieszyło się z udziału w koncercie Swift. **Niemniej boli, że niektórzy z nich, przeżywają słowa artystki w jęz. polskim, niezwykłą atmosferę wydarzenia etc. potrafią sztydzić z tego, co ważne dla innych: godziny śmierci JP2, wyśmiewać cześć do Papieża, itp.**

ks. Daniel Wachowiak, X, 2 sierpnia

■ **Najsukuteczniejszym, choć długotrwałym sposobem niwelowania przestępstwa zgwałcenia jest edukacja i wychowanie do wartości, w tym do wstrzemięźliwości seksualnej i szacunku do drugiego człowieka.** Zamiast tego wybrano populistyczną, prostą do przeprowadzenia i ogłoszenia sukcesu zmianę prawa, która w praktyce wnosi niewiele dobrego. Można mieć jedynie nadzieję, że ta **nieprzemyślana nowelizacja lewica przyczyni się do zmniejszenia przegrodnych aktów seksualnych oraz odbywania ich w „sposób ludzki”, czyli tak jak naucza Kościół katolicki.**

dr Łukasz Bernaciński, Ordo Iuris, ordoiuris.pl, 31 lipca

KLECHA

Świat fioletowych już nie taki różowy

Druga połowa roku pańskiego 2024 charakteryzuje się wzmożonym zainteresowaniem hierarchią Kościoła kat. w Polsce. Głównym sprawcą tego zamieszania jest abepe Marek Jędraszewski, którego emerytura i to, co po niej, rozpala także tych, którzy w kościele nie bywają nawet na ślubach i pogrzebach.

Skąd się biorą biskupi?

Jędraszewski odchodzi, odchodzi i odejść nie może. Wprawdzie 24 lipca skończył 75 lat i w związku z tym musiał złożyć rezygnację z urzędu metropolity krakowskiego, ale Watykan nie śpieszy się z ogłoszeniem następcy. Podobnie jest w Warszawie, gdzie rezygnację ogłosił kard. Kazimierz Nycz. W październiku 75 lat skończy abepe Stanisław Gądecki, więc zwolni się kolejna z dużych i ważnych stolic biskupich. Do obsadzenia pozostaje też archidiecezja szczecińsko-kamieńska po tym, jak odsunięto ze stanowiska abepe Andrzeja Dzięgę, w związku z tuszowaniem nadużyć seksualnych podlegających mu księży. Poza tym jest parę pomniejszych diecezji czekających na „pasterza”, jak choćby łowicka. Są więc do wzięcia niezłe fuchy. Ale skąd w ogóle biorą się oberpasterze?

Na wspomnianych wyżej tronach zasiada raczej już funkcjonujący na rynku biskupi. Świeżaka nie daje się od razu na głęboką wodę. Kariera zaczyna się zazwyczaj od zostania biskupem pomocniczym – choć oczywiście bywają wyjątki, jak obecny przewodniczący episkopatu abepe Tadeusz Wojda, który wprost z Watykanu, z pozycji szeregowego księdza, został metropolitą białostockim, a potem gdańskim. Jak tłumaczy kard. Grzegorz Ryś, członek watykańskiej Dykasterii ds. Biskupów, w wywiadzie dla tygodnika „Idziemy”: „Kandydatem na biskupa może być prezbiter, który ma jakieś doświadczenie – byłoby dobrze, żeby miał chociaż dziesięć lat kapłaństwa. Powinien się cechować biegłością w teologii. Dawniej mówiono, że byłoby dobrze, żeby miał doktorat z teologii albo przynajmniej licencjat – taki, który jest tytułem naukowym na uczelniach kościelnych. Jeśli nie ma tytułu licencjata lub doktora, to powinien wykazać, że jest na bieżąco w tym, jak teologia się rozwija, że zna nauczanie Stolicy Apostolskiej i papieża. Powinien być moralnie poprawny, nienaganny i dobrze żeby miał umiejętności, które dziś nazywa się leadership – potrafił przewodzić i współpracować z innymi”.

Cała procedura objęta jest tzw. sekretem papieskim, czyli biada temu, co piśnie choćby słówko. Tyle pięknej teorii. Kler to na tyle rozplotkowana społeczność, że wszyscy wszystko wiedzą – albo udają, że wiedzą, bo nie wypada wyjść na niepointformowanego. W każdym razie mówią dużo i chętnie, oczywiście prosząc o zachowanie anonimowości. Stąd przecieki w mediach, kto ma szansę co dostać. Plotki mogą zarówno pomóc przyszłemu biskupowi, jak i uwalić kandydaturę.

W praktyce wygląda to tak, że biskupa pomocniczego wybiera sobie biskup diecezjalny, czyli ten najważniejszy na mieście. To on przedstawia listę kandydatów, których bada w imieniu papieża nuncjusz, czyli papieski ambasador w danym kraju. Po zbadaniu nuncjusz wybiera z listy trzech (tzw. terno) i wysyła tę krótką listę do Watykanu, a ostatnie słowo ma papież.

Cnota głupoty

Oczywiście każdy szef diecezji wybiera pomocnika raczej z grona pochlebców niż krytyków. Zna-

Struganie

na w kościelnych kręgach reguła mówi, że biskup diecezjalny wybiera sobie na pomocniczego kogoś głupszego, żeby przypadkiem nie przyćmił jego gwiazdy. Biskup pomocniczy tak naprawdę niewiele może poza bierzmowaniem i wizytacjami w parafii – w zasadzie proboszcz na parafii ma więcej władzy. Ale z czasem ten pomocniczy wybija się na niepodległość. Dostaje swoją diecezję i dobiera sobie swojego pomagiera według tej samej reguły, czyli znowu głupszego. Tak to się toczy i stacza. Dlatego poziom intelektualny i moralny episkopatu jest, jaki jest.

Czasem zdarza się jednak tak, że papież nie akceptuje kolejnych kandydatów biskupa diecezjalnego.



ILUSTR. PAWEŁ FERENC

WIEŚCI Z KRUCHTY

➤ Proboszcz jednej z parafii w powiecie przeworskim stanie przed sądem za to, że nie miłował bliźniego jak siebie samego. 52-letni kapłan, który angażował wiernych w inicjatywę na rzecz kościoła, zgromadził wokół siebie liczne grono kobiet chętnych do pomocy w przygotowywaniu parafialnych imprez i uroczystości. Kiedy jedna z nich wycofała się ze współpracy z księdzem, ten nie tylko nie przyjął tego do wiadomości, ale zaczął dręczyć niewiastę. Klecha nachodził pokrzywdzoną w godzinach nocnych, nękał uporczywymi telefonami, wulgarnie wyzywał, kierował pod jej adresem groźby karalne, a w spiralę prywatnej wojny wciągnął dwie inne kobiety z otoczenia kościoła. Kiedy w miejscach

publicznych wywieszono szkalujące ogłoszenia, w których podano dane osobowe pokrzywdzonej, wyszło na jaw, że klecha nakłonił parafiankę do drukowania i rozwieszania tych wiadomości. Kulminacyjnym momentem okazało się podpalenie auta ofiary, którego podjęła się inna z kobiet zwerbowanych przez klechę – pokrzywdzona została również lekko pobita. Poszkodowana zawiadomiła organy ścigania, a prokuratura w wyniku śledztwa skie-



Rys. OBYWATEL JANEX

rowała do sądu akty oskarżenia przeciwko klesze i kobiecie podejranej o podpalenie. Życzymy wyroków bez zawieszenia.

➤ Ksiądz Tomasz K. z parafii w Rzejowicach koło Radomska (woj. łódzkie), który pod koniec czerwca wskutek upojenia alkoholowego przyduśił komara na pogrzebie, nie ustaje w swojej niefrasobliwości. 50-letni duchowny napotykał się kolejnej biedy, kiedy z końcem lipca w miejscowości Wola Przerębska natknął się na patrol drogówki. Podczas kontroli okazało się, że ks. K. złamał sądowy zakaz

biskupa

go i daje własnego. Taką prestiżową porażkę poniósł choćby wspomniany Jędraszewski. W 2018 r. papież mianował dwóch biskupów pomocniczych dla Krakowa. Jeden z nich, Franciszek Ślusarczyk, z do dziś niewyjaśnionych powodów po kilkunastu dniach od nominacji odmówił przyjęcia święceń biskupich. Nowego biskupa mianowano dopiero w 2021 r., a ściągnięto go aż z Brazylii. Został nim pochodzący z archidiecezji krakowskiej, ale pracujący wiele lat w Rio de Janeiro, Robert Chrząszcz. Jędraszewskiemu nie udało się przeforsować żadnego ze swoich przydupasów i dostał spadochroniarza.

W wyborze nowego biskupa dużą rolę odgrywa nuncjusz apostolski. To on zbiera opinie na temat kandydata i od jego woli zależy, które pożądanee cechy wyekspozuje i które wady ukryje. Papieski ambasador wypytuje o delikwenta od kilkunastu do nawet kilkudziesięciu osób, tworząc drobniagowy obraz przyszłego „następcy apostołów”.

Oficjalne kościelne źródła twierdzą, że pytania dotyczą spraw wzniosłych i pobożności gościa przymierzanego do mitry, ale skądinąd wiadomo, że chodzi raczej o to, by dowiedzieć się, czy nie ma jakichś trupów w szafie.

Oraz o tak przyziemne rzeczy jak choćby prezencja kandydata, jego charyzma, asertywność czy takie pierdoły jak dykcja, bo przecież nie przystoi, żeby fafluniący brzydał paradował w fioletach i z pastorałem. Warto tutaj odnotować tendencję: znany z karykatur obraz biskupa-pasibrzucha odchodzi do lamusa i coraz częściej do episkopatu włączani są szczupli mężczyźni o nienagannej sylwetce, przyjemnej fizjonomii i fryzurze. To też znak czasu: dawniej wydatny brzuch uchodzić mógł za oznakę dobrobytu – teraz znakiem za-możności jest sportowa sylwetka, która świadczy o dobrym odżywianiu i uprawianiu sportu. Dla biedoty jest śmieciowe żarcie, piwo i telewizor. Tak że biskupi nadal w elicie.

Namiestnik papieski

Co zaś do nuncjusza, to dobrze by było – i na ogół jest – żeby nie pracował on tam, skąd pochodzi. Oczywiście w Polsce za czasów JP2 nie mogło być normalnie. Przez większość czasu panowania Wojtyły nuncjuszem w Polsce był abepe Józef Kowalczyk. Był pierwszym papieskim dyplomata po okresie PRL, rządził tutejszym personelem kościelnym w latach 1989–2010. A także wcześniej, bo przed nawiązaniem oficjalnych stosunków

dyplomatycznych był szefem sekcji polskiej Sekretariatu Stanu, czyli komórki odpowiadającej za nadwiślańskie struktury korporacji. Partnerował mu Tadeusz Rakoczy, obecnie biskup emeryt bielsko-żywiecki objęty zakazem publicznych wystąpień za tuszowanie pedofilii podwładnych. To ich polityka kadrowa sprowadziła na nas Jędraszewskich, Paetzów, Dzięgów, Głódziów itd.

Absurdem było to, że w Polsce nuncjuszem był Polak; drugim to, że stacjonował na placówce dyplomatycznej tak długo. Kowalczyk, w nagrodę za złamanie dyplomatycznych obyczajów i sprowadzenie na Polskę katastrofy w postaci biskupów z klucza JP2 i własnych kolegów, został w 2010 r. prymasem Polski.

Od sierpnia ubiegłego roku nuncjuszem w Polsce jest Włoch Antonio Guido Filipazzi. Niespełna rok to niewiele, aby rozeznac się w tutejszych realiach, toteż tubylczy kler robi wszystko, aby zwrócić na siebie uwagę papieskiego dyplomaty. W kampanię wyborczą nowego metropolity krakowskiego włączył się „Tygodnik Powszechny”.

„Gdyby papież zapytał o zdanie »Tygodnik«, na następcę abp. Marka Jędraszewskiego zaproponowalibyśmy biskupa Damiana Muskusa” – piszą krakowscy redaktorzy z pisma łączonego z tzw. Kościołem otwartym. Nie jest tajemnicą, że „TP” nie lubi się z Jędraszewskim. Są wręcz na wojennej ścieżce: arcybiskup zabrał im siedzibę, oni odwiedzili mu się dwuczęściowym, złośliwym i malowanym czarnymi barwami reportażowym portretem. Spodziewana emerytura Jędraszewskiego jest więc dla tego środowiska szansą, by przeforsować swojego kandydata. Nuncjusz przecież na pewno śledzi, co i kto pisze o potencjalnych następcach ustępującego metropolity.

Bepe Damian Muskus jest jakby szyty na zamówienie Franciszka, do którego należy przecież ostateczna decyzja przy obsadzie stanowisk. Franciszkanin, społecznik, propagator ekologiii. Włącza się w licytację dla chorych dzieci, wystawia na nich nawet samego siebie, tzn. swoje usługi: może np. uporządkować ogród za odpowiednią sumę wpłaconą na cele charytatywne.

„Marek Jędraszewski dobrze czuje się w świecie polityki, wciąga ją do Kościoła. Damian Muskus od tego świata trzyma się z daleka” – przekonuje „Tygodnik Powszechny”. Na dowód tej tezy przywołuje świadectwo... posła Koalicji Obywatelskiej Marka Sowy, byłego marszałka województwa małopolskiego. Żeby było jeszcze bardziej apolitycznie i rodzinnie zarazem, autorka tekstu cytuje też ks. Kazimierza Sowę, prywatnie brata Marka, zwanego złośliwie „kapelanem TVN-u”. Dość przewrotne te dowody na apolityczność potencjalnego przyszłego arcybiskupa krakowskiego.

Komu biret, komu?

W Krakowie osobliwy rozdział państwa i Kościoła to zresztą tradycja. Proboszczem katedry mariackiej jest ks. Dariusz Raś, brat posła Trzeciej Drogi. Proboszcz jednej z najbogatszych parafii w Polsce jest skonfliktowany z Jędraszewskim. Ustępujący metropolita, jawnie sympatyzujący z PiS, chciał go odwołać i na odchodne obsadzić intratną placówkę swoim człowiekiem, ale brat posła skutecznie odwołał się do Watykanu, a Jędraszewski dostał kolejnego prztyczka w nos. Z Muskusem Raś pewnie by miał lepiej, zwłaszcza że jest byłym sekretarzem kardynała Dziwisza, który Muskusowi od dawna patronuje.

Na korzyść bepe Muskusa może zadziałać wieoletnia znajomość z kard. Grzegorzem Rysiem,

obecnie metropolitą łódzkim, a wcześniej biskupem pomocniczym archidiecezji krakowskiej. Obaj zostali wyświęceni na biskupów 28 września 2011 r. w katedrze wawelskiej przez samego Stanisława Dziwisza. Obaj uchodzą za biskupów „nowego typu”, ale też obaj wywodzą się ze stajni byłego papieskiego sekretarza, za którym ciągnie się niejeden smrodek.

Grzegorz Ryś jest członkiem watykańskiej Dykasterii ds. Biskupów, która opiniuje kandydatury na kościelne stanowiska na całym świecie. Sam jest wymieniany wśród kandydatów do krakowskiego albo warszawskiego tronu, ale wieść niesie, że wolałby jakąś fuchę w Kurii Rzymskiej.

Ryś, choć człowiek Dziwisza, wie, skąd wieje wiatr. Ongiś „janopawłowy”, teraz jest co do joty zgodny z linią Franciszka. Dlatego to on dostał kardynalski czerwony biret, a nie straszący „tęczową zarazą” Jędraszewski,

choć tradycyjnie to biskupi krakowscy zostawali kardynałami. Franciszek słucha Rysia w sprawach polskich, którymi – swoją drogą – nieprzesadnie się interesuje.

W ogóle Europa nie jest w centrum zainteresowania papieża, bo tu Kościół kat. i tak się zwi-ja. Gdy jednak przychodzi do nominacji, trzeba się kogoś poradzić. Jeszcze bliżej ucha prezesa jest kard. Konrad Krajewski, pochodzący z Łodzi jałmużnik papieski, czyli gość w imieniu papieża rozdający kasę, a także ją zbierający. Jeden z najbliższych współpracowników Franciszka ma niebagatelny wpływ na jego działania wobec Polski; podobno Bergoglio konsultuje z Krajewskim każdą decyzję personalną dotyczącą hierarchów znad Wisły. Krajewski także jest wymieniany wśród możliwych następców Jędraszewskiego lub Nycza, ale wątpliwe, żeby chciał uciekać z Watykanu, przynajmniej przed śmiercią papieża, który darzy go specjalnymi względami i zaufaniem. Chyba że przeczuwa zbliżające się konklawe.

Choć duchowni przekonują, że papieżowi się nie odmawia, biskupstwo ostatnimi czasy przestaje być dla nich pracą marzeń. W 2019 r. kard. Marc Ouellet, były prefekt Kongregacji ds. Biskupów (której członkiem jest kard. Ryś), mówił, że około 30 proc. księży nie przyjmuje nominacji biskupiej. To – jak zauważał wówczas – trzy razy więcej niż jeszcze dekadę wcześniej, kiedy odmawiał najwyżej co dziesiąty kandydat. Dziś odmów jest na pewno jeszcze więcej, bo biskupstwo przestało kojarzyć się z prestiżem, a wymaga raczej stalowych nerwów. Kiedyś złote karety, krzyże, pierścienie i całowanie w rękę, dziś włóczenie się po sądach w kolejnych sprawach o pedofilię podwładnych, niewygodne pytania dziennikarzy i bankructwa diecezji. Ci, którzy nie odmówili, coraz częściej rezygnują przed osiągnięciem wieku emerytalnego z powodu wypalenia zawodowego. Świat widziany przez fioletowe okulary nie jest już taki różowy jak dawniej.

ŁUKASZ PIOTROWICZ
lupiotrowicz@gmail.com

WIARA CZYNI CZUBA

1. W angielskim Southport 17-letni chłopak wszedł na zajęcia jogi dla dzieci prowadzone do muzyki Taylor Swift, i zaszytęłował trzy małe dziewczynki. Kilkanaście innych osób ranił. Przyczyny nie są znane, ale ekstremalna prawica ogłosiła, że był to atak terrorystyczny przeprowadzony przez nielegalnego imigranta, na pewno muzułmanina. W odpowiedzi policja zdecydowała się ujawnić dane napastnika – jest to cierpiący na autyzm obywatel brytyjski, urodzony w Cardiff Axel Rudakubana – co nie powstrzymało zamieszek. Patrioci ruszyli, żeby pogodzić Boga, Króla i Ojczyznę przez ciapatymi. Po dwóch minutach ciszy ku pamięci zamordowanych tłum zaczął wybijać okna w budynkach, w których mogli znajdować się imigranci. Zaatakowanych zostało co najmniej 10 meczetów w całym kraju. To za pewno zagwarantuje pokój i bezpieczeństwo.

2. Niejaka Candace Owens – należąca do bardzo elitarnego grona czarnoskórych wyznawców Trumpa aktywistka, znana z opinii, że Hitler byłby OK, gdyby ograniczył swoją działalność do „uczynienia Niemiec wielkimi” – odkryła prawdę o teorii ewolucji. Jest ona produktem „kilku współczesnych satanistów”, którzy „przekonali ludzi, że pochodzą od małpy”. Candace rozumie, dlaczego inni tego nie rozumieją: „Bo to wymaga wiele wysiłku. Dopiero po bardzo długich badaniach uwierzyłam, że to możliwe, że ten świat jest zarządzany przez bardzo małą grupę elitarnych oligarchów, którzy rutynowo praktykują homoseksualizm i pedofilię, i którzy wierzą w Baphometa i czczą transpłciowe bóstwo”. Baphomet jest nie tylko transpłciowy ale także transgatunkowy: ma człowieczy tors, kozi łeb i kopyta, a także skrzydła i łuski. Wypisz, wymaluj Charles Darwin.

3. Pustelnia Naszej Pani z Mirón to kościół katolicki w Sori w hiszpańskim regionie Kastylia i León, pochodzący z 1725 r. Jako iż 300 lat to – jak na hiszpański zabytek sakralny – niewiele, kościół nie podlegał szczególnej ochronie, więc władze parafii postanowiły odmalować go własnymi siłami, nie korzystając z pomocy profesjonalnych konserwatorów sztuki. Piłastry, wcześniej białe jak całe wnętrza, zostały pomalowane farbą w kolorze zjadliwego, acz brudnego pomarańcza, cherubiny waleńto na białe, po czym domalowano im wybaluszone oczy i wściekle czerwone usta. Na protesty historyków sztuki i mieszkańców odpowiedział rzecznik diecezji Osmá-Soria: „Mogę powiedzieć tylko tyle, że prace przy kościele zostały przeprowadzone z wymaganymi pozwoleniami, i że niektórym podoba się efekt końcowy, a niektórym nie”.

4. Courage Tour to wędrowny cyrk religijny; grupa kaznodziejów podróżujących z wielkim namiotem po cacych Stanach, aby „świętować odwagę i triumf Jezusa Chrystusa, i dostarczać potężnych nauk, które zainspirują uczestników do odważnego przeżywania swojej wiary”. Aktualnie cyrk wędruje po Wisconsin, Georgii, Michigan i Arizonie – czyli stanach, w których najpewniej rozstrzygną się wybory na prezydenta USA. „Musimy głosować biblijnie” – pouczają zebranych pastory i pastoryce; a jak „biblijnie” to wiadomo, że na trzykrotnie znanego rekina biznesu, który lubi łąpać kobiety za cipy bez pytania. Pod namiotem swoje stoiska ustawiają prot Trumpowe organizacje z chwytliwymi hasłami. „Tolerancja NIE jest przykazaniem” – informuje jedna. Chyba, że mówimy o tolerancji wobec niejakich słabości lidera zesłanego przez Boga.

5. Maria Campatelli, dyrektorka instytutu sztuki Centrum Aletti, założonego przez o. Marko Ivana Rupnika, znanego twórcę religijnych mozaik i obrazów, a także drapieżnika seksualnego, narzeka na „kulturę skancelowania”. „W obliczu rosnącej presji na usunięcie dzieł sztuki stworzonych przez Centro Aletti, czujemy się zobowiązani do wyrażenia naszego wielkiego zaniepokojenia powszechnym rozpowszechnianiem tak zwanej »kultury skancelowania« i sposobu myślenia, który legitymizuje »kryminalizację« sztuki” – napisała. Wśród skancelowanych dzieł o. Rupnika jest wizerunek balującego Chrystusa obejmowanego przez Maryję z kieliszkiem wina i jednego z apostołów, obalonego na stole z przewróconą faszką. Obraz nazywa się „Tajemnica jest wielka” i był oficjalnym wizerunkiem Światowego Spotkania Rodzin 2022.

prowadzenia pojazdów, za co grozi mu do pięciu lat więzienia. Przypomnijmy: szlaban na kręcenie kółkiem książuło otrzymał rok temu za spowodowanie kolizji z dwoma samochodami i ucieczkę z miejsca zdarzenia.

✚ Kuria generalna Zakonu Świętego Pawła Pierwszego Pustelnika (zwanego potocznie paulinami) kupiła od stołecznego samorządu najmniejszy samodzielny budynek na Starym Mieście w Warszawie. Obiekt przy biegu ulic Długiej i Freta o powierzchni 12 mkw., należący do skarbu państwa, został wyceniony na 151 tys. zł, co przy cenach warszawskich nieruchomości można uznać za kolejny cud nad Wisłą. Budynek przeznaczono do sprzedaży w trybie bezprzetargowym, kuria generalna zakonu zadeklarowała zaś, że pawilon wyremontuje i wykorzysta na cele sakralne.



Cóż, był najmniejszy budynek, będzie największy konfesjonał. Jak to było? Złote a skromne.

✚ Katolicki youtuber Dawid Mysior podzielił się swoimi przemyśleniami na temat amerykańskiej wokalistki Taylor Swi-

ft, która dała trzy koncerty w Warszawie. Jak zauważył Mysior, najnowszy album piosenkarki „uchodzi za najbardziej antychrześcijański ze wszystkich”. Dodatkowo „na koncertach pojawiają się słupy ognia, pani Taylor Swift jest roznegliżowana i tańczy w głowie węża, który ma czerwone oczy”. „W branży muzycznej, ale też filmowej, istnieją pewne układy z siłami zła, z którymi się targuje swój gigantyczny sukces, to jest tajemnica poliszyneła” – podsumował youtuber, dywagując, czy słuchanie Swift stwarza zagrożenie duchowe. Jako że diabeł tkwi w szczegółach, pragniemy zauważyć, że prawdziwym złem jest nagłośnienie na Stadionie Narodowym, a nie dziewczyna w kusej kiecce pływająca z mikrofonem na scenie.

KLECHA

Więści na pożytek pasterzy i owieczek czerpiemy z prasy lokalnej.





„NIE” rozmawia z Arturem Nowakiem, autorem książki „Plebania”.

Z Kościołem kopię się od lat

– Czy może pan, dla odmiany, powiedzieć coś dobrego o Kościele?

– Mam wiele szacunku dla tej instytucji, bo się doskonale ustawiła. Kościół jako jedyny system totalny w Europie przetrwał tak długo. Inne totalitaryzmy, jak faszyzm – z którym zresztą Kościół współpracował – padały, a Watykan trwa. Osiągnął swój sukces wprost odwołując się do Boga. Budzi pewien respekt to, że w XXI w. polscy księża gwałcą dzieci na plebaniach, a biskupi mówią że akta są w Watykanie i państwo nic z tym nie może zrobić. Trudno prawnikowi nie podziwiać takiej skuteczności.

– Czy nie jest to jednak kopanie leżącego? Można przecież zauważyć utratę wpływów przez Kościół.

– Ja się z Kościołem kopię od lat. Przełomowym momentem w tej mojej walce był pierwszy film braci Sekielskich, który dokonał też pewnego przełomu w polskim myśleniu o klerze. Rzeczywiście widzimy ogromny kryzys polskiego Kościoła, ale jeśli idzie o zaplecze finansowe, to jeszcze wnuki wnuków biskupów będą żyły jak pączki w maśle.

– Sądzi pan, że aż tak dobrze się zabezpieczyli?

– Nie ma oczywiście żadnych danych, bo kler nie prowadzi księgowości i do perfekcji opanował dyskrecję w finansach, ale wystarczy spojrzeć na posiadłości budowane przez biskupów – jak choćby ogromna rezydencja budowana na Kaszubach przez bp. Kasyń z Pelplina, której budowę sam oglądałem – żeby stwierdzić, że na brak środków nie mogą narzekać. Mafia może się uczyć, jak prowadzić rachunki. Gdyby pan czy ja w ten sposób zarządzali swoim majątkiem, to moglibyśmy już pakować szczoteczkę do zębów i czekać na smutnych panów o szóstą rano.

– Dlaczego księża są bezkarni?

– W dużej mierze dlatego, że ludzie się tym nie interesują, a gdy coś usłyszą, to nie dowierzają. Dla większości to po prostu abstrakcja; takie sumy nie istnieją w umysłach ludzi, którzy tyrają za minimalną i jeszcze dzielą się wodom grosem z plebanem, który wiecznie coś remontuje i nie może dokończyć. Za to finalizuje z sukcesem zakup nowej firy. Przez myśl nie przejdzie takiej babusze, że ksiądz dobrodziej jej emeryturę może wydać w burdelu na masaż z *happy endem* albo na narkotyki – a takie właśnie historie opisuję.

– Spodziewa się pan, że obecna władza może coś w tej kwestii zmienić? Mamy przecież zapowiedzianą kontrolę NIK w „dziełach” Tadeusza Rydzka.

– Rydzka chyba traci rezon. Ostatnio o. Jan Król, czyli prawa ręka ojca dyrektora, wezwał mnie na piśmie, abym zaprzestał szkalowania jego sześcia. Widać więc pewną nerwowość. Myślę, że jeśli Tusk będzie konsekwentny – a mam wrażenie że przeszedł już dawniejsze klerykalne fascynacje – to da zielone światło, żeby prześwietlić imperium Rydzka. Mamy dobry czas i klimat, aby pokazać, jak ogromne środki publiczne trafiały do tego człowieka. On jest dla mnie absolutnym

fenomenem: nieznównaważony emocjonalnie i płytki intelektualnie osobnik zrobił taką karierę!

– Ojciec Król nie będzie raczej zadowolony z tej odpowiedzi. Ale może właśnie te cechy, które pan wymienił, plus trochę sprytu wiejskiego cwaniaczka to właśnie klucz do sukcesu, a nie przeszkoda.

– Dokładnie. Żeby w Polsce zrobić karierę i ssać państwowe pieniądze, trzeba być beczelnym cwaniakiem, najlepiej katolikiem. Rydzka doprowadził ten model do perfekcji.

– W książce pisze pan, że istnieją też inni duchowni. „Ludzie traktujący poważnie wezwanie, by pozostać ubogimi i poświęcić się dla innych, mogą najwyżej zostać świętymi. (...) Kościół potrzebuje ich, by podzielić ich ciała na relikwie i dobrze na nich zarobić”. Ostatnimi czasami zauważamy jednak, że sypią się pomniki tych rzekomo świątobliwych kapłanów. Abbé Pierre czy inni francuscy księża i świeccy założyciele ruchów „odnowy Kościoła” okazują się po latach drapieżnikami seksualnymi. Może święci to po prostu cwaniacy, którzy lepiej się maskują?

– Myślę, że ludzie, którzy są autentycznie przejęci losem ubogich i chcą dla nich pracować, też są w Kościele. Są potrzebni właśnie po to, aby móc udawać, że ta instytucja wcale nie jest tak zdemoralizowana, jak jest. A ci, o których pan mówi – liderzy sekt wewnątrz Kościoła, jak choćby polski dominikanin Paweł M. – dostali nad ludźmi taką władzę, nawet nie finansową, ale duchową, że doprowadziło ich to do perwersji. Taki guru może mówić kobiecie, że stosunek z nim jest aktem oczyszczającym, a trójką odzworowaniem Trójcy Świętej – jak choćby jezuita Rupnik, którego malunki zdobią ściany sanktuarium Jana Pawła II w Krakowie. Wobec takich postaci jesteśmy bezradni, bo psychomanipulacja nie jest znana kodeksowi karnemu.

– Jak to jest: czy ci ludzie stają się tacy wraz z otrzymywaniem kolejnych porcji władzy, czy włączają się w struktury Kościoła, żeby zaspokajać swój narcyzm i psychopatyczne żądze?

– Bywa pewnie tak i tak. Na pewno duchownymi zostaje wielu narcyzów, którzy mogą jako księża brylować, błyszczeć, ale też manipulować. Inni z kolei po prostu uciekają przed odpowiedzialnością i dojrzałością, bo wszystko załatwi za nich Pan Jezus i ludzie. W książce wspominał choćby egzorcystę Piotra Glasa, który wypędzał demony intelektualizmu i seksualizmu, a już po ukazaniu się „Plebani” okazało się, że sam ma problemy z demonem prawa, który ściga go za molestowanie dzieci.

– Wyroki boskie są niezbadane, pozostaje nam nadzieja na sądowe.

– Mnie zupełnie nie zdziwiło, że ten facet ma coś za paznokciami, bo poziom jego odklejenia w konferencjach, które wygłaszał, przekraczał wszelkie normy.

– W Polsce te egzorcystyczne odjazdy nieźle się sprzedają.

– Owszem, i choćby głosili największe herezje i bzdury, Kościół nic z nimi nie robi, bo przyciągają tłumy. Trzeba to opisywać i z jednej strony obśmiewać, ale z drugiej – pamiętać, że ci gnoje potrafią wyrządzić wielką krzywdę i są przyczyną wielu ludzkich dramatów i traum.

– Mówimy o tym, że to ma wzięcie u nas, w Polsce. Czy tutejszy Kościół jest wyjątkowy na tle innych?

– To jest ewenement, zwłaszcza jeśli porównywać z krajami Europy Zachodniej. Nawet na pierwszy rzut oka to widać, choćby po strojach. Nasi biskupi lubią te wszystkie złote ornaty, zdobione mitry, całą kiczowatą, odpustową otoczkę w stylu „złote, a skromne”. To nasz folklor, na Zachodzie raczej nie do pomyślenia. Tam normą są księża i biskupi w garniturach, z kolaratką albo i bez. Zachodni księża znają już swoje miejsce, bo społeczeństwo im je wskazało. My mamy tę lekcję do odrobienia.

– Presja ma sens? Można oczyścić tę instytucję?

– Sęk w tym, że

Kościół istnieje dzięki patologii. Ten system jest tak skonstruowany, że im większy poziom demoralizacji, tym lepiej im się wiedzie. Gdyby zmusić ich do życia takiego, jak uczą, to nagle kler staje się marginalną grupą, bez wpływu na rzeczywistość.

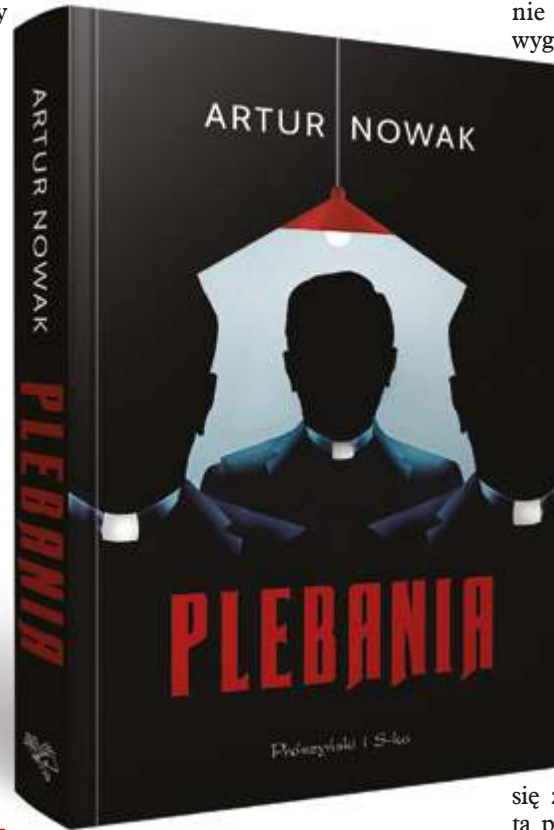
Najbardziej zdegenerowane jednostki pchają ten okręt naprzód, a ci pokorni i uczciwi go topią. Sprzyja temu brak jakiegokolwiek kontroli nad tą instytucją.

– Z pańskiej książki wyłania się obraz Kościoła jako klubu gejowski-narokotykowego. Dla „letniego” katolika może to być pewne zaskoczenie. Bo baby – owszem, czasem chłop, w najgorszym przypadku dziecko, ale to raczej wyjątki, a nie reguła. Ale żeby ciągle drążyć i orgie przeplatane mszami służącymi tylko do tego, aby na te przyjemności zarobić?

– No niestety, tak to wygląda. Opisuję taką scenę, której nagranie widziałem, jak to po gejojskiej orgii jeden z jej uczestników idzie do samochodu po szaty liturgiczne i odprawia mszę. Najpierw przyjemności, potem obowiązki.

– Ludzie uzależnieni porzucający nałóg często stają się religijni. Tymczasem obsługujący ich kapłani sami są naćpani?

– Dla wielu z nich to zapewne ucieczka przed wyrzutami sumienia, którego resztki zachowali. W Kościele najlepiej mają ludzie cyniczni, którzy są w stanie bez mrugnienia okiem wygłaszać te wszystkie dyrdymały i inkasować ofiarę. Jeśli komuś zależy tylko na władzy i pieniądzu, a ludzi ma w dupie, doskonale się w tym świecie odnajdzie. Ale jeśli tli się w nim odrobina człowieczeństwa, to musi ją zagłuszać. Alkoholem, narkotykami, przygodnym seksem. Firma jest tak skonstruowana, że jej pracownicy są pozbawieni możliwości wejścia w normalne międzyludzkie relacje. Niektórzy tego nie wytrzymują i albo zrzucają sutannę, albo piją i ćpają, albo kończą na sznurze.



– Widocznie księża są potrzebni, skoro ludzie ich jeszcze nie pogonili.

– Zawsze byli jacyś kapłani, którzy pomagali ludziom w kryzysach psychicznych, albo je wykorzystywali do swoich celów. Tłumaczyli świat i wyznacali normy moralne, bo niektórzy ludzie po prostu tego potrzebują. Obietnica życia wiecznego albo strach przed piekłem na wielu działa hipnotyzująco.

– Może nadzieja w nowym pokoleniu księży i biskupów idących za wskazaniem papieża Franciszka?

– Ani on, ani oni nie są tacy fajni, jak się malują. To najstarsza sztuczka

kleru: jeśli nie da się już ignorować przemian społecznych i mentalnych, to trzeba je wdrożyć u siebie, twierdząc beczelnie, że zawsze się było dobrym. Nowe, uśmiechnięte oblicze kardynała Rysia czy biskupa Muskusa nie czyni wiosny, a nawet przedwiosnia. Cele pozostają te same, zmieniają się tylko środki. Dopóki nie będzie transparentności finansów czy współpracy z organami ścigania w sprawach przestępstw seksualnych, wszelkie opowieści o zmianie można między bajki włożyć.

– Ma Pan nadzieję na systemowe rozliczenie nadużyć kleru w różnych sferach?

– To trudne, ale możliwe. Mamy niby Państwową Komisję ds. Pedofilii, ale nie widać spektakularnych owoców jej działania, głównie dlatego, że nie ma ona ku temu instrumentów. Nowa przewodnicząca Karolina Bućko niewątpliwie ma dobre chęci, ale nie ma narzędzi. Sam jako adwokat wygrałem przecież wiele razy z Kościołem, diecezje i księża muszą płacić, więc nie jest to tylko fantastyka. Biskupi w sądzie, pozbawieni całej tej otoczki i klęczącej postawy wszystkich wokół, robią się malutcy. Spotkałem w takich okolicznościach np. abp. Gądeckiego i nie był już taki wygadany jak na ambonie. Zatem można, tylko trzeba chcieć.

– Czy po tylu latach batalii sądowych i publicystycznych książka są jeszcze w stanie Pana zaskoczyć? Czy któraś historia podczas pisania „Plebani” szczególnie Panem wstrząsnęła?

– Do przestępstw seksualnych, choć brzmi to przerażająco, niestety już przywykliśmy. W książce opisuję pewną historię kryminalną, w którą trudno uwierzyć. To historia kapelana więziennego, który zaprzyjaźnił się z jednym z osadzonych. Przyjaźń ta przybrała wymiar materialny – panowie postanowili razem zarobić. Osią działalności ich spółki były... skoki na plebanie. Książkę sprawował opiekę merytoryczną, więzień zajął się praktyką. Kapelan wskazywał zamożne parafie, odpowiadał też, gdzie mogą być pieniądze. Obrobili jedenaście plebanii. Skrucie okazał gangster. Przyznał się do winy, obciążając księdza jako głównego pomysłodawcę. Kapłan do końca nie pisał słówek, ale zeznania współnika wepchnęły go na sześć lat do pierdła.

– I tym optymistycznym akcentem zakończmy tę rozmowę.

Rozmawiał
ŁUKASZ PIOTROWICZ

Artur Nowak (ur. 1974) – adwokat, publicysta i pisarz, m.in. współautor, wraz z profesorem Stanisławem Obirkim, bestsellerowych reportaży: „Babilon. Kryminalna historia Kościoła” oraz „Gomora. Władza, strach i pieniądze w polskim Kościele”. Napisał też „Kroniki opętanej” – powieść, w której przedstawił opartą na faktach historię nastolatki molestowanej przez egzorcystów. Jest również autorem reportażu „Adwokaci. Zraniony zapal”. Współautor podcastu „Kryminalna historia Kościoła”, nagrodzonego bestsellerem Empiku za 2022 rok. Kolejny sezon tego podcastu otrzymał w roku 2023 nagrodę Best Audio. Od 2021 roku na kanale Sekielski Brothers Studio prowadzi autorski podcast „Wysłuchanie”.

Paradoks siostry zakonnej: płynnie przechodzi ze stanu ofiary w stan kata. W czasach nieustannie podnoszonej kwestii kobiet i ich roli w społeczeństwie nóż się w kieszeni otwiera na wieść o traktowaniu zakonnic przez samczy kler. Darmowa niewolnicza praca, pranie brudnych gaci, pomiatanie, poniżanie, gwałty, zmuszanie do aborcji – to chleb powszedni wielu mniszek. One same powoli zaczynają mówić i oskarżać, powstał dla nich specjalny telefon zaufania, pojawiają się kolejne książki o ich niedoli. Drugi nóż otwiera się jednak w drugiej kieszeni na wieść o tym, jak zakonnice traktują powierzono im opiece niesamodzielną osobę.



W dziób od pingwina

Zakonnice biją na alarm i dzieci.

Dziecko przekracza granicę

Donoszą wścibskie media, że 47-letnia Sylwia Maria J. usłyszała prawomocny wyrok roku pozbawienia wolności za przemoc. To zakonnica ze Zgromadzenia Sióstr Najświętszej Rodziny z Nazaretu, zwanych nazaretankami. Jeżeli takie standardy, jakie zaprezentowała siostra Sylwia, panowały w Świętej Rodzinie, to współczujemy Jezuskowi, bo od dzieciństwa miał przechlapane, ale za to zaprawił się przed bolesną męką i śmiercią na krzyżu. Takim krzyżem, jaki nazaretanki noszą na swoim habicie.

Sylwia J., nauczycielka w prowadzonym przez nazaretanki przedszkolu w Łukowie – jak informuje prokuratura – „znęcała się psychicznie i fizycznie nad pozostałymi w przemijającym stosunku zależności i nieporadnymi ze względu na wiek małoletnimi wychowankami”.

Przekładając to na język czynów: swoim podopiecznym wiązała ręce i nogi, zaklejała usta, zamykała w ciemnym pomieszczeniu. Dotyczyło to ośmiorga czterolatków, a działo się w latach 2018–19.

Zaraz po nagłośnieniu sprawy siostrzyczka wydała pełne żalu do wszystkich poza sobą oświadczenie, w którym pisała że „czasami zdarza się, że któreś dziecko niebezpiecznym zachowaniem przekroczy pewną granicę. Wtedy wszyscy musimy się zatrzymać i po prostu dać sobie chwilę na przywrócenie tej harmonii, która na ogół nam towarzyszy. Tak było i w tym przypadku”. Pisała też, że rodzice w sumie przesadzają, a ona „nie rozumie tego i boli”.

Po prawomocnym wyroku oświadczyły się z kolei władze nazaretanek, pisząc: „Sprawa wstrząsnęła nami podwójnie: po pierwsze dlatego, że dotyczy dobra dzieci, a po drugie dlatego, że chodzi o naszą siostrę. Nie czekając na ostateczny wyrok, podjęliśmy kroki mające na celu zapobieganie takim wydarzeniom w przyszłości. Wprowadziliśmy w naszych placówkach szereg rozwiązań, które obejmują między innymi monitoring oraz dodatkowe szkolenia dla personelu z zakresu ochrony małoletnich”. Sztandarowa formułka, żeby się wszyscy odwalili.

Najogólniej nie w porządku

Niepierwszy to problem z metodami wychowawczymi nazaretanek. W 2022 r. była afera w Kaliszu, gdzie katechetką była nazaretanka z 30-letnim stażem. Jej stylu prowadzenia lekcji indoktrynacji religijnej nie zdzierzył ojciec dwóch uczennic i poszedł z tym do mediów. Opowiadał „GW”, że dzieci w wieku komunijnym „słyszały, że »siedzi w nich szatan«, że »nawet jeśli wasi rodzice nie piją, to przyjdzie policja i zabierze was do domu dziecka« oraz »będziecie kłaniać się na ulicy księżom i zakonnikom, a Kościół przejmie władzę nad światem«”. Poza tym szarpała za uszy i szturchała uczniów. Odsunięto ją od nauczania w szkole i w zasadzie tyle. Nazaretanki zapowiedziały audyt we wszystkich szkołach, które prowadzą i w których pracują. Wyników nie znamy, ale widocznie problem nabrzmiewał i nie był jednostkowy.

Iza Mościcka, była nazaretanka, prowadzi obecnie Centrum Pomocy Siostrom Zakonnym. W rozmowie z Wirtualną Polską opowiadała, że знаła wspomnianą wyżej skazaną.

„Znałam siostrę Sylwię. Choć nigdy nie pracowałam z nią w jednej placówce, byłyśmy razem w Zgromadzeniu Nazaretanek i w tej samej prowincji. Wśród sióstr pracujących w przedszkolach było wiadomo, która siostra zachowuje się, mó-

wiąc najogólniej, nie w porządku”. Próbuje poniekąd tłumaczyć swoje byłe towarzyski niedoli:

„Siostry po prostu mają bardzo dużą tolerancję na taką mikroprzemoc, również wobec dzieci, dlatego że same jej doświadczały”.

Molestanci też często byli za dzieciaka molestowani, ale to nie jest okoliczność łagodząca.

Dajcie im nauczkę

Przemoc z zakonnicami w tle lub głównej roli co jakiś czas przewija się w doniesieniach medialnych. Najgłośniejszy bodaj przykład sadystycznej mniszki to niejaka siostra Bernadetta, boromeuszka z Zabrze. W prowadzonym przez siostrzyczkę ośrodku wychowawczym podopieczni byli bici, opiekunki przymykały oko na gwałty i przemoc między nimi. Horror ciągnął się od lat 70. XX w. „Były za wszystko. Najgorzej, jeśli zsiakałeś się do łóżka w nocy albo byłeś głośno. Lubiły bezwzględnie ciszę. Czasem prosiły starszych chłopaków o pomoc. »Dajcie im nauczkę« – mówiły. Wtedy prowadzili nas na gwiazdę. Tak mówiliśmy na strych z gwiazdą na podłodze. Chłopcy nas tam robierali, bili, do krwi. Siostry patrzyły” – opowiadał jeden z nich Justynie Kopińskiej, autorce reportażu „Czy Bóg wybaczy siostrze Bernadettce?”. W ubiegłym roku sąd przyznał temuż byłemu podopiecznemu Agnieszki F., czyli siostry Bernadetty, 500 tys. zł zadośćuczynienia. Ona sama w 2014 r. trafiła na dwa lata do więzienia.

W ubiegłym tygodniu pisaliśmy o raporcie nowozelandzkiej komisji, która ustaliła, że w ostatnim 70-leciu 200 tys. dzieci, młodych ludzi i bezbronnych dorosłych padło ofiarą przemocy w ośrodkach państwowych i kościelnych. Szczegółom okrucieństwem odznaczały się te kościelne, wśród których prym wiodły katolickie.

Z danych za 2020 r. wynika, że zakonnice w Polsce prowadzą ok. 370 przedszkoli, 100 szkół, ponad 50 internatów, burs i akademików, 63 świetlice, 33 ośrodki wychowawcze, w tym specjalne ośrodki wychowawcze, 72 domy dziecka, w tym 13 rodzinnych domów dziecka, 112 domów pomocy społecznej, 28 domów opieki, 5 placówek zapewniających całodobową opiekę niepełnosprawnym, 10 domów dla matek z małymi dziećmi (dane ze strony ekai.pl). Dała przykład Nowa Zelandia, jak raportować mamy.

ELEONORA PRONOBIS

Wesoła plebania

Seks, narkotyki i kasa.

Smutny jak pizda serial TVP „Plebani”, kręcony w latach 2000–2012, opisywał życie w zapyziałym miasteczku gdzieś na polskiej ścianie wschodniej. Widownia produkcji – głównie starsze panie z prowincji – z wypiekami na twarzy obserwowała życie na tytułowej plebanii, która była centrum mikroświata. Dojrzały, przystojny proboszcz był w ich oczach namiestnikiem Pana Boga na Ziemi. Jako iż było to apogeum ujanieprawienia, ostatnie lata życia papieża-Polaka i miesiąc miodowy polskiego katolicyzmu po jego śmierci, obraz czarnych rysowano w nader jasnych barwach.

W czarnych barwach natomiast rysuje rzeczywistość prawdziwych plebanii mec. Artur Nowak, czołowy rodzinny antyklerykał i adwokat broniący interesów ofiar pedofilskich ryjów w sutannach. Jego najnowszą książką z gatunku literatury faktu, „Plebani”, to lektura nader przynębiająca, pokazująca naćpany, złodziejski, chwilami zwyrodniały obraz rodzimego kleru. W depresję mogą wpędzić niektóre historie, np. gwałtów na nieletnich, które następnie są zmuszane do rodzenia dzieci. Niemniej jednak na kanwie książki „Plebani” mogłyby powstać błyskotliwe produkcje telewizyjne i internetowe.

Czas ukazać bardziej realistyczną, rozrywkową twarz rodzimych klechów, co mogłoby powstrzymać najszybszy na świecie odpływ młodych od Kościoła. Katolicyzm przetrwał tyle, bo umiał się dostosować do każdej sytuacji, więc powinien – jak sam mawia – stanąć w prawdzie i dać świadectwo, że życie proboszcza czy wikarego może być wręcz fascynujące, ostro gejowskie, w oparach alkoholowego zmieszanego z mefeldronem. I na bogato.

Mam nadzieję, że po moje pomysły sięgnie przede wszystkim TVP w stanie likwidacji, któ-

ra ma kłopoty finansowe, a misję publiczną musi wszak krzawić ku radości uśmiechniętej Polski opatrzonej biało-czerwonym serduszkim.

Mister w koloratce

Istotny wątkiem książki Nowaka jest utrzymywanie młodych, jurnych, dobrze ubranych i ładnie pachnących pięknych mężczyzn, którzy zamieszkują niejedną plebanie. Tu pojawia się koncept reality show „Mister plebanii” wzorowany na „Love Island” czy „Hotelu Paradise”, które cieszą się niesłabnącą popularnością w komercyjnych stacjach telewizyjnych.

Akcja toczy się w jakimś mieście, które jest celem katolików z całego świata, a zarazem jest atrakcyjną destynacją turystyczną. Niech to będzie sanktuarium maryjne w meksykańskim Guadalupe (nie mylić z francuskim terytorium zamorskim – Gwadelupą), czyli miejsce, gdzie rokrocznie przybywa nawet 20 mln pielgrzymów – więcej katolików nawiedza jedynie Watykan.

W tak wyjątkowych okolicznościach przyrody mamy pięciu proboszczów i pięciu młodych gejów, wyglądających wedle sztancy takich programów – imponująca muskulatura, tatuaże, brody, plus (trzeba show czymś wyróżnić, aby nie zginęło w tłumie) świadectwo moralności od właściwego katabasa. Młodzi bohaterowie mają tydzień, aby znaleźć uznanie u jakiegoś proboszcza, kto nie znajdzie osoby chętnej do pedałowania, opuszcza program, a w jego miejsce wchodzi nowe ciacho. Główną nagrodą jest jakiś „Kuwej”, czyli złotodajna parafia (taka, za której otrzymanie abp. Leszek Sławoj Głódź życzył sobie

stojącej koperty), a także 10-dniowy pobyt w luksusowym hotelu na Malediwach dla zwycięskiej pary.

Młodzieniaszki, aby się wykazać, muszą wykonywać różne zadania. Zdać test z Katechizmu Kościoła katolickiego. Umieć dobrać ornat do właściwej uroczystości kościelnej. Ładnie śpiewać pieśni maryjne. Uczestniczyć w quizie z życia świętego JP2. Wybrać najprzedniejsze wino mszalne. Orientować się w nauce Kościoła odnośnie seksualności. Wygłosić wyszukany toast na weselu, które się odbywa po ślubie kościelnym.

Ekipa z Dąbrowy

Oczywiście, nie każdy chce się wiązać na stałe, a każdy za to lubi się zabawić. Ten wątek w „Plebani” jest ciekawie rozwinięty i daje do myślenia. I co wymyśliłam? Ano to, że nastolatków powi-

ZMIENIAMY RAMÓWKĘ, A TO SĄ NOWI PREZENTERZY! . . .



Rys. TOMASZ WIATER

nien przyciągnąć program wzorowany na „Warsaw Shore”. Ekipa z Warszawy” (polska edycja cieszącego się ogromnym sukcesem i mającego wiele lokalnych edycji „Jersey Shore”), zatytułowany „Dąbrowa Shore. Ekipa z Plebanii”. W końcu Dąbrowa Górnicza jest synonimem grubych imprez gości z koloratkami, których pozadrość im mogą maluczy niemający w zwyczaju po afrodyzjakach i zakazanych substancjach godzinami jechać na dwa baty z pracownikami seksualnymi.

Schemat programu jest prosty jak ruchanie albo kasowanie forsy od rodzin małych i idących do komunii. Grupa ludzi, duchownych i świeckich, mężczyzn i kobiet, mieszkają w luksusowej plebanii. Pod czujnym okiem kamer mają zapewnione wypasione życie, wieczną imprezę, jednodniowe wypad do spa, treningi MMA z pobożnym Marcinem Najmanem, skoki na bungee czy ćwiczenie na siłowni pod okiem trenera personalnego. Bohaterom programu towarzyszymy nawet nie od świtu do zmierzchu, bo najciekawsze rzeczy (kamery w sypialniach nagrywające w podczuwaniu) dzieją się wszak nocą.

„Dąbrowa Shore” ma uczyłowiec duchownych, pokazać skracanie przez nich dystansu – niekiedy liczonego w centymetrach ujemnych – z osobami świeckimi. A nade wszystko kreować atmosferę nieskrępowanej zabawy, zwyczajnej radochy, która pokazuje ludzką twarz Kościoła. Taki wikary wszak może najebany i ujarany ziołem – ze względów pedagogicznych, mając receptę na medyczną marihuanę – złapać jakąś laskę na dyskotekę za tyłek i dostać za to po pysku. A 20-letnia parafianka może filuternie dopytać swojego katechetę, w jakim staniu wygląda najbardziej sexy i czy podobają się mu jej stringi.

Przybliżając realne życie na plebanii można zrobić dużo dobrego, zgodnie z duchem Nowej Ewangelizacji JP2, wszak – jak nauczał Jezus – poznać prawdę, a prawda was wyzwoli...

K.K.

Ruskie onuce wymienię

Czy wymiana więźniów między Wschodem i Zachodem jest sukcesem? To nie takie proste.

W Ankarze Zachód wymienił się więźniami z Rosją. To się zdarza, ale tym razem wymiana objęła aż 24 osoby z siedmiu państw. Osoby to bardzo różne – od uwięzionych przez reżim Putina dziennikarzy i dysydentów po zawodowych ruskich szpiegów, łącznie z jednym takim plk. Krasikowem, który siedział w Niemczech za morderstwo. Zresztą informacje o personaliach są bardzo niekompletne, choć z czasem na pewno dowiemy się więcej. Dla uwolnionych więźniów, ich rodzin i przyjaciół ta wymiana to największe szczęście. A dla świata? Sprawa nie jest jednoznaczna – i mówiąc to, mam na myśli dokładnie to, co mówię. Po prostu biję się z myślami jak przy nie lada dylemacie. Nie ma tu prostego „tak” albo „nie”.

Nie zawsze to, co dobre dla jednostki, jest też dobre dla ogółu. Wymiany więźniów między skonfliktowanymi ze sobą państwami rodzą nie mało wątpliwości etycznych. I może najmniej istotne jest to, że źli ludzie nie zostaną ukarani jak ów pułkownik FSB. Zamiast żeby taki ruski szpieg posiedział parę latek, a wcześniej wyśpiewał, co wie, to sobie leci do Moskwy, odbiera zaległe wynagrodzenie, a po tygodniu odpoczynku na łonie tego i owego udaje się z rodziną na dobrze zasłużony urlop. Owszem, to trochę frustrujące, lecz jeśli taka jest cena za uratowanie życia opozycjonisty czy

dziennikarza, to przecież warto ją zapłacić. Tak się przynajmniej wydaje na pierwszy rzut oka, ale życie jest bardziej złożone niż nasze intuicje.

Proceder wymiany więźniów ma bowiem również konsekwencje poważniejsze niż sama tylko rezygnacja z zasad praworządności, nakazujących stawiać przestępców przed sądem, a sądowe wyroki ściśle wykonywać. Najgorsze jest to, że gdy już między Zachodem i taką Rosją wytworzy się pewnego rodzaju diaboliczne zaufanie, oparte na założeniu, iż co pewien czas dochodzić będzie do kolejnych wymian, to stanowi to ogromne ułatwienie, jeśli nie wręcz zachętę do podejmowania się pracy szpiega. Szpiegujesz sobie i możesz liczyć na to, że w razie czego cię wymienią, czyli de facto wykupią. Niestety, nie za gotówkę. Nie chodzi więc nawet o to, że dzięki ugruntowanej „tradycji wymian” praca szpiega staje się o wiele bezpieczniejsza, lecz o to, że aby taki pozaprawny system działał, trzeba zapełnić więzienia ludzkim „towarem” na wymianę. Inaczej mówiąc

funkcjonowanie instytucji wymiany więźniów prowadzi do zwiększonej liczby aresztowań w krajach rządzonych przez autorytarne i przestępcze reżimy – po prostu aby było kogo wymieniać.

Opróżnione cele białoruskich i rosyjskich więzień bardzo szybko zostaną wypełnione nowymi zakładnikami, którzy być może doczekają się za rok albo dwa wymiany na agentów Putina, a być może jednak się nie doczekają. Właściwie każdy cudzoziemiec nadaje się do tej roli. Pojedziesz na wycieczkę do Nowogródka pokłonić się Mickiewiczowi, a oni cię hyc! Ze niby ty szpion. To całkiem realne i kompletnie dewastujące. Białoruś i Rosja stają się w kontekście tego ludzkiego barteru istnym Dzikim Wschodem. Zapada żelazna kurtyna odbierająca wszelką nadzieję ludziom dobrej woli, którzy znaleźli się po niewłaściwej stronie.

Gdy wymiany więźniów stają się rutyną, obie strony chcąc nie chcąc wchodzą w pewnego rodzaju zgodną współpracę, tworząc wspólny system „bezpieczeństwa”, oparty na cynicznych i amoralnych podstawach. Prawdziwy konflikt między Zachodem i Rosją, będący przecież w zasadzie czystym konfliktem sił prawa i demokratyzmu z siłami totalitaryzmu i imperializmu, zostaje w ten sposób niejako zrelatywizowany moralnie przez deal służb specjalnych, które, prowadząc swoje gry, również całą tę wielką konfrontację dobra ze złem – jak chcielibyśmy postrzegać zmagania Zachodu z Rosją – sprowadzają do poziomu gry. I to gry moralnie dwuznacznej.

A przecież nie możemy całkowicie wyrzekać się tej szansy na wyciąganie naszych ludzi, nie raz ludzi wyjątkowych i zasłużonych w walce o wolność, jaką stanowi instytucja wymiany więźniów. Czasami warto z niej skorzystać. Ale kiedy? Sprawa przypomina płacenie okupu. Czy z porywaczami wolno negocjować? Wydaje mi się, że każdy przypadek trzeba traktować odrębnie, biorąc pod uwagę różne uwarunkowania. Co do zasady, okupów się nie płaci ani więźniów nie wymienia. Jednakże obowiązuje jeszcze meta-zasada, mówiąca, że od zasad bywają wyjątki. Jakże? Różne rzeczy wchodzą tu w grę. Na przykład obawa, że „nasz człowiek” w Rosji może nie wytrzymać i zacząć sytać. Albo wyjątkowość sytuacji wynikająca z emocji, jakie budzi ona w społeczeństwie – gdy na przykład więźniem jest osoba ciężko chora albo kobieta ciężarna. Tak czy inaczej, skoro już dochodzi od czasu do czasu do wymiany więźniów na moście, to dobrze, żeby po stronie wolnego świata stały za tym pewne reguły czy (tajny z natury rzeczy) kodeks postępowania. Nie zastąpi on jawnych i demokratycznie uchwalonych przepisów prawa, lecz przynajmniej może być ich ułomnym substytutem. Tymczasem, miejmy nadzieję, że zachodnie (a w tym również nasze) służby wiedzą, co robią. I cieszymy się z powrotu do domu kilkunastu dzielnych ludzi. Cieszyć się to nie grzech.

JAN HARTMAN

Polemizuję z Jarugą na temat Stanów Zjednoczonych

Nasz znakomity kolega Robert Jaruga ma duszę poety. Co oznacza, że widzi świat inaczej – i za to jego niezwykle oryginalne teksty kochają nasi Czytelnicy, a my przeważnie kładziemy uszy po sobie i nie usiłujemy polemizować. Ale przychodzi taki moment, kiedy polemika zdaje się nieodzowna.

W zeszłym tygodniu Robert popełnił tekst zatytułowany „Pracowity odpoczynek. Urlop po amerykańsku”, w którym wywodzi z jasnym czołem, że Ameryka jest najlepszym na świecie miejscem dla ludzi pracy. Sorry, ale nie zdzierzę.

Wolni, równi, głodni

Jaruga pisze słusznie, że w USA „nie istnieją płatne urlopy, wczasy pod gruszą, fundusze świadczeń pracowniczych tworzone przez przedsiębiorców”, a „umowa o pracę jest relacją na gruncie prawa cywilnego”, co w gruncie rzeczy oznacza, że nie istnieje. Robert jest zachwycony systemem, który – jak trafnie zauważa – „jawi się z europejskiego punktu widzenia jako nieludzki, niebezpieczny, nie dający pracownikowi (znajdującemu się zwykle na podrzędnej w stosunku do pracodawcy pozycji) ochrony państwa”. Niby się jawi, ale – uwaga – „działa jednak nadzwyczaj dobrze, o czym świadczą rezultaty”.

Z całym szacunkiem dla redaktora Jarugi: jakie, kurwa, rezultaty?!

„USA, jak żadne inne państwo, stały się krajem szczęśliwie zatrudnionych. Uśredniony tygodniowy czas pracy wynosi tu 30,5 godziny. Umiarkowanie długo jak na państwo rozwinięte” – pisze nasz znakomity kolega. Dla porządku: według danych Amerykańskiego Biura Statystyki Pracy (oficjalnego organu Departamentu Pracy USA) średni tydzień pracy w pozarolniczym sektorze prywatnym w lipcu 2024 r. wynosił 34,2 godziny. Ale – i to jest kluczowa wiadomość – spora część pracowników nie jest w stanie utrzymać się z tego, co zarabiają przez te 34 godziny. W sondażu Harris Poll dla Bloomberg News z końca 2023 r., prawie 40 proc. Amerykanów stwierdziło, że w ich gospodarstwie domowym dla związania

KAZACZOK Z CZOŁGAMI

★ Wołodymyr Zelenski przedstawił na antenie BBC rewolucyjne tezy – całkowicie sprzeczne z głoszoną przez niego od przeszło dwóch lat narracją. „Nie powinniśmy wyzwać wszystkich swoich terytoriów siłą i bronią, ponieważ wiąże się to z dużymi stratami w ludziach i utratą czasu” – powiedział. Dodał ponadto, że Ukra-

ina mogłaby się zrzec części terytoriów na rzecz Rosji w wyniku ogólnokrajowego referendum. Byłaby to niespotykana dotychczas demokratyzacja konfliktu zbrojnego.

★ Podczas 33. edycji Letniego Wolnego Uniwersytetu, w zamieszkałym w znacznej części przez Węgrów rumuńskim Siedmiogrodzie, wykład wygłosił premier Węgier, Victor Orbán. „Polacy prowadzą obłudną politykę. Krytykują nas za nasze stosunki z Rosją, a prowadzą z Rosją interesy przez pośredników. Takiej hipokryzji ze strony państwa nigdy nie widziałem” – powiedział, wskazując na realizowany przez polskie firmy tzw. import równoległy. Premier Węgier uznał ponadto, że Polska próbuje przemeblować europejski układ sił – państwa dominujące na osi wschód-zachód tj. Rosję i Niemcy, mają zastąpić kraje anglosaskie oraz Ukrainę.

★ Polski rząd odciął się od słów węgierskiego premiera, domagając się przedstawienia dowodów na gospodarczą współpracę polsko-rosyjską. Tymczasem Jankesi wcale konszachtów z Rosją nie ukrywają – ponad połowa amerykańskich firm działających w Rosji przed wybuchem konfliktu na Ukrainie wciąż jest aktywna nad Wołgą.

★ Od 1 września do szkół obowiązkowo trafią ukraińskie dzieci, a żeby je pomieścić, zwiększono maksymalną liczebność klas do 29 uczniów. Jest to decyzja sprzeczna z postulatami nauczycieli oraz wynikami badań naukowych wskazującymi, że dla optymalnego rozwoju dzieci klasy powinny liczyć kilkunastu uczniów. Jednak, jak powszechnie wiadomo, pomoc „bratniej Ukrainie” jest ważniejsza niż los polskich dzieci.

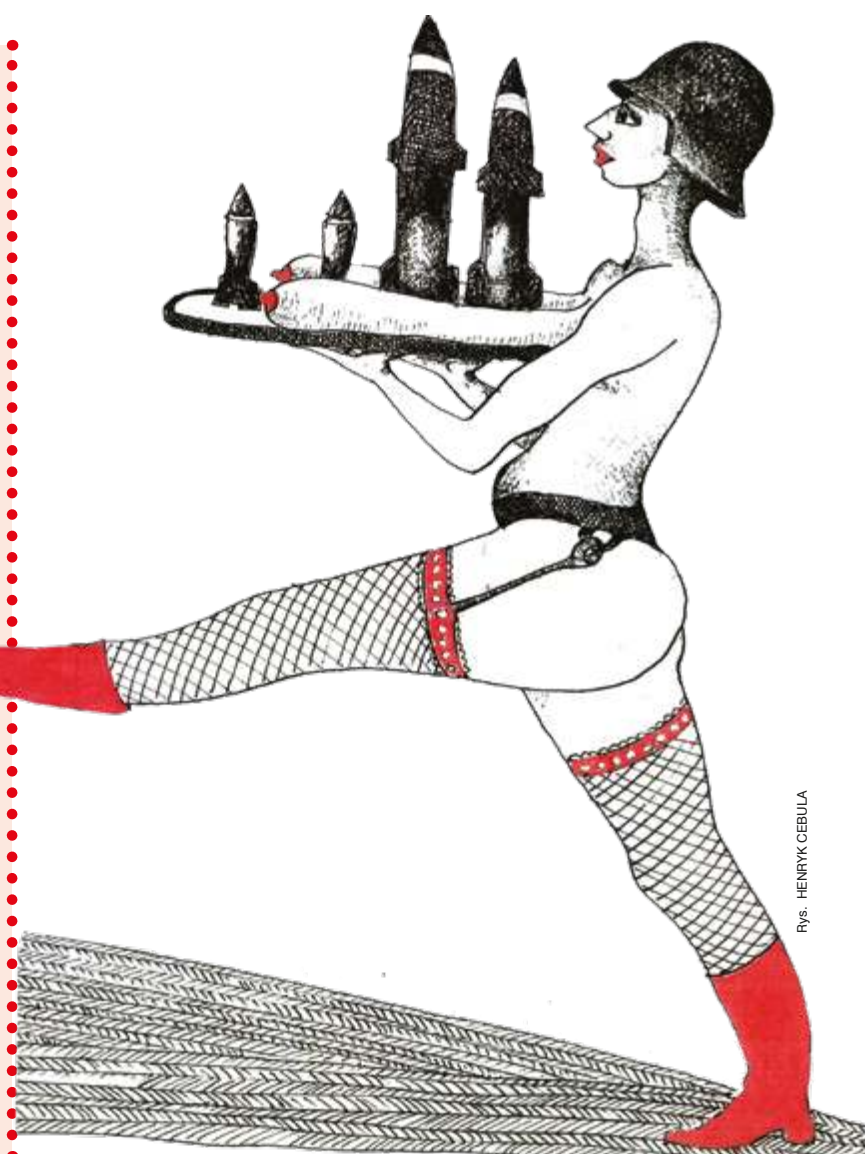
★ Drugim edukacyjnym pomysłem koalicji 15 października vel 13 grudnia jest wprowadzenie do szkół „asystentów międzykulturowych”, którzy mają wspierać integrację uczniów z Ukrainy. Rząd zapomniał jednak o racjonalnym finansowaniu projektu i w efekcie, jak donosi „Dziennik Gazeta Prawna”, „szkoły nie spieszą się z zatrudnianiem asystentów. W banku ofert pracy dla nauczycieli znajduje się obecnie tylko jedna oferta w Krakowie”.

★ Wśród polskiej klasy politycznej nieustannie trwa kamawal miłości do Ukrainy. Tymczasem za naszą zachodnią granicą rząd zapowiedział obcięcie w przyszłym roku pomocy dla Kijowa o 50 proc. – z 8 do 4 mld euro.

MAREK SANOWSKI
Ukraina.tygodniknie@gmail.com



Rys. TOMASZ WOLCZYN



Rys. HENRYK CEBULA

Fuck USA



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

wsze i wszędzie byłoby moim ostatnim wyborem.

Ale, żeby nie było, że przemawia przeze mnie osobiste uprzedzenie – pozwólcie, że przytoczę fascynujące studium opracowane przez Australijski Instytut Polityki Strategicznej (ASPI) pod tytułem „Tracker technologii krytycznych”. Bardzo precyzyjnie analizuje ono pozycję najbardziej rozwiniętych krajów świata w poszczególnych dziedzinach rozwoju i innowacyjności.

Na 44 czynniki – począwszy od nowoczesnych materiałów, poprzez sztuczną inteligencję, energię, fizykę kwantową, biotechnologię, aż po technologię kosmiczną – USA przewodzą w siedmiu, Chiny – w 37.

Z czego w ośmiu dziedzinach istnieje „wysokie ryzyko”, że ChRL osiągnie „monopol technologiczny”. Inaczej mówiąc, dzisiejsza chińska tandeta za parę lat stanie się jedyna na świecie.

My, z gównianych krajów

„Obecnie USA są państwem socjalnym o najwyższym standardzie życia po Norwegii, gwarantującym większości społeczeństwa bezpieczeństwo w przypadku utraty zatrudnienia. Większe niż np. w Niemczech” – pisze Jaruga. Skąd Kolega wziął tę informację? OECD publikuje oficjalne dane porównujące poziom zasiłku dla bezrobotnych liczonego jako procent dochodu przed utratą pracy i po roku od tej utraty. Średnia dla OECD wynosi 44 proc.; na czele stawki jest Luksemburg z 87 proc., za nim Belgia i Dania z 78. Powyżej 50 proc. zasiłku oferują swoim obywatelom Portugalia, Szwajcaria, Norwegia, Francja, Hiszpania, Niderlandy, Szwecja, Włochy, Islandia, wspomniane przez Roberta Niemcy, Finlandia i Austria. Polska jest 27. na 38 krajów ze śred-

nim zasiłkiem na poziomie 31 proc. pensji przed utratą pracy.

Zgadnijcie, które są Stany?

No dobra, nie będę Was trzymać w niepewności: ostatnie. 38. na 38 krajów OECD z zasiłkiem na poziomie 9 proc. ostatniej pensji.

Z tym konceptem Jarugi dość łatwo było się rozprawić. Ale USA jako „państwo socjalne o najwyższym standardzie życia”? Szczerze: nawet nie wiem, co to zdanie ma oznaczać. Stany Zjednoczone Ameryki Północnej (tak, wiem, że tak się mówiło za PRL, ale przecież Ameryki są dwie) są „państwem socjalnym” w tym stopniu, co Polska świeckim. Ale sprawdzmy.

Są różne metody mierzenia „standardu życia”; dla uniknięcia posądzenia o stronniczość przyjmę amerykańską. Opracowaną przez „U.S. News & World Report” – magazyn, który od 76 lat przygląda się Ameryce na tle świata. Publikuje on „ranking najlepszych krajów”, na który składa się dziewięć atrybutów, odnoszących się do jakości życia w danym kraju: poziom cen, jakość rynku pracy, stabilność gospodarcza, przyjazność dla rodzin, równość dochodów, stabilność polityczna, bezpieczeństwo, publiczne systemy edukacji i opieki zdrowotnej. Taki dość racjonalny zestaw cech kraju, w których chcielibyśmy żyć. Ranking obejmuje 87 krajów. Na czele są od lat, tylko zmieniając się miejscami, Szwecja, Norwegia, Kanada, Dania, Finlandia. Polska jest 22. Chujowo, ale jednak przed Stanami, które są 23.

Ze zdaniem, iż „każdy obywatel świata może pojechać do Ameryki i zostać prawdziwym Amerykaninem, którego narodowości i obywatelstwa nikt nie będzie kwestionował” – w odniesieniu do kraju, który wybrał sobie na prezydenta koleś nazywającego imigrantów „gwałcicielami”, którzy „przywożą ze sobą narkotyki i przestępczość” i przybywają z „gównianych krajów” – nawet nie będę polemizować.

Amerykański system społeczny w oczach Roberta Jarugi „prezentuje się nieco atawistycznie, ale w gruncie rzeczy wzmacnia obywatelską pewność siebie, poczucie wartości, zdolność do samostanowienia”, a także „wyzwała inicjatywę i wzmacnia życiową chujność”. Chciałabym się zgodzić chociażby z tą czujnością – ale nie mogę. Natchniony monolog mojego znakomitego Kolegi wykazuje, że nawet to nie jest prawda.

AGNIESZKA WOLK-ŁANIEWSKA

końca z końcem niezbędne było podjęcie przez kogoś dodatkowej pracy; spośród nich 38 proc. stwierdziło, że dodatkowe pieniądze ledwo pokryły ich miesięczne wydatki, bez żadnej nadwyżki; 23 proc. – że nadal nie wystarczyło to na opłacenie rachunków.

Robert twierdzi, że zatrudnienie nie regulowane prawem pracy jest „umową (oświadczeniem woli) dwóch równych i wolnych ludzi”. Uwierzę, kiedy spotkam pracownika magazynu Amazona z elektroniczną obrozą na szyi (Amazon każe im nosić skanery kontrolujące każdą sekundę ich czasu), który uważa się za wolnego i równego Jeffowi Bezosowi. Do tego czasu pozostanę jednak przy przekonaniu, że „amerykański sen” opiera się na brutalnym wyzysku pracowników przy całkowitej akceptacji ze strony państwa.

Chińczycy zjedzą ich w ryżu

„Mimo skróconego cyklu pracy, Amerykanie mają niekwestionowane efekty. Pozycję liderów w większości aspektów ludzkiego wieloboju” – pisze dalej red. Jaruga.

W jakich konkretnie?

USA przewodzą światu – żeby cytować pamiętny monolog bohatera znakomitego (amerykańskiego) serialu „Newsroom” – w trzech dziedzinach: „liczby osadzonych per capita, odsetka dorosłych, którzy wierzą w anioły i wydatków militarnych”. Film jest z 2012 r., ale informacja pozostaje aktualna: w USA w pierdłu siedzi blisko 1,8 mln ludzi, czyli 531 na 100 000 obywateli – absolutny rekord, więcej niż w Chinach nie tylko procentowo, ale też w liczbach

bezwzględnych. 7 na 10 dorosłych Amerykanów wierzy w anioły – wykazało badanie NORC dla Associated Press z 2023 r. W którym to roku na Stany przypadło 37 proc. światowych kosztów zbrojeń.

Jaruga przyznaje, że „nie potrafiłby zracjonalizować”, dlaczego amerykańska praca „okazuje się najbardziej efektywna”, ale obrazuje to przykładem: „Jeżeli byście mogli wybrać między lodówką amerykańską, niemiecką albo chińską, kupilibyście tę made in USA”.

Już nawet nie wiem, jak na to zareagować. Kim są „wy” z tego przykładu? Gdybym chciała lodówkę (pralkę, samochód, kombajn rolniczy) niezawodną i wyrafinowaną technicznie, kupiłaby niemiecką; z biedy kupuję chińskie. „Made in USA” za-

Uzrania ZSRR wzorowano się tam na amerykańskiej architekturze, wznosząc monumentalne budowle, które – dla odciążenia się od amerykańskich wzorców – nazywano socrealistycznymi. Jeszcze w latach 30. w Związku Radzieckim grano jazz, który później został zakazany jako muzyka kapitalistyczna. Nawiasem mówiąc, była to postawa sprzeczna z dialektyką marksistowską: wszak kapitalizm jest ustrojem bardziej postępowym niż feudalizm, tymczasem społeczeństwu narzucono zachwyt feudalną, a więc dialektycznie wsteczną muzyką. Podobnie było z malarstwem, które miało być nie abstrakcyjne, lecz figuratywne – na wzór tego z epoki feudalizmu. Nie brzydono się natomiast kapitalistycznym wynalazkiem kinematografii. Pewnie dlatego, że sam Lenin uznał kino za najważniejszą ze sztuk, a z Leninem nie należało polemizować.

Wpływ nie był nieodwzajemniony – z upływem lat również w USA starano się wykorzystywać radzieckie doświadczenia. Na wzór NKWD powołano tzw. komisję McCarthy’ego mającą wynajdywać obcych agentów w strukturach państwa. McCarthy to taki amerykański Beria. Łączy ich również to, że obydwa pochodzili z ubogich wiejskich rodzin, jednak byli na tyle ambitni, że ukończyli wyższe studia.

Teraz z kolei Związek Radziecki nie pozostawał dłużny. Kiedy Stany obalały niewygodnych im władców, głównie w Ameryce Łacińskiej (ale też w Iranie), radzieccy przeprowadzili *regime change* na Węgrzech i Czechosłowacji, obsadzając na czele tych państw bardziej lojalnych władców. Kiedy wojska radzieckie weszły do Afganistanu, to po ich przymusowym wycofaniu Amerykanie wprowadzili tam swoje, które też później musieli przymusowo wycofać. Oba państwa prześcięły się też na odcinku podboju ko-

Stany Zjednoczone Republik Radzieckich

O podobieństwach między USA i ZSRR

smosu. Kiedy ZSRR wypuścił na orbitę pierwszego sztucznego satelitę i pierwszego człowieka wysłał w kosmos, Amerykanie pierwsi wylądowali na Księżycu.

Zbliżony w obydwu krajach był też system doboru osób na najwyższe stanowisko państwowe. Dla przypomnienia, Donald Trump w wyborach w 2016 r. zdobył mniej głosów niż Hillary Clinton. Mimo to został prezydentem, ponieważ tak zadecydowała większość elektorów. Okazało się, że ich głosy liczą się bardziej niż milionów Amerykanów. Podobnie było w ZSRR. Tam również o tym, kto będzie I sekretarzem KC, decydowało kilku członków Biura Politycznego, a nie miliony członków KPZR, nie wspominając już o setkach milionów radzieckich obywateli. Może ktoś powie w tym miejscu, że elektorzy zostali wybrani przez mieszkańców poszczególnych

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK



stanów. Jednak członkowie Politbiura też nie wzięli się znikąd; byli wybrani na delegatów partyjnego zjazdu, który następnie wybrał ich do Biura Politycznego.

Stany Zjednoczone przyswoiły też sobie radziecką zasadę gerontokracji polegającą na obsadzaniu najwyższych stanowisk przez osoby w wieku mocno poemerytalnym. Jednak Amerykanie musieli być lepsi. Skoro Breżniew rządził do osiągnięcia wieku 76 lat, to Reagan zakończył swoje panowanie w wieku lat 78. I, jak się okazało, Stany nie powiedziały jeszcze ostatniego słowa. W wyborach prezydenckich w 2020 r. rywalizowali ze sobą dwaj geronci: Donald Trump, lat 74 i starszy o cztery lata Joe Biden. Gdyby tegoroczne wybory wygrał Trump – będzie to oznaczało utrwalenie gerontokratycznego systemu sprawowania władzy.

Warto też zauważyć, że echa z przeszłości rozbrzmiewają do dziś, także w głosie jego konkurentki. Szykowana na amerykańskiego prezydenta Kamala Harris oświadczyła ostatnio, że jeśli chodzi o współczesną historię, to osiągnięcia Joe Bidena są niedoścignione. Przypomina to jako żywo słowa Stalina o Leninie jako swoim nauczycielu.

O analogii pomiędzy USA i ZSRR świadczy też angielski skrót nazw obydwu państw. Stany Zjednoczone to United States czyli USA a Związek Radziecki to SU – Soviet Union. Wystarczy przedstawić litery.

BOLESŁAW K. JASZCZUK

BLOG WSZYSTKICH Ś

by

Świętej Eulalii

Prezes Jarosław Kaczyński wspierał głodówkę Solidarności na rzecz schematycznego nauczania historii w szkołach. Obiecał też, że gdy wróci do władzy, obfita nauka historii będzie budowała wspólnotę narodową. Czyli wybierze się z historii czyny chwalebne i uczyni je bezdyskusyjnie wspaniałymi, np. powstanie warszawskie.

Nie ma takich zdarzeń w historii Polski, z których nie wyziera jakaś błędność, zdrada lub świństwo. Będąc szefem narodowej prawicy, nasycałbym więc program szkolny nie historią, lecz wykładami statystyki.

Trefna dla nacjonalistów „Gazeta Koszerna” wyraziła oburzenie, wołając aj waj, ponieważ prawdziwi patrioci obalili nagrobek rodziców Adama Michnika – b.p. Haliny Michnik i Osjasza Szechtera, poczem narysowali na ruinie gwiazdę Dawida na szubienicy. Jest to oczywisty dowód braku w Polsce antysemityzmu i nadmiaru szlachetnej tolerancji nawet dla gudłajów. Wystarczy statystycznie spojrzeć na zdarzenie. W Polsce zachowały się dziesiątki tysięcy żydowskich grobów. Zbyszczeszczono jeden, co stanowi około 0,0001 ogółu parszywych płyt nagrobnych. Co dowodzi, że są one otoczone niezwykle szacunkiem narodu polskiego.

Do czynników państwowych i kościelnych napływa rocznie, jak się szacuje, około 500 skarg na księży (rzadko na zakonnice) pierdolących dzieci lub coś koło tego. W Polsce działa około 25 tysięcy duchownych katolickich. Oznacza to, że 98 procent duchownych nie molestuje seksualnie garncęją się do Jezusa diatwy. Co właśnie biskupi podkreślają.

Niestety statystyka nie zawsze działa na rzecz PiS. Propaganda policji drogowej milczy o tym, że przytłaczającą większość samochodów przyjeżdża do celu, nie ulegając wypadkowi. Wszystkie samoloty przywożą pasażerów żywcem. Przyjmując reguły statystyczne dotyczące pedofilów, PiS nie ma powodu tyle krzyczeć z powodu wyjątku smoleńskiego, jednego promila ogółu ładowań.

Św. Amelii

W małej stołecznej dzielnicy Wilanów zbudowano ostatnio drugą i trzecią bazylikę. Na bazylice przy ul. Sobieskiego stykającej się z domem wariatów wywieszono transparent: „Zwolnij tempo, aby spotkać Boga”. Moja riposta: „Dodaj gazu, aby spotkać Go zaraz”.

Św. Balbiny i Gwidona

Premiera „Proroka Ilji”, wspaniałego widowiska Tadeusza Słobodzianka w kierowanym przez niego Teatrze Na Woli (Wola to dzielnica Warszawy). Ten lokalny, rzecz by można dzielnicowy teatr, nie odwieczany przez nikogo ważnego, lecz zaledwany Prezydenta RP, w krótkim czasie daje trzecie już arcydzieło. „Naszą klasę” nagrodzoną „Nike” i „Proroka Ilję” też pióra dyrekcji oraz „Iluzję” Wyrzypajewa. Odnoszę zresztą wrażenie, że tematem przewodnim teatru są właśnie ludzkie iluzje.

W sztuce obowiązują sztuczne hierarchie. Na przykład telewizje i gazety

próbują czynić przejmującymi zdarzeniami miejscowe festiwale filmowe i egalitarnie rozdawane na nich nagrody. Kinematografię mamy ostatnio wybitną, tylko filmy nadal nie do oglądania.

Ogólnonarodową dumę jako arcydzieło architektury ma wzbudzić stadion sportowy w Warszawie. Wygląda jak opleciony cebryk. Jest bliźniaczko podobny do dziesiątków stadionów zbudowanych w świecie, choć oczywiście można go poddać testowi: „Znajdź pięć różnic między Stadionem Narodowym a chińskim Stadionem Powiatowego Smoka w Pikut-kau”.

Tymczasem teatr Słobodzianka, dramaturga światowej miary, jest fenomenem znanym tylko grupie wtajemniczonych. TVP, która musi wymyślać misję, przywraca więc spektakle teatralne, traktuje widzów jak dzieci, które muszą zaczynać od „Ślubów paniieńskich” itp. klasyki jednowymiarowej, płaskiej a śmierdzącej naftaliną.

Sztukę Słobodzianka o proroku rozumiem jako uniwersalną opowieść o tym, że nie należy wierzyć w żadną osobę, żaden zabieg czy w ideologię, która świat i życie ludzi może uczynić lepszym. Są to iluzje prowadzące do zawodu, utraty wiary. Bieda temu, kto uparcie i do końca bierze je serio. Rzecz jest ubrana w kostium religijny, lecz odnosi się do każdego rodzaju wiary, gdyż jest ona naiwnością jako taka.

Główny rekwizyt widowiska stanowi krzyż, a więc przedmiot, który historię przenosi z przedwojennych prawosławnych kresów przed współczesny pałac Komorowskiego. W barwnym widowisku bierze udział Rotchild, a nawet motocykl, kobieta nawiedzona i niewiasta śpiewająca będąca rozgłosnie rżnięta za kulisami. Znakomitością gry, pomysłowością języka, reżyserii spektakl prawie przerasta „Między nami dobrze jest” Masłowskiej. Podziwiałem nawet miszkę do mycia nóg ze względu na piękno jej odgłosów. Szekspir to Szekspir, ale już Molier nie umywa się do Słobodzianka w żadnej misce.

Św. Izydora

Skończyłem czytać „Żydokomunę” prof. dyr. Pawła Śpiwaka. Jako ostatni z opisywanego gatunku uchylam przed autorem mycki z czerwoną gwiazdą, chociaż jest to dzieło mojego wroga, gdyż filosemity i antykomunisty.

Jedna uwaga dotycząca służebności całej komuny wobec Moskwy. Po przejściu rządów w Polsce chodziło nam o zachowanie i poszerzenie tej władzy. Dążyliśmy więc, poczynając od Bieruta na Jaruzelskim kończąc, do jak największego zakresu niepodległości Polski nieosiągającego jednak takiego stopnia suwerenności, że można by nas było łatwo obalić.

Ja byłem w PRL patriotą też do pewnego stopnia, znacznie większego niż teraz.

Nawet dziś jestem jednak lepszym – tfu! – patriotą niż narodowo-prawi-

cowa opozycja machająca chorągwiemi i matkami boskimi. Oni marzą o katastrofie gospodarczej, inflacji, zawaleniu się służby zdrowia i ubezpieczeń społecznych. Czyhają na klęskę. Opozycja lewicowa nie pragnie w kraju klęski. Spokojnie czeka, aż Tuskowi wyczerpie się paliwo.

Świętej Celestyny

Tydzień temu napisać racylem, że w Warszawie „na bazylice przy ul. Sobieskiego stykającej się z domem wariatów wywieszono transparent »Zwolnij tempo, aby spotkać Boga«. Moja riposta: »Dodaj gazu, by spotkać Go zaraz«. Natychmiast po rozpoczęciu sprzedaży tamtego wydania „NIE” transparent zdjęto. Został tylko napis na przyległej pseudoneogotyckiej kaplicy: „Myjnia”. Księża przejmują się żartami. A przecież naćpany starzec, w którego wierzy Doda, nie służy w policji drogowej. Bóg to tylko logo paru dobrych biznesów.

Świętego Rufina

Przed Wielkanocą uciekliśmy z Daniszewską przed Wielkanocą – do Moskwy. Ze wsi do miasta. Znajomy zaprosił nas tam na urodziny. W sali balowej międzynarodowego centrum biznesu zebrało się przy stołach 200 bliskich jubilat. Kabarety oraz zespoły tańca, śpiewu i żartowania występowały na scenie przez cztery godziny. Akurat głośno wył Pavarotti, gdy podszedł do mnie miły, korpułentny, zaróżowiony dżentelmen w okularach i zapytał, czy znam Rothschilda. On bowiem z nim współpracuje, a nawet współprzewodniczy. Odparłem, że bierze mnie za kogoś innego. Okazało się, iż nie chodzi o Rothschilda, tylko o Rotfelda. Chciałbym mieć na koncie w banku tę różnicę.

Potem Daniszewska posłała mnie z palarni po swoje whisky, które zostawiła na stoliku. Rozpoznałem stolik: jej niedopita szklanka, moje trzy obgrzane kości baranie na talerzu. Wziąłem trunek, dopełniłem szklankę z butelki i zaniósłem. Okazało się, że pomyliłem stoliki i słynnemu aktorowi zabrałem sprzed nosa jego whisky. Potem pokazywano mnie palcami nie jako Rothschilda bynajmniej.

Zona, czyli Daniszewska, pochodzi z rodziny katolickiej, więc w każdą Wielkanoc rok w rok myje nogi. Aby się tym pochwalić, położyła boscę na stole. Personel kazał jej zdjąć. Daniszewska odmówiła i zapropono-

Od śmierci Urbana, w październiku i osieroceni, przypomniał mi się Urban. W końcu powiedzieliśmy sobie: Teraz będziemy przypominać blask świętych by blagier Urban” to luźna wycieczka, polityczne złośliwości: coś na kształt drukowanego przez 10 lat na ostatniej stronie „NIE”. Teraz będziemy go drukować na drugim. Na początek, większa porcja: pierwsze odcinki, z kwietnia 2012 r. Smacznego!

Świętego Wadima

Wracaliśmy Aeroflotem, który miał trzy kwadranse opóźnienia za sprawą rodaka i poniekąd naśladowcy Jana Marii Rokity. Rokita w Lufthansie usiłował wywołać powstanie narodo-we na trzeźwo. Jego moskiewski duplikat narąbany był jak rowerzysta. Gdy personel samolotu nie chciał go wypuścić, wołał, że wypił jedno piwo, a kupił trzy bilety i że jego biznes daje Roskom pracę. Rodacy pomóżcie, wołał, bo was razem z Roskimi ujębie. Potem bił się z męską częścią personelu pokładowego, aż wreszcie przyszła policja, wyprowadziła dzielnego Polaka i sądząc z odgłosów, spuściła mu w rękawie wpierdół.

Opowiadałem o zdarzeniu tak banalnym, ponieważ wynikają z niego wnioski wielkiej doniosłości. Nasz pijany rodak awanturował się po rosyjsku, ale każde dwa słowa oddzielał od siebie wyrazem „kurwa”. Od biznesu z Rosją zależy pomyślność naszej gospodarki. Jakież interesy mogą robić w Rosji Polacy, którzy nawet nie wiedzą, że tam na kurwę należy mówić „bladź”?

Świętego Makarego

W głoszeniu bredni tygodnik „Uważam Rze” szybko dogania obie „Gazety Polskie”. Wałęsolog Sławomir Cenciekiewicz rozwiązuje na Alleluja jedną z największych – jak piszą – zagadek historii: dlaczego w listopadzie 1982 r. o śmierci Breżniewa zawiadomiono świat po półtorej doby od niej samej. Zaważyły na tym – pisze Cenciekiewicz – gry polskich tajnych służb przeciw Solidarności, utworzenie OPZZ, zamierzony naziemny pochód podziemnego kierownictwa regionu Mazowsze przed Grób Nieznanego Żołnierza, co wpędziło w panikę Jaruzelskiego, rozmowy z Wałęsą o wypuszczeniu go z internowania itp., itd.

Polska megalomania nie ma granic. W kulminacyjnej chwili II wojny interesem wszystkich mocarstw jest zrobienie Sikorskiemu Smoleńska w Gibraltarze. Stalin opóźnia o pół roku wkroczenie swoich wojsk do Berlina i zakończenie wojny w Europie, tak strasznie boi się trwania powstania warszawskiego, czyli sytuacji, w której „Bór” Komo-

rowski witałby radzieckich generałów na ruinach Warszawy. Tak jakby hrabiego jeżdżącego na koniu nie można było uściskać i nie puszczając z objęć, wysłać na Sybir.

Światowej doniosłości fakt polityczny, jakim jest śmierć radzieckiego przywódcy, Moskwa tai, ponieważ Wałęsa miał katar? Gdyby Cenciekiewicz naprawdę był historykiem, to zamiast lokowania pępka świata w jego polskiej dupie, przeczytałby, że wszystkie zgony radzieckich przywódców ogłaszano z opóźnieniem. Przyczyną zawsze było ustalenie następstwa

WIĘTYCH

blogier Urban



W styczniu 2022, smutni
my jego stare felietony.
ie: dość już tego!
oga. „Blog wszystkich
e krótkie notatki, prywatne
kształt dziennika,
ie
ej.



i uchwycenie przez kolejnego szefa imperium głównych ogni władzy. O tym, co się dzieje w ZSRR między śmiercią wodza a komunikatem o niej, dokładnie opowiadają liczne wydawnicze teraz wspomnienia eks-dygnitarzy i opracowania historyków.

Tygodnik „Uważam Rze” dumnie ogłasza, że jest najczęściej cytowanym czasopismem. Skarbnica bzdur rozśmiesza i jeszcze się tym chwali. A tam w Moskwie siedzi sobie Putin i ani przeczuwa, że jeśli w Warszawie Kaczyński, *excuse moi*, pierdnie święconką, to Kreml się prezydentowi Rosji zawali.

Świętego Makarego

Wyrazy solidarności z Güntherem Grassem i podziwu dla całej Jego drogi życiowej. Precyzowanie tego, co myślę o synagodze, jest karalne w klerikalnej Polsce. Me oceny szowinisty Netanyahu zbyt banalne zaś, żeby je drukować.

Świętej Hermenegildy

Tusk nie kłamie, że w Polsce wzrasta dobrobyt nawet warstw najmarniejszych. Spod sklepu „Na rogu” w Konstancinie zawołano do mnie: – Chodź pan, panie Jureczku, postawię panu piwo!

Przez 20 lat brali tu ode mnie na piwo. Okazało się, że majątność wykluczonych wzrasta połowicznie. Zapropionowano mi tylko pociągnięcie piwa z zaślinionej już butelki.

Świętego Waleriana

W zamian za to, że Kuba Wojewódzki pokazał szerokim masom dowcip i książkę Passenta, wyróżniony musiał potem odsiedzieć na kanapie w studiu szczebiot gwiazdorów TV Wojewódzkiego i Ibisza. Przypominał on dialogi dziewczynek na trzepak. Nimfетки chodzą na trzepak, bo się nudzą, gwiazdorzy, bo z tego żyją.

Na ile zrozumiałem, pan Kuba sugerował Ibiszowi, że zrobił sobie lifting, a Ibisz się chwalił, że paparazzi za nim biegają. To możliwe, odkąd są aparaty cyfrowe i nie trzeba płacić za taśmę fotograficzną.

Świętej Idy

Pawlak otworzył zebranie PSL i śpiewano jak zawsze, że nie będzie Niemiec pluł im w twarz i że duch będzie im hetmanił. A przecież ludowcy – i ci od Witosa przed wojną, i ci od Mikołajczyka po wojnie – śpiewali: „O cześć wam, panowie magnaci, za naszą niewolę, kajdany, o cześć wam, panowie książęta, prałaci za kraj nasz krwią bratnią zbрызgnany”. PSL woli po chamsku traktować Niemców niż prałatów.

Świętego Makarego

Kiepura PiS Jan Pietrzak na wiecu tej partii z okazji rocznicy defraternizacji wodza śpiewał „Żeby Polska była Polską”, czyli żeby masło było maślane. Wcześniej śpiewał to cenzorom Gierka, Reaganowi, Wałęsie, Kaczyńskiemu, teraz Sakiewiczowi. Wraz z nasilaniem się patriotyzmu Pietrzaka jego głos słabnie.

Świętej Apolonii

Bezpiecznej prowadzić po pijaku, niż jeździć teraz taksówką. Taksówkarze są wściekli, że Gowin likwiduje im licencje i mnoży konkurencję. Wiozący mnie taksjarsz, pyskując, dodawał gazu, że horror. Wreszcie najechał na plastikowe pacholki, którymi policja obstawiła miejsce jakiegoś wypadku i zamazał psom badaną przez nie drogę hamowania. Kazali mu stać i czekać.

Taksówkarz wezwał do mnie inny wóz ze swojej sieci, a gdy czekałem i czekałem, gadał: – Nie będzie licencji, upadną sieci, pieszo pan będzie chodził jako pasażer. Przez prawie 50 lat woziłem siebie, mając amatorskie prawo jazdy kupione za łapówkę i nikomu w nic nie wjechałem. Za kierownicą miałem tylko jedną wpadkę zakończoną skrobanką. Ale kłamie – zdarzyło się to na tylnym siedzeniu. Zawsze byłem wygodnicki.



Gdyby zarodek nie został skrobnięty, nazywałby się teraz prof. dr hab. Wiesław Georgijewicz Urban.

Świętej Odetty

Z okazji zakończenia pierwszej połowy życia płciowego najwybitniejszej millerówki Wołk-Łaniewskiej jubilatka wydała wytworne przyjęcie na mieście. Kierujący SLD eks-premier nie podał mi tam ręki, lecz marszowym krokiem opuścił przekąski i całą imprezę. Licznie zgromadzeni jego podwładni sztydził z szefa, że już boi się nawet Urbana. Miller nazajutrz przeczył, że przede mną uciekał, ale niepotrzebnie. Sam już brzydę się swoim towarzystwem, tylko nie umiem się od siebie odczepić.

Świętego Anzelma

Św. Anzelm przynosi szczęście. Nadeszło zaproszenie na pierwszomajową wielką imprezę Ruchu Palikota. Niestety, wcześniej towarzysząca Daniszewska i ja wpłaciliśmy poważne pieniądze na to, żeby 1 Maja świętować z klasą robotniczą i ogółem ludzi pracy na wyspie Korsyce. Polki! Polacy! Ruchajcie się nawzajem odwążnym ruchem Palikota!

Świętego Teodora

Młodzież nie chodzi do kina na filmy imitujące rzeczywistość, lecz tylko na fantazyjne zmyślenia innych światów. Wzięcie ma też prasa, która dowolne sny przedstawia za dzienne realia. Na przykład w „Uważam Rze” nr 16 Rafał A. Ziemkiewicz („Ten system upaść musi. Tusk jak Jaruzelski”) twierdzi, że pasyżyniczna, niesprawna nomenklatura PRL okupuje „szczyty hierarchii społecznej od ponad pół wieku”. Ziemkiewicz od 20 lat pisze to samo na jeden temat. Polską władają salon, układ, kapitał, sitwa – słowem elita z PRL. Złożona po części z komunistów, którzy rządzą, sklejonych z antykomunistami, którzy siedzieli, ale to nie czyni różnicy. Ta niezmienna warstwa rządząca krajem i duszami nie chce zapisać Ziemkiewicza do elity, co skończy się dla Polski dramatycznie.

Już chyba sam założył dla Ziemkiewicza salon. Salon erotyczny. I nie będę mu szczędził języka. Polskiego języka.

Tegoż dnia w bratniej dla „Uważam Rze”, choć mniej nudnej „Gazecie Polskiej Codziennie” Joanna Lichocka twierdzi, że społeczeństwo polskie boi się wojny z Rosją, bo Tusk straszy nią ludność, jak niegdyś czyniła to WRON. Wstyd byłoby prostować, że Tusk nie straszy wojną, ale warto wyjaśnić, że WRON też wojną z Rosją nie straszyła. Nikt nie pamięta, co to takiego WRON. Wiąże się ona ze stanem wojennym, który kojarzy się Lichockiej z katastrofą lotniczą pod Smoleńskiem. Obok Katarzyna Gójska-Hejke, wicewdowa smoleńska, komentuje wypowiedzi Rozenka, który jej zdaniem powiedział, że Ma-

cierewicza trzeba izolować w domu wariatów. Autorka oznajmia, że „tak grozi władza”, która traci grunt pod nogami i ma świadomość, że jej klęska będzie miała nie tylko wymiar polityczny, ale i karny. Czyli PiS grozi więzieniem Tuskowi, a nawet Rozenkowi. Z Rozenkiem się zresztą nie zgadzam. Na leczenie Macierewicza jest o 50 lat za późno.

Świętej Fidelii

Z okazji dyskusji o wieku emerytalnym okazało się, że pensjonariusze państwa są strasznie przemęczeni. Belfrzy mdleją przy tablicach i narażają życie, poskramiając młode bestie. Ponieważ wojskowi przebiegają się do pracy w mundury, dźwigają strasznie ciężką i chwalebna misję dla ojczyzny. W TVN jakaś sędzia wypowiedziała się przeciw opóźnieniu sobie stanu spoczynku, gdyż sądenie bardzo obciąża psychicznie. Obciąża? A co dopiero mamy powiedzieć my, skazywani!

Świętej Alidy

Kino polskie jest chujowe, wobec tego są na nie pieniądze. Tutejsi futboliści z wyjątkiem premiera słabo dają piłce kopa, nabudowano im więc stadionów za miliardy i jeszcze trochę. Polska ma wybitny teatr, zatem pozbawia się go pieniędzy. Warszawski spektakl wielkiej sztuki Maśłowskiej „Między nami dobrze jest” finansowali Niemcy. Spektakle Warlikowskiego i Jarzyny finansują i rozchwytyują na całym świecie. W Polsce nie ma na nie szmalu, chociaż dla wybitnych teatrów starczyłoby środków, gdyby na jednym tylko stadionie sportowym zamiast trawy posadzić psie kupy.

W tym stanie rzeczy cieszy bardzo, że Euro 2012, najkosztowniejsza w dziejach rozrywka dla rządu i milionów spoconych chamów, zapowiada się wesoło. Budowniczowie dróg, zamiast skończyć ich tworzenie, zablokują dojazd do miast. Policja zastrajkuje lub weźmie zwolnienia lekarskie. PiS zatka ulice, żądając odwołania Tuska i katastrofy smoleńskiej. Kościół katolicki pchnie procesję zawiadującą: „Multipleksu cyfrowego dla Rydyzka racz nam dać Paaanie!”. Wszyscy inni, którzy nic nie robią, szantażować będą rząd przed igrzyskami, że coś mu wbrew zrobią, jeżeli nie wyjdą na swoje. I po co naszej głupiej władzy te zawody? Tylko kłopoty i koszty. A jak nie daj Boże gdzieś odpukać wygra jakaś polska drużyna, będzie taki wybuch nacjonalizmu, że Smoleńsk wysiada. Wszyscy rodacy staną się kibolami i nastąpi radosne bliźnich grillowanie narodowe. □

Boruta ostrzy kły

W całej Europie taniej mieszkania na sprzedaż, tymczasem w Polsce zanotowano ponad 10-procentowy skok ceny za metr kwadratowy. Nic nowego. Czekamy na kolejny wzrost po ewentualnym wprowadzeniu kredytu „0 procent”, który wszak był jedną z przedwyborczych obietnic Tuska. Minister Finansów Andrzej Domański swego czasu stwierdził: „Trzeba tworzyć nowe rozwiązania, aby mieszkań w Polsce powstawało więcej”. A za tym poszedł słowotok o uwolnieniu gruntów, które są często „nieefektywnie wykorzystywane” i o „utworzeniu narzędzi finansowych

dla samorządów, dzięki którym będzie powstawało więcej mieszkań, tam, gdzie one są naprawdę potrzebne”.

Słowa ministra wziął sobie do serca proboszcz Andrzej Chmielewski ze zgierskiej parafii świętej Katarzyny Aleksandryjskiej. Właśnie wyciął 200 drzew w centrum miasta i buduje mieszkania na wynajem (przewidując trafnie, że popyt na nie wkrótce wzrośnie). Teren rzecz jasna należał do Kościoła – od 100 lat. „Deweloper w sutannie” tłumaczy się

markotnie z wycinki, że no przecież „były tam głównie krzaki i śmieci”... Kasa za wynajem powstających czterech bloków bynajmniej nie zasilą konta parafii Chmielewskiego (na otarcie leż ma mu skapnąć coś na remont kościoła), a trafi do kabzy łódzkiej kurii, czyli do sakiewki kardynała prezbitera Grzegorza Rysia.

Głosy mieszkańców Zgierza są podzielone: jedni mają wkurw o drzewa i niszczenie zieleni, inni cieszą się, że tak czy siak będzie

się jakieś mieszkania. „Mamy wszelkie pozwolenia. Pod budowę wycięto prawie 200 drzew, ale o wszystkim wie wydział środowiska urzędu miasta. Nie wiem, dlaczego ktoś kwestionuje tę budowę” – powiedział Interii kierownik robót Michał Kołodziejki. Przy okazji chatę i dzieciaki straciły gołębie grzywacze. Regionalna Dyrekcja Ochrony Środowiska oceniła, że ptaki nie są pod ochroną – zatem można ciąć. „To busz był, teraz wreszcie będzie czysto i porządnie” – stwierdziła przypadkowa, zacepiona zgierzanka.

W sumie „czysty Zgierz” to taki oksymoron jest. Powszechnie to miasto nazywane jest „polskim Czarobylem”.

Spółka miejskiego przedsiębiorcy Green-Tec Solutions sprowadziła Zgierzanom na lby odpady z Niemiec, Wielkiej Brytanii, Belgii, Holandii, Włoch i Szwecji – jakieś 50 tys. ton. Jeszcze przed pandemią te odpady zapaliły się... Ale i tak jest to mały pikus przy tym, co składowane jest tam od lat. Otóż przez dziesięciolecia (od 1894 r.) funkcjonował w Zgierzu zakład produkujący barwniki pod wdzięczną i swoją nazwą Boruta. Nie wiem dlaczego,

ale Zgierzanie się tym chwalą nawet na stronach promujących miasto: „pojawiał się problem ze ściekami fabrycznymi, które, mimo iż były odprowadzane kanałami do Bzury, zanieczyszczały wody gruntowe i zatruwały powietrze. Śniechowski i Hordliczka postanowili zakupić 40 hektarów piaszczystych nieużytków z ulic Leśnej i Polnej. Budowę nowej większej fabryki barwników rozpoczęto w latach 1907–1908, a zakończono w roku 1910 wraz z uruchomieniem wytwórni kwasu siarkowego”... Tak czy siak, już w PRL Boruta miał się znakomicie. Zagwarantowało to istnienie trzech wysypisk poborutowych, gdzie można odnaleźć całą tablicę Mendelegowa.

Każdy, kto zechce wynająć chatę od kardynała prezbitera Grzegorza Rysia, powinien natychmiast rozpocząć modły do świętej Katarzyny Aleksandryjskiej. W sumie nie ma żadnej pewności, że ta święta kiedykolwiek istniała. Jej makabryczna fikcyjna śmierć została zainspirowana przez faktyczną makabryczną śmierć filozofki i astronomki Hypatii z Aleksandrii. W okolicy tureckiego Denizli znajdował się nawet kościół poświęcony św. Hypatii – Katarzynie. Poganka Hypatia wynalazła astrolabium i areometr. Dla ówczesnych chrześcijan (V w. n.e.) była wiedzą. Dzięki zabiegom św. Cyryla z Aleksandrii, uczoną dorwała tępą tłuszcza, która wylupiła jej oczy, połamano kości i zabrała się za rozkawałkowanie wciąż żyjącej... Troskliwych rodziców i przyszłych mieszkańców Zgierza uspokajam: bez obaw, przy takim syfie w gruncie nie ma szans, żebyście wyprodukowali geniusza.

IZABELA SZOLC



Kupa mięci Polaka-papierzaka

czyli rzecz o rasizmie defekacyjnym

Prawicowe media dostały biegunki wskutek domniemanego incydentu kałowego z udziałem ciemnoskórego mężczyzny w Katowicach. Jak na ironię i wbrew narracji konserwatystów nagłośnienie fekalnego epizodu, które miało podkreślić różnice kulturowe między bladolicymi chrześcijanami z Europy a hebanowym obywatelem pokazało, że w obszarze niczym nieskrępowanej defekacji więcej nas łączy niż dzieli. Czy w kraju nad Wisłą, gdzie gruzy ludzkiego łajna okraszone koroną papieru do dupy – czyli tzw. papierzaki – z uśmiechem nazywa się całorocznymi grzybami, sranie w naturze ma prawo wywoływać obstrukcję?

Inżynier w stawie

W ostatnich dniach lipca media obiegł filmik z katowickiego kąpieliska, na którym nagi czarnoskóry mężczyzna kuca w wodzie i najprawdopodobniej załatwia potrzebę fizjologiczną. Choć nagranie było kręcone z dużej odległości, trybunał ludowy złożony z internetowych ekspertów wydał nie pozostawiającą złudzeń decyzję: „Murzyn zrobił dupę!”.

Temat, który w normalnych okolicznościach zamknąłby się w podśmiejkach o krótkiej żywotności, zwałił niczym muchy do gówna przedstawicieli prawicowego establishmentu i pozostałe jego populczyny. Telewizja Republika (czyli PiS), ultrakatolicki portal PCh24.pl i Patryk Jaki na platformie X natychmiast odkryli związek przyczynowo-skutkowy między zwierczeniem katowickiego plażowicza a Donaldem Tuskiem. „Są to obserwowane w całej Europie skutki masowej migracji w postaci plagi gwałtów, napaści – nawet w przeddzień obstawionych po zęby Igrzysk – rabunków, podpalen, powstawania dzielnic nogo, ataków nożowników, oblewania kwasem, morderstw »honorowych«, wojen gangów, czy w końcu zamiany dzielnic europejskich stolic w Trzeci Świat, gdzie nie tylko obdziera się ze skóry zwierzęta, ale załatwia potrzeby bezpośrednio na ulicy” – grzmiał redaktor Piotr Relich z serwisu Polonia Christiana; „Ja mówiłem, że to jest po prostu inna cywilizacja. A Donald Tusk mówił, że unieważnia to referendum” – prul się europoseł Jaki. W mediach społecznościowych furorę zaczęła robić przeróbka materiału dowodowego z doklejonym logotypem Koalicji Obywatelskiej. „Teraz takie obrazki będą częścią ich wielkiej »Mitteleuropy«, której córkami i syna-

mi są właśnie głoszący na partię Donalda Tuska” podsumowała telewizja Republika. Pardon my French, nie zesrajcie się! Jeśli mężczyzna z filmu to faktycznie imigrant i jeśli autentycznie postawił w wodzie klocka, złośliwcom odpowiadam: ten człowiek nie ubogaca kulturowo naszego kraju, bo wziął przykład z Chrystusa narodów, bo Polska „papierzaka” powinna mieć w godle.

Oburzenie z dupy wyjęte

Wyhodowane wśród wykafelkowanych kibli polactwo ma dwie brzydkie manieri: po pierwsze, zapomina, że nie w każdy zakątek kraju nad Wisłą dotarł luksus pachnącej Domestosem muszli ze spluczką (według raportu GUS z 2021 r. dotyczy to nawet 900 tys. mieszkań, głównie na wschodzie Polski) i gównianą łatkę można przykleić niejednemu rodakowi; a po drugie, nie umie załatwić się z kulturą ani w wucecie ani

pieru toaletowego nie wrzuca się do muszli, lecz do kosza na śmiecie.

W Polsce, gdzie kible w miejscach publicznych zwykle zaopatrzone są w papier i szczotkę, rodaków ciężko jest namówić, żeby wcelowali dupą do sedesu, a dla zachowania porządku użyli wspomnianych artefaktów.

Nie trzeba mi wierzyć na słowo, wystarczy zajrzeć do pierwszej z brzęgu toalety w pociągu czy centrum handlowym.

I tak ci, którzy wciąż chodzą radośnie defekować do przydomowej sławki albo bezpośrednio w wybijane liście łopianu, najgłośniejszą chwałą się faktem, że gdy na Wawelu od XVI w. działała podziemna kanalizacja to francuscy dworzanie srali do kominów. Szczęśliwi zaś posiadacze porcelitowych wygód przyciśnięci przez fizjologię z dala od ustępu dziarsko czynoszą obszary lasów, gór, nadmorskich wydm czy miejskich ulic na wyżyny zaszrania.

Shit happens

O tym, jak źle jest z kulturą polskiej defekacji, niech świadczy fakt, że obok akcji uświadamiania obywateli na temat sprzątania końcowych efektów przemiany materii wyprodukowanych przez czworonożnych pupili, nadleśnictwa i parki narodowe musiały zacząć edukować turystów, jak załatwiać grubsze potrzeby pod chmurką. Leśne i górskie szlaki oblepione cuchnącymi kopczykami upstrzonymi girlandami wetkniętego w nie papieru podrażniają nie tylko uczucia estetyczne, zapachowe i podeszwy butów. Pozostawienie klocka na powierzchni nie jest bezpieczne dla zdrowia. Wraz z deszczem nieczystości mogą spłynąć do najbliższego strumienia czy rzeczki, a wówczas do zbiornika wody mogą

się dostać bakterie wywołujące choroby zakaźne. Warto pamiętać również o owadach stołujących się równie chętnie na gównie, jak i żywności, którą będziemy spożywać. Oczywiście jeden „papierzak” okupacji kraju nie czyni, ale jeśli w ubiegłym roku chociażby polskie Tatry odwiedziło ponad 4,5 mln turystów, nie trudno sobie wyobrazić skalę problemu. Dlatego też kilka lat temu Tatrzański Park Narodowy udostępnił mini poradnik, jak srać i szczać w terenie. „W razie pilnej potrzeby fizjologicznej należy zrobić wszystko tak, aby nikt nie wiedział, co się w danym miejscu działo. Zasypanie śniegiem nie jest rozwiązaniem. Wiatr za chwilę wydobędzie na światło dzienne dowody rzeczowe. Najlepiej zapakować wszystko, co się da, do specjalnego hermetycznego worka toaletowego i zabrać ze sobą. Mocz najlepiej oddawać na skały. Wówczas nikt – ani człowiek, ani zwierzę – nie będzie narażony na przypadkowe zjedzenie żółtego śniegu” – napisano w instrukcji. Ba, w punktach informacyjnych TPN udostępniono nawet specjalne worki z granulatem pochłaniającym wilgoć i zapachy, papierem i mokrą chusteczką. Za darmo. Niestety zainteresowanie nimi było znikome. Kiedy pomorskie nadleśnictwo Łupawa opublikowało instrukcję, jak prawidłowo strzelić klocka między sosnami (były nawet obrazki), efektem była jedynie kupa śmiechu. „Dofinansowano ze środków Unii Europejskiej” – rzano po kątach internetu, bo przecież nikt nie będzie uczył oświeconych Polaków, jak mają srać.

Baton zagłady

Wszystkim oburzonym filmem z jegomościem wzbogacającym florę bakteryjną katowickiego zbiornika wodnego przypominam, że w samym Płocku na basenie miejskim od początku roku sześć razy miał miejsce „brązowy alarm”. W jednym przypadku dzięki monitoringowi udało się ustalić sprawcę, jak się okazało – ucznia podstawówki, który uczestniczył w szkolnych zajęciach nauki pływania. Placówka edukacyjna doszła do porozumienia z Miejskim Ośrodkiem Sportu i Rekreacji w Płocku i zgodziła się na zapłacenie 10 tys. zł kary, bowiem tyle kosztowało spuszczenie wody ze zbiornika i odkażenie go. Za nieobyczajny wybryk, jakim jest publiczne wypróżnienie się, grozi grzywna do 1500 zł. Nie wiem, czy „inżynier z Afryki”, jak wesoluto nazywały męczyznę pravicowe media, załapie się na karę, wszak kucanie w wodzie nie jest zabronione prawem, a ewentualny dowód w sprawie już dawno odpłynął z nurtem. I gówno prawda, że jesteśmy bardziej kulturalni w te „klocki”. Polacy wyżej srają, niż dupę mają.

IDALIA DUBICKA

TO BĘDZIE NASZ STADION NARODOWY



w naturze. W Afryce i Azji można spotkać toalety „kucane”. W wielu z nich zamiast papieru trafiają się kamienie otoczaki – czyste leżą na kupce po jednej stronie dziury, zużyte umieszcza się w wiadrze, skąd trafiają do mycia w rzece i ponownego użycia. W innych miejscach do higieny wrażliwej części ciała używa się liści. Na sporej części wysp greckich, gdzie kanalizacja jest stara i wąska, pa-

Dziurę w ziemi sprzedam

Polska rajem patodevelope- loperki

Prawie dokładnie sześć lat temu nadejszła, jakby powiedzieli w „Samych swoich”, dla mnie wiekopomna chwila. Dzięki dekadzie odkładania wszystkich pieniędzy z marnej, bo budżetowej pensji adiunktki, kosztem wyrzeczeń permanentnie trwających przez 3500 dni, kupiłam mieszkanie w dużym mieście. Miałam to szczęście, że nie była to dziura w ziemi, lecz blok, który już na początku roku 2020 deweloper oddał do użytku.

Za niecałe 55 mkw. zapłaciłam nieco ponad 300 tys. zł, przy czym zakredytowałam się równo – co do miesiąca! – do emerytury (jeżeli dożyję, rzecz jasna). Jak to w Polsce, doprowadzenie gołych ścian do stanu używalności, meble, AGD i takie tam, pochłonęło resztę oszczędności – grubo ponad 80 tys. zł.

Miałam przy tym więcej szczęścia niż rozumu. Przy dzisiejszych warunkach rynkowych, niebotycznych cenach i paskarskim oprocentowaniu kredytów nie miałabym szansy go kupić. Parę miesięcy temu sąsiad z naprzeciwka, dysponujący mieszkaniem o rozkładzie lustrzanym wobec mojego, zainkasował ze sprzedaży lokum grubo ponad siedem stówek. A zatem w ciągu sześciu lat mieszkanie na obrzeżu miasta (do tabliczki z granicami administracyjnymi idę piechotą paręnaście minut) zyskało 130 proc. wartości!

Oczywiście, nie byłam idiotką i przedziewie-
rzyłabym w kulawe węże i garbate aniołki, aniżeli w wizualizację dewelopera. Na pięknym obrazku było trochę fajnych, młodych i uśmiechniętych ludzi, otoczonych zielenią. Jedyną zielenią, jaką ma mój składający się z grubo ponad 70 mieszkań blok, jest pole – w tym roku obsiane kukurydzą – które widzę z okna salonu. Czuję się niczym szlachcianka-posesjonatka, bo rankiem chodzą po nim młode sarny. A, jak wiadomo, my Polacy lubimy sielanki.

Ale życie tu nie jest sielanką. W wizualizacjach dewelopera – zapewne przez przeoczenie – nie znalazła się droga dojazdowa do centrum miasta, totalnie zakorkowana rankami i popołudniami, a niekiedy do wieczora. Nie wspominał on też o parkujących wszędzie samochodach smrodzących pod balkonami. I całkowitej nieobecności – choć osiedle reklamowano jako idealne dla dzieci! – infrastruktury dla rodzin z bachorami. Nie ma nawet najlżejszej huśtawki czy piaskownicy. Za to w bloku obok jest pseudo-przedszkole (działające jako klub malucha czy chuj wie co), oczywiście prywatne.

Kiedy jednak spojrzeć na polskie mieszkalnictwo z lotu ptaka, a może – co by było nowocześnie-
j – drona, jestem i tak szczęściarą.

Fetysz PUM-u

Trzy litery, a ile w nich treści. PUM, czyli powierzchnia użytkowa mieszkalna, to fundamentalna wartość dla deweloperów. PUM oznacza powierzchnię podłogi, po której się chodzi i część lokalu, gdzie sufit jest wyższy niż 220 cm (powierzchnię, gdzie sufit ma od 140 do 220 cm, przelicza się jako połowę PUM). Im więcej upcha się PUM w danej inwestycji, tym więcej można z niej wycisnąć forsy.

Tu można zateśknąć do komuny. Jeśli weźmiemy pod uwagę tzw. wskaźnik intensywności zabudowy – stosunek sumy powierzchni całkowitych wszystkich kondygnacji budynku do powierzchni działki – bloki rodem z PRL-u miały ów wskaźnik co najmniej o połowę niższy niż wytwory dzisiejszej deweloperki. Czyli ludzie mieli przestrzeń.

Łukasz Drożdża w wydanej w zeszłym roku książce „Dziury w ziemi. Patodevelopeperka w Polsce” podaje jednak ekstremalny przykład – dla blokowiska z czasów komuny (konkretnie warszawskiego osiedla Koło II) wskaźnik wynosi 0,29, podczas gdy dla jednego z obecnie realizowanych przez dużego dewelopera osiedli – aż 4,26.

Innymi słowy, intensywność zabudowy w rodzimym dzikim kapitalizmie bywa 15 razy wyższa niż za słusznego minionego reżimu.

Cytowany przez Drożdżę student architektury i urbanistyki na Politechnice Śląskiej zwrócił uwagę na inny szwindel. Porównał on „rozkłady mieszkań udostępniane przez deweloperów z rzeczywistymi wymiarami mebli oferowanych na rynku. Wyliczone przez niego na kilku przykładach rozbieżności są naprawdę drastyczne. Po urealnieniu wymiarów sprzętów przestronny salon z dwiema kanapami zamienia się w kłitkę, w której jedna z tych kanap zastawia okno, a druga niemal uniemożliwia przejście przez drzwi”.



Absolutnym klasykiem zmanipulowanych wizualizacji jest zastąpienie miejsc parkingowych zielonymi polanami. Z kategorii czarnego humoru można wspomnieć o osiedlu 29. Aleja w Krakowie, gdzie zieleń narysowano w miejscu cmentarza Rakowickiego. Nie dziwota, że o osiedlu zrobiło się nomen omen głośno, kiedy mieszkańcy wnioskowali o ściszenie nabożeństw żałobnych.

Brzydko, że pękają oczy

Msze żałobne należałoby jednak zamówić na pogrzebie polskiej przestrzeni, nawet zostawiając na boku wszechobecne – co na Zachodzie, a nawet w Czechach by nie przeszło – reklamy i billboardy. Zespół Kult w słynnej piosence „Polska” śpiewa o „dworcu w nocy”, na którym „jest tak brudno i brzydko, że pękają oczy”. Można jednak tę konstatację sprzed dziesiętków lat uogólnić. Już dekadę temu Filip Springer w świetnej książce reporterskiej „Wanna z kolumnadą” zauważył wprost, że w naszym kraju jest brzydko, a zapewne będzie jeszcze brzydziej. Jego przepowiednia się sprawdziła i to z nadkładkami.

Uciekając przed miejskim zgiełkiem, ludzie z odpowiednio zasobnym portfelem wybierają – niczym Amerykanie – przedmieścia. Ale nie przypominają one tych z Kalifornii czy Florydy, ostoi klasy średniej i dobrobytu, znanej z niezliczonych filmów i seriali hollywoodzkich. Jak pisze Springer: „Życie na przedmieściu przypomina czasem grę w monopol, w której na każdym polu czekasz albo się z niego cofasz. Spóźniłeś się na autobus, następny jest za czterdzieści minut. Czekasz dwie rundy. Zapomniałeś ze sklepu jajek, a już wypileś piwo – wracasz do sklepu pieszo, a to dwadzieścia minut w jedną stronę. Cofasz się o dwa pola. Na wylotówce znowu korek. Dwie rundy. Musisz zawieźć dziecko do przedszkola i nadkładaś drogi. Runda”.

Można powiedzieć tak, biznes to biznes, musi liczyć się z – jakby powiedział Karol Marks – brutalnymi prawami konkurencji. Jeśli dany deweloper nie będzie chciwy i żyłujący każdą inwestycję, zostanie wypchnięty z rynku przez rywali, którzy nie bawią się w sentymenty wobec nieudaczników mających odrobinę empatii wobec tych, którym przyjdzie mieszkać w tych ciasnych, niefunkcjonalnych i zagęszczonych niczym szczury w klatce mieszkaniach. Ale przecież największą kasę robi się w miastach, konkretnie dużych miastach, więc

ich włodarze – odpowiedzialni przed wyborcami – powinni zatroszczyć się o tkankę miejską.

W teorii brzmi to naprawdę nieźle, ale rzut oka na praktykę jeży włos na głowie.

Magistraty na pasku deweloperów

W zabawnym kawałku „Telehon”, autorstwa stołecznego artysty Pablopavo, będącym opowieścią ze snu, słyszymy o świecie, w którym: „Warszawy urzędnicy nie biorą łapówek, by zburzyć domy trzy, pamiętające Franza Fischera, na polecenie pana dewelopera”.

Muzyk reggae w tym dwuwiersie zawarł ponurą prawdę o polskich miastach, gdzie raj deweloperów oznacza piekło zwykłych mieszkańców. Stolica to osobna bajka: pod względem liczby zamkniętych osiedli rwących na strzępy tkankę miejską przypomina bardziej Amerykę Łacińską niż Europę Zachodnią. Ciekawy i dość jednoznaczny przykład symbiozy miejsko-deweloperskiej odnajdujemy ostatnio nad Wartą, w Poznaniu.

Niedawno Bartosz Guss, były zastępca platformerskiego prezydenta miasta, w którego gestii znajdowało się także planowanie przestrzenne, został dyrektorem generalnym w Polskim Związku Firm Deweloperskich. Złe języki – a oszczędności nigdy nie brakuje – tę popłatną fuchę wiąże z faktem, że jeszcze jako wiceprezydent Poznania Guss w marcu bieżącego roku wysłał do ministra rozwoju i technologii prośbę o opóźnienie wejścia w życie przepisów nieco mających ukrócić patodevelopeperkę, gdyż – jego zdaniem – nowe prawo to „realne zagrożenie dla szeregu inwestycji mieszkaniowych” w mieście.

Poznański radny PiS i szef komisji rewizyjnej Zbigniew Czerwiński postanowił – czemu (o dziwo) przytaknęła rada miejska – zbadać wydane przez magistrat warunki zabudowy dla obszaru, gdzie brak jest miejscowego planu zagospodarowania przestrzennego. Jego zdaniem jakoś tak się składa, że indywidualni inwestorzy nie mogą nic, mierząc się z biurokratycznymi przeszkodami, a kiedy na horyzoncie pojawia się deweloper, rozkłada się przed nim czerwony dywan.

„Nie chcemy już poruszać się w sferze domnie-
mań. To nie jest tak dużo, to kilkaset decyzji do sprawdzenia. Pod uwagę zamierzamy wziąć deweloperkę. Chcemy przeanalizować, czy są jakieś firmy, które szczególnie często uzyskują takie wa-

runki zabudowy, a zwłaszcza wtedy, kiedy warunki zabudowy są niezgodne ze studium. Chcemy przeanalizować, kto te decyzje podpisywał, na czyją rzecz były i czy były zgodne ze studium” – mówił radny Czerwiński „Gazecie Wyborczej”.

A nam się podoba

Polacy to dziwny naród. Na pewno jednak mają swój styl nie do podrobienia. Swojski – rumiana buzia Maryny i wiejskie wesele na 200 osób. Na świecie choćby króluje porno, w którym w wylach pod palmami zabawiają się panie i panowie o pięknym wyglądzie. U nas króluje siermiężność, brudny garaż lub niesprzątana od dawna kawalerka, wąsy, krosty i fałdy tłuszczu. To jest to, co Polak kocha. Czego pożąda. Co akceptuje.

Okazuje się, że według sondaży przeciętny Polak jest zadowolony z przestrzeni wokół siebie. Zwykle w badaniach dwie trzecie respondentów twierdzi, że polskie miasta są ładne: wyglądają estetycznie, ich zaplanowanie i charakter tworzących je budynków są w porządku. Jak zauważa Drożdża: „Pewna część osób miała mieszane uczucia, ale tych zdecydowanie lub raczej krytycznych było przeszło osiem razy mniej niż entuzjastów”. Badania są jednoznaczne: Polak lubi starówkę i swoje osiedle, podczas gdy dokładnie takie samo blokowisko obok uważa za chujowe.

I tak koło się zamyka, że ostatni raz zacytuję „Dziury w ziemi”:

„Fakt, że nie narzekamy aż tak bardzo na osiedla, których jakość pozostawia, i to bardzo delikatnie mówiąc, wiele do życzenia, ułatwia wciśkanie nam kitu przez wszelkich sprzedawców nieruchomości, od wielkich deweloperów po drobnych kombinatorów.”

Z przyzwyczajenia albo w wyniku desperacji przestajemy zwracać uwagę na mankamenty naszego środowiska mieszkaniowego”.
Ze mnie to nie dziwi...

KATARZYNA KOENIG

Bezkarność dwóch pedałów

Jak się ma motocykl czy auto, to przestaje się być anonimowym. Kierującego pojazdem mechanicznym zdradza numer rejestracyjny. Poza tym, żeby zasiąść za kierownicą, trzeba spełnić kilka warunków. Przede wszystkim trzeba mieć prawo jazdy. Żeby je zdobyć, wypada nauczyć się wszystkiego, co jest w Kodeksie drogowym i mnóstwa niepotrzebnych rzeczy, które wpisano, żeby do egzaminów podchodzić po kilka razy. Ktoś aspirujący do posiadania prawa musi też zaliczyć wizytę u lekarza i dostać zaświadczenie, że widzi, słyszy i rusza się w niezbędnym dla kierowcy zakresie.

Pojazd mechaniczny i uprawnienia do kierowania nim to i tak nie wszystko. Każdy samochód i motocykl musi obowiązkowo być ubezpieczony od odpowiedzialności cywilnej. Urządzenie do wożenia kierowcy musi też być sprawne, co potwierdza pieczęć stacji kontroli pojazdów.

Polska dla cyklistów

Gdy się zaś jest cyklistą, to wystarczy mieć chęć szczerą i rower. Bicykl powinien mieć jakieś światełka i hamulce. Jadący nim pełnoletni obywatel nie musi zaś mieć nic. Niestety, jest coś, co większość z nich ma. Przekonanie, że na drodze są świętymi krowami i wszystko im wolno. Nad wypracowaniem w nich takiej świadomości od lat pracują pospół media, organizacje ekologiczne i samorządy wielkich miast. Budują bowiem w cyklistach poczucie bezkarności i ścieżki rowerowe.

Dane GUS pokazują, że w ciągu ostatniej dekady wybudowano blisko 13 tys. km nowych dróg rowerowych. Rowerzyści mają więc do dyspozycji ponad 20 tys. km tras. Włożono w to kasę dobijającą do 10 mld zł. Żeby tam tylko to... W większości wielkich miast uruchomiono tzw. system rowerów miejskich. Co kawałek postawiono stojaki ze specjalnie

zamocowanymi i oznakowanymi bitykami, którymi można się przejechać, gdy zapłaci się abonament, a potem uiszczyć dodatkową opłatę zależną od długości pedałowania. Dając zarobić miastom grube miliony.

Za komuny, gdy na najtańszy samochód trzeba było pracować kilkanaście lat, a komunikacja publiczna była raczej nieprzewidywalna, rower był głównym środkiem transportu dla milionów Polaków. Jednoślady o napędzie mięśniowym śmigały wszędzie z wyjątkiem autostrad, bo jedyna autostrada, która wtedy była, z powodu swej płytowej konstrukcji nie nadawała się do uprawiania kolarstwa komunikacyjnego.

Z nastaniem kapitalizmu czterokołowego rzecha nadającego się do jazdy można było kupić za kilkaset złotych. Tyle samo kosztował nowy rower z przerzutką. Ten dwuśladowy przeskok cywilizacyjny zmiotł rowery z pola widzenia. Problem objawił się z początkiem XXI w. i to od razu pod sztandarami ekologii.

Umyślono sobie bowiem, że pedałowanie rozwiąże problemy komunikacyjne dużych miast. Ze wszystkich ratuszów płynęły słowa poparcia dla postulatów cyklistów, a za słowami poszły pieniądze i czyny. Zbudowano setki kilometrów chodników oddzielonych od innych chodników białą nieprzerwaną linią i nazwano je ścieżkami rowerowymi.

Efektom błogosławieństwa władzy dla rowerzystów stało się to, co zwykle, gdy da się komuś palec. Ścieżek było oczywiście za mało, a apetyty działaczy rowerowych rosły.

Rowerzyści zaczęli jeździć w sposób niepojęty dla kogoś, kto uczył się przepisów prawa drogowego. Pedałowali nie za jadącym przed nimi użytkownikiem pasa drogowego, ale obok. Po linii rozdzielającej pasy. Mieli gdzieś nakaz przeprowadzania roweru przez przejścia dla pie-

Rys. KRZYSZTOF OLEJNIK

zych, bo kto bohaterowi walki o czystą planetę każe zdjąć tyłek z siodełka? A w dodatku mieli rację, bo ogłupiała policja za jedyne przestępstwo użytkownika mięśnionapędowego jednoślada uznawała to, że był pod wpływem etanolu.

Na dodatek i w tym zakresie rowerzyści odnieśli sukces. Zmieniono prawo o ruchu drogowym i policji nie opłacało się już polować na narabianych cyklistów.

Rowerzysta ponad wszystko

Najważniejsze jednak, że rowerzysta nie musi znać kodeksu drogowego. Dorosłemu, by jeździć rowerem, karta rowerowa czy inne prawo jazdy na rower nie są potrzebne.

Żydokomunę
szlag trafił,
masoneria
ledwo zipie,
ale za to
cykliści...



Nie ma więc w Polsce kierowcy, któremu nie śmignąłby na przejściu dla pieszych rowerzysta biorący się z powietrza. Prawie żaden z nich nie wie, że przejechanie rowerem przez pasy jest zabronione przez przepisy Prawa o ruchu drogowym, gdyż rowerzysta jest zobowiązany zejść z roweru i przeprowadzić go.

Dojeżdżając do przejścia dla pieszych, kierowca spodziewa się pieszego idącego średnio z prędkością 4 km/h, dlatego gdy na zebie wjedzie biker czy inny hulajnogarz osiągający prędkość kilka razy większą, kierowca musi



Rys. MIROSŁAW HAJNOS

WIEŚCI GMINNE i INNE

■ Od stycznia 2023 r. do czerwca bieżącego trzech Ukraińców ukradło z firmowego magazynu przedsiębiorstwa w Tarnowie ponad 800 opon wartych pół miliona złotych. Nazwy firmy policja nie podaje. Szkoda. Na pewno organa skarbowe byłyby zainteresowane, w której to hurtowni nie wykryto manka w stanach magazynowych przez półtora roku na 500 tys. zł. Godnym uwagi jest również, że złodzieje sprzedali te opony nie wiadomo komu i nie wiadomo jak, nie prowadząc zarejestrowanej działalności gospodarczej. Po aresztowaniu odzyskano 50 tys. zł w gotówce. 450 tys. zł poszło się jebać. Nie ustalono, gdzie forsa się pierdoli. Przy hipotetycznej karze trzech lat więzienia, jaką sprawcy mogą dostać, per saldo wychodzą na swoje.

■ Mieszkaniec Krakowa zgłosił niewłaściwie zaparkowany samochód przez specjalnie przygotowaną do tego aplikację, co groziło niefrasobliwemu kierowcy sutzłotowym mandatem. Marek Anioł, rzecznik prasowy straży miejskiej wyjaśnił, że konfident został ukarany trzystuzłotową karą za niezgłoszenie się do złożenia wyjaśnienia jako świadek wykroczenia. Nie stawiał się na przesłuchanie i nie usprawiedliwił nieobecności. Tak, tak i jeszcze raz tak! Ucholom, donosicielom i podpierdalaczom mówimy stanowczo „nie”!

■ Tatiana Lukoszek z Komendy Miejskiej Policji w Siemianowicach Śląskich poinformowała, że ustalono sprawcę osłepienia zielonym laserem Rafała Górnickiego, pilota śmigłowca Lotniczego Pogotowia Ratunkowego startującego ze szpitala w Siemianowicach Śląskich. Sprawcą był ruski szpieg, muzułmański terrorysta ani białoruski dywersant. Sprawa miałaby do-

nieślesze znaczenie. Osłepiającym okazał się 13-latek, który bawił się laserową lartarką kupioną na straganie w Zakopanem. Nie pójdzie siedzieć.

■ Zdaniem GUS od stycznia do czerwca 2024 r. zamknięto 100 tys. jednoosobowych działalności gospodarczych. Zawieszono 179 tys. W minionym 2023 r. sytuacja wyglądała mniej więcej tak samo. Działalność przestało prowadzić 300 tys. podmiotów. Jak twierdzi Łukasz Kozłowski, główny ekonomista Federacji Przedsiębiorców Polskich, „przyczyny zamykania są złożone i nie mogą być sprowadzone do jednego, prostego czynnika”. To oczywiście świadczy o niskiej randze Federacji Przedsiębiorców Polskich, której eksperci wywodzą się najwyraźniej z grup dyspenseryjnych.



Rys. WIDGET

hamować albo wręcz zmieniać kierunek jazdy. Gdy w czasie tego manewru wpakuje się w pieszo albo w bryczkę obok, to może spowodować spore kuku.

Policjanci z drogówki doradzają zatem, by w takiej sytuacji przejechać rowerzystę. Kierowca będzie kryty i w pełni usprawiedliwiony.

Wbrew temu, co się wydaje tysiącom osób jeżdżących bryczkami, rowerzystom nie wolno jeździć po chodnikach. Mogą poruszać się nimi wyłącznie osoby mające pod opieką cyklistę w wieku poniżej 10 lat. Są też kodeksowe wyjątki. Cyklista może śmigać trotuarem gdy „szerokość chodnika wzdłuż drogi, po której ruch pojazdów jest dozwolony z prędkością większą niż 50 km/h, wynosi co najmniej 2 m i brakuje wydzielonej drogi dla rowerów oraz pasa ruchu dla rowerów”. No i jest kolejny debilny przepis też umożliwiający rowerzyście jazdę chodnikiem. Wtedy otóż, gdy na drodze panują bardzo niekorzystne warunki pogodowe, które mogą zagrażać życiu lub zdrowiu rowerzysty: śnieg, silny wiatr, ulewa, gołoledź, gęsta mgła. Kretynizm tego przepisu polega na tym, że gdy występuje opisana w nim kiszka pogodowa, to rower chodnikiem należałoby prowadzić.

Czy ktokolwiek widział kiedyś patrol zatrzymujący się przy bikerze jadącym chodnikiem? Jakiego pecha musi mieć cyklista, żeby zostać capniętym przez policję za przejeżdżanie przez zebra. A nawet gdy mundurowy gwizdnie na rowerzystę, to ten staje na pedałach i tyle go widać. Żaden gliniarz nie zacznie przecieć do niego strzelając.

Stan świadomości polskiego bezkarnego bikerka najlepiej ilustruje scenka z Wrocławia. Wideo rejestrator tamtejszej policji czas jakiś temu nagrał rowerzystę przejeżdżającego na czerwonym świetle. Facet świadomie miał gdzieś sygnalizację świetlną. Ale wszystko to dlatego, że jak powiedział po zatrzymaniu przez policjantów, „on i tak bardziej ryzykuje”. Bezkarność rowerzysty jest więc absolutna. Jak urwie komuś lusterko samochodowe, albo przerysuje pedałem karoserię, to gdy da dyla z miejsca zdarzenia, można mu nagwizdać. Skąd więc biorą się policyjne sprawozdania z 88 tys. rowerzystów ukaranych mandatami w zeszłym roku? Bo wtedy, tylko za jazdę po chodniku i przejeżdżanie po przejściu dla pieszych mandaty dostało 32,3 tys. rowerzystów.

Liczący to robią wrażenie, ale rodzą pytanie o skalę występów rowerzystów, która mimo tych kar jest nagminna i nie widać, by chciała spadać. Jeszcze ciekawiej wyglądają statystyki światowe. Zgodnie z danymi WHO, liczba ofiar śmiertelnych wypadków drogowych na 1000 mieszkańców w latach 2010–2021 spadła o 16 proc., tymczasem odsetek ten wśród rowerzystów wzrósł z 5 do 6 proc. Dla Europy ten skok jest większy: z 4 do 9 proc. Tendencja w zakresie liczby rowerzystów zabitych na drogach jest też poważnym problemem w UE: w 2022 r. zginęło ponad 2000 rowerzystów. Jest to jedyna główna grupa użytkowników dróg, która w ciągu ostatniej dekady nie odnotowała znacznego spadku liczby

ofiar śmiertelnych. Dekady, w której wybudowano tysiące kilometrów ścieżek rowerowych.

Śmierdę, więc jestem ekologiczny

Badania natężenia ruchu pokazują, że rowerzyści stanowią 5–10 proc. wszystkich pieszych użytkowników ruchu. Badania te przeprowadzano w miesiącach letnich, stąd obciążone są mocnym błędem. Ten błąd to nasz klimat, w którym rower jest użytkowany komunikacyjnie przez pół roku. Zaś w praktyce jeszcze krócej, bo gdy wali żabami z nieba, żaden – poza kurierami – szanujący się miłośnik pedałowania z bicykla nie korzysta.

Wychodzi na to, że wielu zrzuciło się na coś, z czego korzysta na co dzień bardzo niewielu.

Ścieżki rowerowe miały usprawnić ludziom dojazd do i z pracy. W Warszawie z Wilanowa od lat do centrum można przejechać, niemal nigdzie nie wjeżdżając na drogę z samochodami. Ten odcinek ma ponad 10 km. Wilanów zamieszkują młodzi, prężni i w miarę bogaci. Czyli tacy, co powinni dymać rowerami, zamiast tracić czas w siłowniach i na fitnessach. Jak się można domyślać, rano do roboty nie śmiga stamtąd rowerem żaden leming, bo nikt normalny nie lubi śmierdzieć potem w biurze.

Ludzie są mądrzejsi od działaczy ekologicznych. Może trochę podświadomie, ale wiedzą, że bycie cyklistą nie jest ani zdrowe, ani nawet obojętne dla organizmu. Szczególnie facet. Mężczyzna ma bowiem w miejscu zetknięcia się korpusu z rowerem takie ustrojstwa jak worek mosznowy z jądrami, podstawę prącia, a nade wszystko prostatę, by nie wspomnieć o odbycie. Wcisnięcie tego wszystkiego w siodło robi facetom niefajnie. Choć niekoniecznie od razu. Kilka badań wprost dopatrywało się wpływu uciskania stercza na jego rozrost, a co za tym idzie, na rozwój nowotworu. Ścisnięcie naczyń krwionośnych w podstawie penisa nie wróży najlepiej jego erekcji, a obciążony hemoroidami anus sam zacznie domagać się odstawienia roweru.

Ale to nie wszystko. Jest jeszcze świeże powietrze, którego zaletami tak chełpią się rowerzyści. Świeże, czyli to z rur wydechowych przejeżdżających obok samochodów. Oczywiście na spaliny narażeni w miastach są wszyscy, tyle tylko, że ktoś jadący rowerem, oddycha kilkakrotnie częściej i głębiej. A zatem magazynuje w płucach o wiele więcej tak niezbędnych organizmowi związków jak metale ciężkie czy dioksyny. Na swój sposób jest

to oczywiście działanie ekologiczne – bowiem cyklisi tacy oczyszczają środowisko naturalne z tych zanieczyszczeń – ale chyba nie do końca zamierzone.

Lobby rowerowe powołuje się na to, że w takiej Kopenhadze 40 proc. pojazdów na ulicach to rowery. A i owszem. Z jednym małym „ale”. Rowerkiem podjeżdża się tam do najbliższej pętli komunikacji miejskiej, gdzie rowerek się parkuje, a potem jedzie się do pracy czymś mechanicznym. Chyba że mieszka się w centrum, a pracę ma się o rzut błotnikiem. Nasi uzdrowiciele świata chcą, by kostką i asfaltem ścieżek rowerowych zakryć resztkę trawników, zapewniając centrum miast status miejsc ekologicznych. Metro, tramwaje i autobusy przystosowano do przewożenia rowerów. Nikt nie pomyślał, że jeden człowiek z rowerem, to jakieś pięć miejsc w środku komunikacji zbiorowej? Bo oczywiście ekologicznemu rowerzyście nie zaświta w głowie, że mógłby się ze swoim pojazdem rozstać na kilka godzin, przywiązując go na parking przy przystanku.



Rys. KRZYSZTOF OLEJNIK

Dlaczego nikt nie za-jąknie się o obowiązkowych kaskach i OC dla rowerzystów? O tym, że siadając za sterami roweru winni mieć za sobą choćby szczątkowe szkolenie z przepisów drogowych, czyli kartę rowerową dla dorosłych?

Nie wspominając o takim drobiazgu, jak coś, co przy powszechności kamer ulicznych pozwoliłoby rowerowego pirata zidentyfikować, czyli rowerowe tablice rejestracyjne? Odpowiedź jest prosta: bo nie leży to w interesie tych, którzy żyją ze sprzedaży i produkcji rowerów oraz osprzętu.

TOMASZ BOROWIECKI

■ Ponad 700 l bimbru o mocy 75 proc. oraz aparaturę do produkcji znaleźli funkcjonariusze Służby Celno-Skarbowej, oczywiście z Białegostoku. W lesie pod Supraślem odkryli fabrykę do pędzenia wyposażoną we własną studnię głębinową, piec kokosowy, chłodnicę i kolumnę destylacyjną. Nielegalną produkcję zdekonspirował smród, jaki unosił się nad rozlewiskiem odpadów. Wydaje się, że wobec ogromnego poparcia społecznego, tradycji historycznej i kulinarnej wreszcie należałoby na Podlasiu bimbrownictwo zalegalizować. Że to niby produkt regionalny. Albo zwiększyć limit bezkarnego pędzenia na własne potrzeby do – powiedzmy – 500 l na rodzinę. Jak czegoś nie można się pozbyć, to trzeba polubić. Na to ostatnie nadszedł już czas najwyższy.

■ Polska jest nadal drugim największym producentem jabłek w Unii Europejskiej. Co czwarte jabłko w Europie pochodzi z naszych sadów – podała portal Nowymarketing.pl. Zrywamy prawie 2,5 mln ton jabłek rocznie. Wyprzedzająca nas Turcja zbiera ponad 3 mln ton. Jeżeli by jednak wbrew Nowemumarketingowi.pl przyjąć, że Turcja leży w Azji, no to jesteśmy w tym zbieractwie na pierwszym miejscu w Europie.

■ 21-letni motocyklista uderzył w ciągnik Ursus, motocyklem ma się rozumieć. W rezultacie ciągnik rozerwało na pół. Nieste-

ty Ursusy mają taki niewralgiczny punkt, gdzie jedynym elementem konstrukcji nośnej jest skrzynia biegów, połączona z korpusem silnika kilkoma śrubami. A te lubią pękać podczas zderzeń bocznych. Wówczas odpada tylny most wraz z kołami. Motocyklista nie przeżył spektakularnego zderzenia – można by powiedzieć, że był sam sobie winny, nie miał bowiem uprawnień do kierowania motocyklem. Sprawa się jednak skomplikowała, gdy się okazało, że traktorzysta miał odebrane

prawo jazdy na wszelkie pojazdy za kierowanie po pijaku. Aby było jeszcze trudniej, ustalono, że akurat tym razem był trzeźwy. Jak widać, wyrok powinien być ze względu na obfitość okoliczności łagodzących niewygodowany.

■ Właściciel pasieki w Stalowej Woli umieścił w swoich ulach nadajnik GPS na wypadek, gdyby ktoś je ukradł. Jak chciał, tak się stało. Ule zostały skradzione. Dzięki technice i współpracy z policją udało się zatrzymać kierowcę białego busa, w którym przewoził on skradzione pszczoły rodziny. Ach ta technika! Niedługo wkładać będą GPS-y w kieszenie sprzedawanych spodni, a podsłuchiwać nas zaczną czajniki. Każdą częstką duszy zawsze będę się przeciw temu buntował.

■ Kierowca autobusu miejskiego w Lublinie zwrócił uwagę pasażerowi, że jego pies nie ma kagańca. Pies nie poczuł się dotknięty, ale jego właściciel jak najbardziej. „Dajcie nóż, a zaszlachtuję tego skurwysyna!” – miał rzec podróżny. Należałoby rozważyć zmiany regulaminowe w MPK Lublin, które wprowadzałyby obowiązek noszenia kagańców również przez pasażerów. Oraz zakazywałyby przewożenia autobusami noży.

■ Patryk Zieliński, 22-latek ze wsi Zawaly opodal Torunia, przejechał rowerem trasę liczącą 4,4 tys. km przez Niemcy, Holandię, Belgię, Francję, Hiszpanię aż do Maroka. Motywów rowerzysty nie bada policja ani prokuratura. Choć naszym zdaniem powinny.

■ Sezon polowań w pełni, więc jak zawsze przypadkowo, 29-letni mężczyzna został śmiertelnie postrzelony podczas przygotowań do polowania w okolicach Woli Wiśniowej w powiecie włoszczowskim. Jego 60-letniemu koledze strzelba trzymana w dłoniach wypadła sama bez pociągania za spust. Czyli klasyka gatunku.

■ Złe informacje nadeszły natomiast z Namysłowa na Opolszczyźnie, gdzie 21-latek wszedł na słup energetyczny. Poraził go prąd. Runął na ziemię. Stracił przytomność. W ciężkim stanie został przetransportowany przez Lotnicze Pogotowie Ratunkowe do szpitala. Lekarze ustalają, czy na gwałtowne pogorszenie stanu zdrowia pacjenta większy wpływ miała energia elektryczna, czy grawitacja. Jest to istotne dla zaordynowania właściwej terapii. Pomoc psychiatryczną otrzyma on zaraz po odzyskaniu przytomności.

■ Zdaniem „Super Expressu” najdroższe zapiekanki w górach kosztują 22 zł, podczas gdy nad morzem cena sięgała aż 28 zł. Schabowy był droższy nad Bałtykiem – 35,50 zł w porównaniu do tego serwowanego w górach – 34 zł. Piwo kosztuje maksymalnie 18 zł w górach i 20 zł nad morzem. Pierogi ruskie były droższe o 1 zł w nadmorskich kurortach niż w Szczawnicy. Zarówno w górach, jak i nad morzem

maksymalna cena za gałkę łodów wynosiła 9,5 zł, a za rosół – 20 zł. W przypadku kawy czarnej maksymalnie 12 zł w obu regionach. To jest oczywiście argument za tym, aby jechać jednak do Zakopanego. Ale proszę zwrócić uwagę, że różnice procentowe między Kolobrzegiem są naprawdę niewielkie.

■ Policjanci z Kępna podczas patrolu drogi krajowej numer 39 w Mroczeniu chcieli przystąpić do kontroli drogowej motocyklisty, ale on nie chciał ich przystąpienia. 48-letni mieszkaniec gminy Baranów nie zatrzymał się na żądanie. Następnie uciekał przed radiowozem kolejne 45 km. W końcu został powalony przez policyjny wóz. Wyrzwał kaskiem w jeźdnię. Policja postawiła motocyklistę zarzuty opiewające na 610 punktów karnych i 45,5 tys. zł grzywny. Zarzutu usiłowania morderstwa policji z Kępna nikt nie postawił jak na razie.

■ Nie miał tyle szczęścia policjant z Warszawy, który jadąc z obłądną prędkością przez centrum, jebnął toyotą w zabytkowy kandelabr przy Placu Konstytucji. Samochód dachował. Pijanego kierowcę wyciągnęli zza kierownicy koledzy po fachu. Sierż. sztab. Jakub Pacyniak z Komendy Policji Warszawa Śródmieście wyjaśnił, że jego kolega musi stawiać czoła konsekwencjom zarówno karnym, jak i dyscyplinarnym. Nieobliczalność organów ścigania przybiera zatrzważające rozmiary.

RJ

PS Rubrykę zredagowano w oparciu o informacje z prasy lokalnej, za które ręki nie dalibymy sobie uciąć. Zatem trzeba ostrożnie, bo może być to niezupełna prawda, za którą nie odpowiadamy własnymi głowami ani rękoma.

CO DZIŚ
OGLĄDAMY?
SEKS, PRZEMOC
CZY POLITYKĘ?



Rys. WIDGET

Żeby dziadek zjadł obiad

Zamiast marnować czas i pieniądze na lekarza, lepiej posłuchać reklamy.

Miewają rację ekonomiści uważający, że rynek się sam reguluje, a pieniądź gorszy wypiera pieniądź lepszy. Nie wierzyć? Żeby się przekonać, wystarczy wyjść z domu. Jedno, co na pewno każdy znajdzie tuż obok, to apteka. Popłajtowały spóżywczy, fryzjera szuka się pół dnia, ale pigułki, maści, czopki i herbatki są na wyciągnięcie ręki. Biznes apteczny kwitnie mimo twierdzeń, że po powrocie Tuska do władzy, po opłaceniu rachunków Polaków nie stać już na nic, a emeryci masowo nie wykupują przepisanych im specyfików.

Co ma wspólnego apteka z samoregulacją rynku i gorszym pieniądzem? Otóż to, że jak komuś coś dolega, to powinien pogonić do lekarza. Tyle że albo narazi się kilkogodzinne stanie w kolejce, albo musi wywalić kasę za wizytę prywatną. Polak idiotą nie jest i najlepiej wie, co robić. Niedostępność lekarza powetuje sobie wizytą w aptece. Lepszą monetę w postaci kontaktu z doktorem, zamieni na gorszą. No i zamiast porozmawiać z farmaceutą, będzie się leczył sam, korzystając z wiedzy wyniesionej z reklam.

Odkwaszanie kaszlu

Jak ktoś pali fajki, to nie dość, że śmiesz, wydaje bez sensu kasę i naraża się na impotencję oraz wiele groźnych chorób, to na dodatek ma kaszel palacza. A „kaszel palacza dotyczy palących jak i tych, co rzucili palenie. Nie należy go lekceważyć, gdyż może mieć poważne konsekwencje”. W ramach nielekceważenia, zamiast pójść się przebadac albo zrobić rentgena klatki, lepiej zaliczyć aptekę, a w niej coś, co uchroni każdego przed poważnymi konsekwencjami.

Tylko po co? Kaszel jest odruchem obronnym. Płuca bronią się przed zanieczyszczeniami i poprzez kaszel usuwają to, co tam zalega. A jak się pali na okrągło, to kaszel nie jest w stanie zniknąć, bo co chwila dostarczamy drogą oddechową nową porcję substancji smolistych. Ci, którzy fajki rzucili, a kaszla dalej, zamiast wydawać hajs na parafarmaceutyk, powinni się dowiedzieć, że tak ma być, bo aby płuca oczyściły się z wszystkiego, co zmagazyowało się w nich podczas dekad palenia, potrzeba minimum pięć lat.

Abstrahując od tego, że „uwolnienie się od kaszlu palacza” nie ma sensu. Zalegająca płuca, gęsta wydzielina to genialna pożywka dla bakterii. Jak się tego nie wywali dzięki kaszlowi, to dopiero wtedy mogą nastąpić poważne konsekwencje.

Po co marnować czas lub pieniądze na lekarza, gdy wiadomo, że ciemne kręgi pod oczami, bóle głowy, niestrawność, pryszcze i krosty, częste przeziębienia, zawroty głowy, nudności, mroczki przed oczami, gorycz lub kwas w ustach, obłożony język, uderzenia krwi do głowy,

osłabienie fizyczne, to tylko niektóre z objawów nadmiernej kwasowości. No a długotrwałe zakwaszenie sprzyja rozwojowi chorób tak poważnych jak: nadciśnienie, miażdżycę, cukrzyca, osteoporoza, nowotwory, zmiany zwyrodnieniowe stawów, nadwaga, a także może być przyczyną wielu dolegliwości: ogólnego zmęczenia, braku koncentracji, zaburzeń snu, napięć nerwowych, depresji, częstych infekcji, zaparc, łamliwości paznokci i wypadania włosów. Bowiem zakwaszenie organizmu nie odpowiada jedynie za zmiany klimatu i wybuchy wulkanów. Wszystkie te mądrości są dostępne dla starszego Polaka w prasie poradnikowej, a dla młodszego – w sieci. Ale najistotniejsze jest to, że jest panaceum, które kwasowość wyeliminuje.

W specyfiku – którego nazwy specjalnie nie wymienię – są: celuloza, wyciąg z kwiatów róży stulistnej, wyciąg z zielonej herbaty, wyciąg z korzenia mniszka lekarskiego, kwas L-askorbiny, hydroksypropylo-metyloceluloza, mlecza żelaza, siarczan cynku, amid kwasu nikotyno-

wyciąg z korzenia mlecza ma zastosowanie jako surowiec moczopędny, zaś cała reszta tych uczonych nazw to po prostu witaminy?

Każdy medyk i farmaceuta po przeczytaniu składu specyfiku najpierw się roześmieje, a potem powie, że jak się ktoś chce odkwasic, to zamiast wydawać kasę na to nie wiadomo co, lepiej żeby zjadł codziennie plasterka buraka.

Anemiczny cellulit

Przyczyną nadmiernego gromadzenia się wody w tkankach skóry, czyli cellulitu wodnego jest zaburzenie krążenia krwi i limfy. Objawia się to opuchniętą i pofałdowaną skórą. Opuchlizna pojawia się na udach i brzuchu,

TU JEST LISTA CHOROBY, KTÓRE WYPADŁY Z REFUNDACJI PASUJE?



wego, sole magnezowe kwasów tłuszczowych, D-pantotenu wapnia, octan DL-alfa-tokoferolu, dwutlenek krzemu, dwutlenek tytanu, hydroksypropyloceluloza, chlorowodorek pirydoksyny, ryboflawina, monoazotan tiamu, kwas pteroilomonoglutaminowy, jodek potasu, indygotyna, czerni PN, D-biotyna, cyjanokobalamina, wosk pszczeli i wosk carnauba.

Dla normalnego człowieka jest to więcej, niż zawiera tablica Mendelejewa. Mało tego, gdyby zobaczył którykolwiek z tych składników na etykiecie czegoś do jedzenia, nawet by tego nie tknął. Parafarmaceutyk rządzi się jednak innymi prawami. Im więcej czegoś dziwnego, tym lepiej. A na dodatek to naturalne surowce roślinne. Co z tego, że róża stulistna ma zastosowanie głównie jako roślina ozdobna, w przemyśle kosmetycznym przy wyrobie perfum oraz w cukrownictwie do konfitur? Albo że wyciąg z zielonej herbaty zazwyczaj stosuje się w preparatach na odchudzanie, bo posiada działanie antyoksydacyjne, natomiast

ale też na łydkach, tudzież kostkach u nóg. Przyczynami cellulitu wodnego są: siedzący tryb życia, częste noszenie szpilek, dieta bogata w sól i ostre przyprawy, nieregularne posiłki, a nawet przyjmowanie pigułek antykoncepcyjnych. Zdawałoby się, że w takim razie, żeby usunąć zbłądzenia, jedna z drugiej niewiasta powinna ruszyć tyłek i zacząć przejawiać jakąś aktywność fizyczną. Ale po co, skoro jest lekarstwem, którego składniki usuwają nadmiar wody z organizmu. Trochę wyciągu z kaktusa, pokrzywy, pestek winogron i mlecza robi każdej kobiecie dobrze. A na dodatek ograniczy jeszcze jej apetyt.

Dla fachowców z dyplomami medycznymi jasne jest, że ten rodzaj cellulitu najczęściej powstaje w wyniku noszenia zbyt ciasnych ubrań i za małego obuwia. A najlepszym lekarstwem na nadmiar wody w organizmie jest niegazowana woda mineralna w ilości dwóch litrów dziennie. Tyle że do tej pory nikt nie wpadł, by wodę reklamować jako parafarmaceutyk.

Normalna kobieta, gdy usłyszy, że pigułki antykoncepcyjne – za które mnóstwo zapłaciła wraz z wizytą u lekarza czy w receptomacie – obniżają libido, powodują tycie, problemy z wątrobą, wahania nastroju, problemy z cerą, wypadanie włosów, zmęczenie i osłabienie, to wywali je do śmieci. Ale wiadać polska kobieta jest jakaś inna. Ona śmiga do apteki i wydaje kasę, by kupić coś, co zneutralizuje te nader negatywne przypadłości.

W preparacie zaś są same wyciągi z roślin i witamina B. Dla kogoś, kto się na tym zna, skład specyfiku gwarantuje, że nie ma siły, by to wszystko zadziało, bo jedne składniki gryzą się z innymi i je po prostu neutralizują. To, na co może liczyć producent, to wyłącznie efekt placebo.

Szacuje się, że na zespół niespokojnych nóg cierpi od 3,5 proc. do 10 proc. społeczeństwa. U 60 proc. osób cierpiących zaburzenie ma podłoże genetyczne. Większość nie miała do tej pory pojęcia, że jest chora. Parę dobrych lat temu pojawiła się więc nachalna reklama, dzięki której każdy przebiega we śnie nogami. No ale przecież jest coś, co sprawi, że całą noc można przespać spokojnie – lek cud.

Czy zawiera lewodoropę lub inną substancję należącą do grupy agonistów dopaminy? Czy należy do grupy benzodiazepin, gabapentyn czy leków opioidowych? Nie należy otóż. Znaczy się, nie ma nic wspólnego z medykamentami przepisywanymi na to schorzenie przez lekarzy.

Ma natomiast żelazo i witaminki. Jest zatem specyfikiem dla anemiczków.

Spocony hemoroid

Wycieki z pochwy nie są tym, co niewiasty lubią najbardziej. Skoro tak, to pojawia się reklama i już każda wie, że wycieki mogą mieć podłoże grzybicze bakteryjne lub mieszane. Ginekolog dodałby do tego jeszcze choćby rzesistka, czyli żyjątko, które nie jest ani grzybem, ani bakterią, a potrafi sprawić, że spod majtek niemiło wali.

Jest jednak preparat, który ma taki skład, że powoduje, że bogate wnętrza kobiet ubogają się w dobre bakterie, które robią kuku złym bakteriom. Tyle że te pożyteczne mikroby nie poradzą sobie ani z rzeżączką, ani tym bardziej z chłamydiami. Te z kolei leczone specyfikiem z reklamy sprawią, że za jakiś czas kobieta nie będzie już musiała stosować antykoncepcji, bo nie będzie siły, by jej jajeczko – na skutek zrośnięcia jajowodów – zetknęło się z jakimkolwiek plemnikiem.

Radość farmaceuty wzbudza jeszcze składnik specyfiku noszący nazwę inuliny. To bowiem takie coś, co jest doskonałą pożywką dla wszystkich bakterii. Tak złych, jak i dobrych. Dzięki niemu – nawet w przypadku niegroźnej infekcji – trzeba będzie stosować preparat długo i szczęśliwie dla producenta.

Każdy, kto miał do czynienia z hemoroidami i normalnym lekarzem, wie, że tyłek trzeba myć. Teraz otóż okazuje się, że sama woda i mydło nie wystarczą. Widać hemoroidy atakujące oglądających telewizję i słuchających radia są jakieś bardziej zjadliwe. Skoro tak, to niezbędny staje się zakup właściwego preparatu.

Tyle tylko, że żel może i dobrze myje okolice anusa, ale wszystkie jego reklamowane składniki albo popłyną z wodą do kanalizacji, albo zostaną na ręczniku. Szkoda, bo skoro żel w swoim czasie powstał przy udziale pieniędzy z Unii Europejskiej oraz budżetu państwa w ramach projektu „Wprowadzanie innowacji procesowej i produktowej oraz wzrost konkurencyjności firmy Aflofarm poprzez zakup nowoczesnego i innowacyjnego próżniowego mieszalnika homogenizującego”, to więc między obywatelem, a funduszami unijnymi mogłaby być dłuższa i intymniejsza.

Tak się dziwnie składa, że pocenie się u człowieka to naturalny sposób regulacji temperatury. Inna sprawa, że przy okazji wraz z potem organizm wywala najróżniejsze niefajne rzeczy, które gdzieś w nas zalegają. Dawniej pot nikomu nie przeszkadzał. Od czasu, gdy wymyślono jednak łazienki, pocenie się wyładowało na cenzurowanym. Bo pocić się nie przystoi. Tak jak puszczać baki w towarzystwie czy sikać na ulicy.

Normalny człowiek wie, że jak się spoci, to po przyjeździe do domu weźmie prysznic i nie będzie śmierdział. Konsument reklamy nie może dać plamy, więc będzie tykał tabletki, po których nie będzie się pocił nawet przez tydzień. Zaprzysiężeni dermatolodzy oficjalnie są przeciw, ale nieoficjalnie zacierają ręce, bo amatorzy antyperspirantów będą dla nich źródłem niekończących się zysków.

Hipokryzja Hipokratesa

Proszki, żeby dziadek zjadł obiad, pigułki wzmacniające paznokcie, włosy i wszystko, co się da. Izoflawony sojowy, kwasy hialuronowe do prostowania zmarszczek w waginie, a nawet skarpetki złuszczone naskórek stóp, co przynosi wyraźną ulgę przy różnego rodzaju zrogowaceniach, odciskach i zgrubieniach. Przekonano nas, że każde zmęczenie, czy złe samopoczucie, to nie wina trybu życia lub miliona schorzeń, ale niedomaganie wątroby, z którym da sobie radę jakiś preparat. Z cukrzycą też nie trzeba gonić do diabetologa, bo wystarczy w aptece kupić stosowny środek na bazie roślin. Wciskano nam już wszystko i oszalesiliśmy, bo nikt na świecie nie wydaje tyle kasy na parafarmaceutyki.

Skąd się bierze fenomen polskiej zachłanności na medykamenty? Po części z niedostępności usług medycznych, po drugie z nieufności do oficjalnej medycyny. Po trzecie wreszcie z powodu poddania Polaków olbrzymiej presji reklamowej. Co roku do mediów wpływają od firm produkujących farmaceutyki miliardy złotych. A ponieważ dobremu klientowi w zęby się nie zagląda, od wielkiego dzwonu tylko można obejrzeć lub przeczytać, że zjadanie większości tych specyfików jest bez sensu. Nie może być jednak inaczej, skoro w większości bloków reklamowych parafarmaceutyki zajmują 90 proc. czasu.

Do mówienia prawdy nie palą się też medycy. Nigdy nie wiadomo bowiem, czy do gabinetu lekarza nie zapuka ktoś z firmy parafarmaceutycznej i nie zaproponuje mu dealu życia. Wywiad, w którym taki medyk powiedziałby prawdę o jakimś parafarmaceutyku, szansę na wielką forszę by przekreślał.

Milczą też towarzystwa medyczne. Oczywiście z powodu wielkich pieniędzy, którymi są sponsorowane przez farmaceutycznych kreosów. Poza tym lekarze tylko na pozór tracą na tym, że ktoś zamiast po poradę i receptę biegnie do apteki po reklamowany specyfik. Dzięki brakowi sensownej diagnozy taki ktoś wróci do lekarza w stanie, w którym będzie się musiał leczyć o wiele dłużej.

Zwykły zjadacz aspiryny nie ma też co liczyć na etyczne postępowanie aptekarzy. Bo dlaczego dziś wszyscy producenci parafarmaceutyków chcą, by były one sprzedawane w aptekach, a nie drogeriach, czy w kioskach? Gdyż, nie wiedząc czemu, apteka dla większości Polaków wciąż nie jest zwykłym sklepem, ale gwarancją tego, że kupują lek, a nie kit.

Jedyny przejaw aktywności państwa sprowadza się do konieczności występowania w reklamie formułek o zasięgnięciu porady u lekarza lub farmaceuty. Do polityków nie dociera, że wyjątkowość medycyny winna wymuszać, by państwo było regulatorem reklamowanych treści. Nie może być tak, że z błogosławieństwem prawa wciska się milionom ludzi kit o właściwościach zdrowotnych, których nie ma.

TADEUSZ JASIŃSKI

Altmed, medycyna niekonwencjonalna i proponowane przez nią terapie wciąż sprzedają się lepiej niż kokaina.



Rys. TOMASZ WATKIN

W dobie powszechnego dostępu do wiedzy, społeczeństwo jakby na przekór instynktowi utrwalenia gatunku wciąż szuka alternatywnych metod walki z ułomnościami własnej cielesności. Trudno się dziwić, że gdy wizyta u lekarza kojarzy się z zalewem pretensji, żółci i wizją palca w dupie, człowiek współczesny korzysta ze zdobyczy techniki, które pozwalają uniknąć haniebnych praktyk tzw. medycyny tradycyjnej. Zapraszamy na szybki przegląd groteskowych jak konferencja naukowa w sprawie likwidacji jednej grupy przez drugą, cudów medycyny alternatywnej. Jerzy Zięba ze swoją wiecznie żywą ideologią lewoskrętnej witaminy C może czyścić buty trendującym w internecie handlarzom alt-medu.

B jak barany

Letril, witamina B17, jej wysokość amigdalina. To występujący w roślinach (szczególnie w nasionach roślin różowatych, m.in. pestkach wiśni, moreli czy brzoskwini) związek organiczny. Największą sławę temu związkowi chemicznemu przyniosła domniemana zdolność zmniejszania masy guzów i zmian przerzutowych. Amigdalina przypisuje się również korzystny wpływ na porost włosów i działanie energetyzujące. W praktyce to gówno prawda. Doustne przyjęcie letrilu w dużych dawkach może spowodować poważne zatrucie, w ciężkich przypadkach prowadzące nawet do śmierci. Pod wpływem niektórych enzymów układu pokarmowego odpowiedzialnych za rozkład tej substancji wydzielany jest bowiem kwas cyjanowodorowy. Antynowotworowe właściwości amigdaliny też są mocno przesadzone. W jedynym przeprowadzonym dotychczas badaniu klinicznym okres remisji choroby zaobserwowano wyłącznie u jednego pacjenta z liczącej 175 osób grupy. U ponad połowy chorych doszło do po-

głębienia stanu chorobowego, dodatkowo wykazano liczne przypadki zatrucia cyjanowodem. Nie szkodzi, w sieci można zakupić preparat już za dwie dyszki.

Fale absurdu

Podejrzewasz u siebie boreliozę? Masz robaki? A może depresję, wirusowe zapalenie wątroby i grzybicę jelit? Nie panikuj, nawet jeśli nie cierpisz na żadne z tych schorzeń, biorezonans (nie mylić z rezonansem magnetycznym!) nie tylko je wykryje, ale i wyleczy. Przebieg badania uzależniony jest od używanego doń sprzętu. Najczęściej wykonywane jest w pozycji siedzącej. Pacjent dostaje do potrzymania w obu dłoniach podłużne metalowe uchwyty – są to specjalne elektrody, przez które po włączeniu maszyny przepuszczane są fale. Urządzenie wykrywa niepoprawne

drgania, na podstawie których osoba wykonująca badanie stawia „diagnozę” i dobiera terapię biorezonansową, czyli fale przywracające „zdrową” częstotliwość. Drgania są tak ekskluzywne, że nie da się ich zarejestrować innymi metodami poza specjalnie opatentowanymi aparatami, he he. Procedura jest bezinwazyjna, bezbolesna i co najważniejsze bezsensowna. Koszt, w zależności od panelu „badań” i „terapii” waha się od 100 do 450 zł za zabieg. Za tę kasę mogliby chociaż kopnąć lekko prądem dla podniesienia adrenaliny...

Siała baba mak

Metod alternatywnego leczenia raka jest bez liku, ale ta jest wyjątkowa. Można olać trudy wypraw do lekarzy i na luzie skoczyć do najbliższego warzywniaka. Potrzebne będą: czosnek, kapusta i ciecierzycy. Ormiański twórca terapii Georg Elias Ashkar z powodzeniem przetestował ją na sobie i postanowił podzielić się dobrą nowiną ze światem. Nie wiedząc czemu, metoda najlepiej przyjęła się w Polsce i ma się dobrze od ponad 30 lat. Pewnym tropem może być fakt, iż „naukowiec”- mimo protestów środowisk lekarskich – kilka razy wygłosił prelekcję na Uniwersytecie Opolskim, ale nie ma się co wyzłościwiać. Zabieg jest łatwy jak zamknięcie wieka od trumny. W celu pozbycia się onkologicznego lokatora należy wykonać nacięcie na skórze, następnie wprowadzić w nie czosnek i odczekać osiem godzin. Po tym czasie na skórze wytworzy się rozległy bąbel, który należy odciąć, a w powstałą ranę naładować ciecierzycy. Dla powodzenia terapii leczone miejsce należy obłożyć liśćmi kapusty i zabandażować. Jeśli z rany zacznie się wydobywać smród zgnilizny i ropy, można uznać, że terapia działa, bo ciecierzycy wyciąga toksyny odpowiedzialne za powstanie nowotworu. Żeby tylko komuś nie przyszło na myśl stosować równolegle chemioterapii! Prezes Polskiej

Unii Onkologii Janusz Meder nazywa tę metodę „ciemnogrodem, kryminałem i zbrodnią”, ale rzesze zainteresowanych tematem internautów mu nie wierzą i czekają na powrót do zdrowia w oparach czosnku i odoru rozkładu. Koszt terapii ok 20 zł.

Ładuj w żyłę

„Spadek koncentracji, obniżona odporność i stale nawracające infekcje to tylko jedne z nielicznych symptomów występujących zimą i w okresie wczesnej wiosny. (...) Właściwe odżywianie i suplementacja odpowiednich witamin skutecznie pomaga w zachowaniu zdrowia” – wyliczają przedsiębiorcy na stronach swoich klinik i pytają zaczepnie „wlewy witaminowe – czemu są takie ważne?”. Nie wiem, ale wiem, że reklamowane jako panaceum na starzenie się, toksyny w organizmie czy wspomaganie leczenia onkologicznego dożyłne wlewy z witaminek są chuja warte, a często nawet szkodliwe. Wie o tym również rzecznik praw pacjenta Bartłomiej Chmielowiec, który w latach 2020–2023 wydał 36 decyzji o zaniechaniu podobnych praktyk, obarczając niewykonanie tego nakazu możliwością nałożenia kary w wysokości 500 tys. zł. Mimo to chętnych nie brakuje. Pod kroplówkę ładują się sportowcy, alkoholicy na ekspresowym odruciu, chorzy na raka i inne anemie. Jedna placówka witaminowa się zamyka, a w jej miejsce otwierają się cztery kolejne. Widać RPP ma mniejsze przebitcie niż spece od internetowego marketingu. Koszt zabiegu to ok. 300 zł.

Ag(ówno)

Mowa jest srebrem, milczenie – złotem, a biznes to biznes. O cudownych właściwościach srebra koloidalnego słyszał każdy, nie wszyscy jednak wiedzą, jakie zastosowanie ma w medycynie tradycyjnej, a jakie w altmedzie. Różnica jest mniej więcej taka jak w przypadku żelu do mycia kibla. Mikroskopijne cząsteczki srebra (rozpuszczone najczęściej w wodzie) przez wzgląd na właściwości bakteriobójcze i bakteriostatyczne w medycynie wykorzystywane są jako składnik kremów na oparzenia i trudno gojące się rany. Krótko mówiąc, preparat stosuje się zewnętrznie. Domorośli propagatorzy wiedzy tajemnej poszli o krok dalej i wyjaśnili każdemu, kto chciał słuchać, że preparat odrobacza (może nawet lepiej niż biorezonans!), działa wspomagająco w terapii grypy, anginy, opryszczki, kata-ru, AIDS i gruźlicy – do wyboru. Wystarczy srebro koloidalne pić. Niemądrzy doktorzy o tym nie mówią, bo, jak wiadomo, są na usługach koncernów farmaceutycznych. Spece od altmedu nie mówią natomiast, że złopanie roztworu może i nie pomoże, ale prowadzi do kumulacji tego metalu ciężkiego w organizmie, co niekiedy skutkuje argyrią, czyli srebrozycą. Niestety, jest to stan, który nie objawia się brokatowym połyskiem skóry, lecz zmienia jej barwę na szary lub sinoszary kolor. Koszt preparatu waha się od 290 do 1080 zł.

NACISKI NA MINISTRA ZDROWIA



Rys. TOMASZ WATKIN

Tygodnik „NIE” zaleca: zanim użyjesz którejkolwiek terapii, skontaktuj się z lekarzem NFZ lub farmaceutą.

IDALIA DUBICKA

REKLAMA

Memoriał ppłk. Drobika przed powstaniem Blaski i nędze kompromisu z Rosją

Kampania wyborcza w USA Wolnemu handlowi już dziękujemy

Samochód elektryczny – kłopotliwy luksus

Sztuczna inteligencja wyprze otwarty internet

tygodnikprzeglad.pl

Polak boi się wszystkiego.

Lęki nasze powszednie

„Czego się boisz głupia, czemu nie chcesz iść na całość?” – pytał retorycznie Jan Kaczmarek w piosence z czasów komuny. Nie przewidział, bo i nie mógł przewidzieć, że w dzisiejszej Polsce idziemy na całość właśnie w strachu, który przenika naszą rzeczywistość, tkwiąc jak drzazga w dupie. Boimy się wszystkiego i wszystkich, co dziwnie przypomina mi pewien rysunek satyryczny, w którym trzęsący się jak galareta facet wlaź pod stół, co zostało skomentowane słowami (cytuję z pamięci): „Pan Stanisław dowiedział się, jak świat wygląda”.

A świat Polaków wygląda tak, że trafniej opisują go kategorie psychologiczne (chwilami: psychiatryczne) niż socjologiczne. Jak pisał Miguel de Cervantes w „Don Kichocie”, „strach ma wiele oczu i widzi pod ziemią”. Warto rzucić snop światła na to, co tkwi gdzieś tam w zakamarkach naszej świadomości, czasem tylko wybuchając z siłą erupcji wulkanu.

Rzecz jasna, co widać w piśmiennictwie naukowym, rozróżnienie między strachem i innymi emocjami nie jest takie oczywiste. Gniew, nienawiść czy obrzydzenie mają w sobie jakąś domieszkę strachu, a zazdrość jest strachem przed utratą partnera, wina – strachem przed karą, a wstyd – strachem przed upokorzeniem. Z kolei Amerykańskie Towarzystwo Psychiatryczne uznaje strach jako somatyczne napięcie związane z przewidywaniem zagrożeń lub niebezpieczeństwa, definiując lęk jako coś bardziej irracjonalnego (trudniej wskazać jego przyczyny), tkwiącego nie tyle w rzeczywistości, co w domenie domysłów, wyobrażeń lub interpretacji.

Do piachu pójda wszyscy

Jak naucza Zygmunt Freud, prądródłem naszych lęków i strachów jest świadomość własnej śmiertelności. Śmierć, pisze kolejny Zygmunt – Bauman – jest przerażająca z powodu pewnej cechy, która czynią ją wyjątkową: za jej sprawą wszystko inne jest nieaktualne. Podob-

no wszystkie opowieści moralistyczne działają poprzez strach. Przy czym kiedyś wraz ze strachem szło antidotum (na pewno umrzesz, ale jak byłeś dobry, pójdziesz do nieba, gdzie będziesz żył wiecznie), dzisiaj zaś mało kto kupuje odkupienie.

Słaskie punki z kapeli Bulbulators śpiewały przed laty: „Jedyna sprawiedliwość: do piachu pójda wszyscy”. Mądre słowa, ale nie po to wymyślono kulturę konsumpcyjną, aby tej oczywistej oczywistości (jakby powiedział Prezes) odpowiednio nie polukrować.

Zacytujmy nieco dłuższy wywód Baumana z książki „Płynny lęk”: „Aldous Huxley wyobrażał sobie, że w Nowym Wspaniałym Świecie dzieci będzie się uodparniać/szczepić na lęk przed śmiercią przez częstowanie ich ulubionymi słodyczami, gdy staną wokół łoża umierających starców. Nasze »moralistyczne opowieści« próbują uodpornić nas na lęk przed śmiercią, banalizując widok umierania. To odbywające się codziennie próby kostiumowe śmierci odzianej w społeczne wykluczenie, niosące nadzieję, że zanim nadejdzie w całej swej nagości, przywyknijemy do jej banalności”.

Na niezliczonych stronach plotkarskich i jakoby poważnych serwisach informacyjnych (a faktycznie: rozrywkowych) pleni się niczym chwasty w ogrodzie w gruncie rzeczy szamańskie zaklinanie śmierci. Bo czymże innym jest promowanie kremów pod oczy, dzięki którym 50-latką będzie wyglądać 20 lat młodziej, jak nie pozorowaną ucieczką przed starością, która nie bez racji kojarzy się z nieuchronnym zgonem?

Oczywiście, Kościół katolicki to taki krem pod oczy w wersji full wypas, choć po prawdzie taniej wychodzi kupić za parę stów mazidło ze śluzu ślimaka niż dawać na tacę co niedzielię i „co laska, nie mniej niż dwa tysiące” za pogrzeb. Klechy to sprzedawcy marzeń, którzy handlują towarami, co do którego nikt nigdy nie wniesie reklamacji, bo trupy nie mają takiej możliwości. W zamian za obietni-



cę życia pozaziemskiego, niebiańskiego, otrzymują od naiwnych wsparcie na ziemi, tej ziemi.

Jak znaleźć sposób na własne uniesmiertelnienie, osładzający przykry fakt, że po iluś tam latach nas nie będzie? Tu w sukurs przychodzi jakoby nieśmiertelny naród. Wszak pani Walewska, kochanica Napoleona, w chwilach uniesień z cesarzem, miała mu szeptać do ucha nie to, by ją lepiej posuwał, ale patriotycznie: „Mój panie, nie zapominaj o Polsce!”. Naród, owa – wedle pamiętnej formuły Ernesta Gellnera – wspólnota wyobrażona, daje namiastkę wiecznej wspólnoty, co jest podsycane przez edukację i media, które każą nam czuć pokrewieństwo z jakimś tam Mieszkim czy Bolesławem Chrobrym, że o Litwinie Jagiellie nie wspomnę.

Od najmłodszych lat wbija się bachorem do głowy, że są „Polakami małymi”, ich znakiem jest orzeł biały, mieszkają

między swymi, w polskiej ziemi, którą mają kochać szczerze i wierzyć w Polskę. Jak śpiewał Muniak z T.Love: „Ojczyznę kochać trzeba i szanować”, a to dlatego, że jawi się ona jako coś trwalszego od nas, wręcz beczczasowego.

Dzisiaj jednak wiele osób twierdzi, że ich znakiem jest Koziorożec, mieszkają na strzeżonym osiedlu, kochają jogging, a wierzą w Igę Świątek. Co z kolei prowadzi nas do kolejnego strachu napędzającego rynki konsumpcyjne.

Musisz być kimś

Większość ludzi przez większość historii nie zostawiła po sobie śladu. Ot, narodzili się, żyli i zmarli. Obawiając się w trakcie egzystencji tego, że odejdą i nikt o nich nie będzie pamiętać. Niektórzy uznali, że można temu zaradzić na sposób Herostratesa, szewca z Efezu, który dla sławy spalił jeden z siedmiu cudów starożytnego świata, świątynię Artemidy. Do dziś w psychologii istnieje pojęcie „syndromu Herostratesa” opisującego osobę łaknącą ciągłej aprobaty i perma-

Nie jest łatwo zostać wybitnym pianistą, poczytnym pisarzem, genialnym kopaczem futbolówki, biegaczem supermaratonów. Wymaga to czasu, wysiłku, poświęceń, że o talencie nie wspomnę. O wiele łatwiej upadłać dla sławy niepełnosprawnego chłopaka, każąc mu jeść gównem i wskakiwać do szamba (co czynił niejaki Łukasz W., znany jako „Kamerzysta”).

Jest taka scena w świetnym filmie „American beauty”, w której atrakcyjna nastolatka, wciąż dosadnie podkreślająca, jak się puszcza na prawo i lewo, prosi głównego bohatera, granego przez Kevina Spaceya, aby był przy zbliżeniu delikatny, bo jeszcze nigdy z nikim nie uprawiała seksu. Opowiadała o własnej zdrajczy, bo nie chciała zginać w tłumie, pragnęła czymś się wyróżnić, zyskać szacunek innych.

To dość oczywiste, iż nasi rodzimi mikro-celebryci – żrący się pod publiczność, udający bogatszych, niż są i kiedykolwiek będą, marzący o rólce w reklamie paszetu czy wzięciu udziału w jakimś telewizyjnym show, że o marzeniu o rozmowie z Kubą Wojewódzkim nie wspomnę – panicznie boją się, że ich wakacje na Bali, odmieniona fryzura czy nowe cycki ujdą uwadze fanów. Że będą mieć ich w dupie. Że nie będą ich z wypiekami na twarzy śledzić ich Instagrama czy TikToka.

Strach przed nieistotnością splywa z góry na dół, czego dowodem miliony Polaków, pokazujących w sieci swoje nudnawe życie, kawki w Starbucksie, wakacje w Hiszpanii, zabawy dzieci w piaskownicy i chuj wie co jeszcze. I stąd te nieszczerne pierdolenie o tanich sukienkach prawie jak Ani Lewandowskiej, ale kosztujących nie tysiące dolarów, lecz 39,99 zł w Lidlu. Bo w nich można poczuć się niczym celebrytą, czyli ktoś znany z tego, że jest znany. Wreszcie być kimś.

Nie lękajcie się!

Poza sporem pozostaje, że strach ma ważne zadanie dla naszego przetrwania, to istotny czynnik selekcji naturalnej. Z jednej strony, ludzie, którzy niczego i nikogo się nie boją, zwykle nie dożywają sędziwego wieku. Tak działa mechanizm ewolucji. Z drugiej strony, osoby zaleknione i bojącego się własnego cienia nigdy nie będą żyć w pełni.

Oczywiście, jest się czego bać. Tylko duren i idiotka pozostaliby beztroscy w obliczu zmian klimatycznych czy chamsstwa, nieżyczliwości i agresji, które coraz bardziej cechują Polaków (byłabym wniebowzięta, gdyby byli choć w połowie tak mili jak Turcy czy Arabowie, których poznałam za granicą). Ale często nasze obawy przypominają te starożytnych Galów, którzy naprawdę żywili ogromny strach, że im się niebo zawali na głowy.

Jak zatem mawiał JP2, nie lękajcie się! Tylko nielekający się ludzie mogą decydować o swoim życiu w sposób nieskrępowanie wolny i rozumny.

ZUZ

Jak zrobić typiarę?

Rozmyślania nad samczym losem

Idąc przez Ogród Saski, usłyszałem, jak jeden nastolatek mówi do drugiego: „Samemu to można zrobić typiarę”. Że niby na imprezę to co najmniej we dwóch. Widać nie znał piosenki Starszych Panów, że jeśli kochać, to nie indywidualnie. A ja, zgorzsony, gorątkowo szukałem w głowie czegoś równie wulgarnego, co mogłoby tak bezwzględnie skompromitować moje pokolenie, jak owo „robienie typiary” kompromituje współczesnych licealistów. Znalazłem jeno marne „wyrwać lachona”, a i to chyba tylko wzięte z kabaretu. Owszem, było rwanie, wyrwanie, a zwłaszcza podrywanie. Wszystkie te zwroty odnosiły się do uczucia ekscytacji, którym zdjęte dziewczę uniesie się ze swego siedziska, gotowe lecieć tam, gdzie horyzontalna dyskrekcja pozwoli wypełnić wezbraną bożą wolę. Podrywacz był zaś kusicielem, którego intencje były zakomunikowane jasno, a żądze naturalne i szczerze. Nie było to takie znowu prostackie.

Tę serdeczną bożą naiwność już od pół wieku podmywa jednakże poza cyniczna. Pełni godności młodzieńcy niby to nie pałają już żądzami i krew w nich młoda na pozór wcale nie wre, lecz mogą co najwyżej laskawie poświęcić nieco trudu zaspokojeniu lekko znudzonej i lekko, na wszelki wypadek, obrażonej na świat dziewczy, w przerwie skrolowania tego i owego. Albo i nie przerywając sobie.

Moda na godnościowy cynizm i abnegację zaczęła się już w moich posthippisowskich, punkowych czasach i choć nie było jeszcze „typiary”, to była na przykład jej dziarska babka, zwana „facetką”. Wtedy nie było to już słowo lekceważące, kojarzące się z facecjami. Grała w nim nawet nutka podziwu. Szybko musiała zresztą ta facetka ustąpić miejsca na poły więziennie-homoseksualnej, a na poły czeskiej „lascie”. Tak się bowiem zdarzyło, że przepiękna piosenkarka zza między wyspiewała przebój „Laska nebeska”, czyli „Niebiańska miłość” i wraz całą gierkowska Polska dowiedziała się, ku swej największej uciechy, że „laska” to po czesku „miłość”, wcale przy tym nie kojarząc tego słowa ze swojską a dostojną „laską”. Śmiechom nie było końca, a że wygląd pani Heleny (a jakże!) nie pozostawiał żadnych wątpliwości co do tego, że zasługuje ona na miłość,

nie mówiąc już o pożądanu, to na jej cześć wszystkie ładne dziewczyny na wieki zostały laskami. Ona zaś pewnie nadal nie wie, jaki to wniosła wkład do erotyczno-lingwistycznej kultury naszego narodu.

Dziś jednakże laski muszą być również typiarami, czyli żeńskimi typami. A typ i typiara to typy ponure, ograniczone i raczej beczpłciowe, za to mające w sobie coś żałośnie charakterystycznego, jak garb albo wielki nos. Właśnie z tego powodu są „typami”, czyli „rodzajami”. I chyba nikt nie chce być typem ani typiara.

Nie wie tego wszystkiego warszawski nastolatek, idący z miętówką w paszczy robić typiarę. Nie musi. Bez względu na to, co wie i sobie myśli albo właśnie nie myśli, ten sam przedwieczny zew pogna go ku samicy własnego gatunku, jak miliony jego przodków, przez tysiące generacji, aż po prapłaza, który wylaź z wody gdzieś pod Kielcami, rozślawiając polską naukę oraz inaugurując wielką i niekończącą się ruje, od Zachełmia po Saskie Ogrody.

Nie wiem, jak to jest u płazów, lecz u ludzi sprawa, bez względu na buńczuczne nazew-



Teoria Mittelstaedta

Niedawno dokonałem odkrycia naukowego na miarę przewrotu kopernikańskiego. No, prawie.

Wszyscy rozumni ludzie widzą, że współcześni człowiekowaci, przynajmniej w Europie i Ameryce Północnej, wyznają dwa zupełnie różne światopoglądy. Jedni są za władzą silnej ręki, przedkładają naród nad jednostkę, hołdują tradycyjnym wartościom, są – przynajmniej na pokaz – religijni, tępią wszelkie mniejszości, zwłaszcza seksualne. Drudzy, nie wyrzekając się przynależności do narodu, szukają wspólnoty z innymi ludźmi, są otwarci na progresywne idee, w różnorodności odnajdują siłę, w Boga wierzą nienachlanie, do kościoła chodzą, gdy żeni się ktoś znajomy albo gdy umrze i tam go żegnają. Dla prostoty mojego wywodu pierwszych nazwę konserwatystami, a drugich – liberałami.

Chyba nikt nie zakwestionuje takiego podziału, zresztą taką silną polaryzację potwierdzają wyniki wyborów w różnych krajach. Wszyscy to widzą, ale

nikt nie zauważył, że nie mamy już do czynienia z ludźmi o innych poglądach, ale z dwoma różnymi gatunkami biologicznymi.

Jako naukowiec-amator, który magisterium uyskał na Uniwersytecie Warszawskim na wydziale filologicznym, zobowiązany jestem do bezstronności, dlatego zaznaczam od razu, że nie wartościuję, który gatunek jest lepszy, a który gorszy. Po prostu stwierdzam, że współcześnie istnieją całkiem różne gatunki ludzi – konserwatyści i liberałowie. Postaram się to udowodnić.

Muł z Lourdes

Nie jest to pierwszy przypadek w historii, gdy dwa gatunki człowieka dzielą wspólny obszar. Gdy nasz przodek homo sapiens, czyli człowiek rozumny, przybył na teren Europy, zastał tam różniącego się znacznie od niego wyglądem i umiejętnościami człowieka neandertalskiego. Nasz przodek wygrał rywalizację. Przyczyny zniknięcia neandertalczaka nie są jasne. Powstało na ten temat kilka teorii. Niektórzy twierdzą, że stało się to w wyniku wa-

nictwo, ma się tak, że oni muszą. A że kwestia rozmnażania jest ważna jak żadna inna, robi się wokół niej niemałe ceregiele.

Czy zalecasz się do panny, czy też robisz typiarę, to samo przed tobą stoi arcyzadanie i nic nie jest w stanie cię od niego odciągnąć ani nic nie może być od niego ważniejsze. Musisz oto sprawić, żeby ona cię chciała.

Tylko jej błogosławieństwo – wytudzone dezodorantem do włosów czy bajerem o Einsteinie – może cię uszczęśliwić. Czyś ty stary smooth operator, czyś ty może młody a szybki Bill, to jest jedyne szczęście, jakie znasz i wszelkie inne będzie tylko jego pochodną albo zapowiedzią. I to kobieta, tylko kobieta będzie już do końca twego pędzonego testosteronem życia miała nad tobą tę najwyższą władzę, władzę uszczęśliwiania. Bogini, dziwka czy typiara – ona i tylko ona będzie

hań klimatycznych, którym populacja człowieka neandertalskiego mniej liczna niż naszego przodka, nie sprostала. Niech im będzie. Wszystko jedno.

Osobniki należą do jednego gatunku wówczas, gdy mogą się rozmnażać płodnie i w naturalnych warunkach. Jeśli chodzi o rozmnażanie, sprawa jest prosta. Słoń i wiewiórka nie mogą mieć dziecka, choćby oboje mieli na to ochotę i bardzo się starali. A płodnie? Kłacz i osioł jak najbardziej mogą dorobić się żrebaka, ale efekt ich związku, czyli muł, jest bezpłodny. Warto podkreślić też trzeci człon definicji: są zwierzęta, które mogłyby mieć potomstwo, ale nie w naturalnych warunkach, bo ich obyczaje godowe są tak różne, że prędzej by się pozabijały, niż doszłoby do zbliżenia. Dotyczy to zwłaszcza kotowatych, ale chyba także dwóch gatunków współczesnych ludzi, o których piszę.

Czy można wyobrazić sobie pożycie liberała z konserwatystką lub przeciwnie – konserwatysty z liberałką? Tu mogłoby dojść do podobnej sytuacji jak u kotowatych: prędzej by się pozabijały, niż dochowali potomstwa.

Przyjrzyjmy się takiej parze: jedno chce pojechać na urlop z pielgrzymką do Lourdes. Drugie myśli raczej o Las Vegas. Jedno z pary wysła potomstwo do kościoła, aby tam chłonoł ideały, drugie prowadzi na paradę równości, mając na uwadze podobny cel. W efekcie liberałowie kojarzą się z liberałkami, a konserwatyści z konserwatystkami. Z tych związków rodzą się dzieci jeszcze mocniej związane ze światopoglądem, czy – w myśl mojej teorii – z gatunkiem swoich rodziców.

Jak Wolny z Wolną

Czy kojarzenie między gatunkami jest czasem możliwe? Owszem, tak. Gdyby tego nie było, Europejczycy nie mieliby ok. 4 proc. genów neandertalczyka. Marynarze Cooka zostawiali swoje geny na dziewiczych oceanicznych wyspach, choć tamtejsze mieszkanki fizycznie zapewne bardzo odbiegały od europejskich wzorców urody. Ale czegoż się nie robi po miesiącach seksualnej abstynencji.

Dam też konkretny przykład i z góry przeproszam, że będzie po nazwiskach, ale to nieuniknio-

panią twojego losu. Przeklęta czy ubóstwiona, wzgardzona albo ułmowana – wedle niej orientować się będzie całe twoje samczykowe, samczytowskie, heteroseksualne życie. Takie jest prawo i taka jest dola ludzkiego trutnia. Ba, i bogów dola taka. Bo któryż z nich nie schodzi na ziemię, by mieć dziecko z kobietą?

Pójdź więc, chłopcze z Saskiego Ogrodu, i rób swoją typiarę! Zanim ona zrobi ciebie – na szaro. Całe życie przed tobą i wiele pracy nad typiarami, pracy kierowanej upartą, gadzią żądzą jej uległości i jej łaskawości. Niech ci więc typiary łaskawymi i uległymi będą, skoro tylko na takie cię stać marzenia. Niech cię przyjmują, niech ci mierzwią włosy i rodzą ci dzieci. A ty pożądam, kochaj i pracuj. Znoś łupy do domowego ogniska i odbieraj nagrody. A gdy już płomień żądz do końca się wypali, złóż siwy łeb na łonie starej typiary i zdrzemnij się snem dziada sprawiedliwego, który spłacił już naturze cały swój dług, a za swe niekończące się nigdy starania odebrał całą zapłatę w ulotnych kobiecych łaskach. Może choć twe wnuki wyrwą się z zakłętego kręgu?

Szczęśliwie od tego dnia nie będziesz już robił typiar ani dzieci. Będziesz wolny u boku kogoś, kto też będzie wolny i zdecydowany dożyć swych dni z tobą. Bo tak wyszło. Odtąd twoją typiarą będzie już tylko śmierć. Ale tej nie zrobisz. Za to ona zrobi ciebie. Obyś się tylko okazał wobec niej uległy i łaskawy. Bo widzisz, chłopcze, żadna kochanka nie da ci tyle i tyle od ciebie nie zażąda w zamian, jak właśnie ona. Da ci ukojenie pełne i weźmie cię całego i ze wszystkim. Ale póki co, żyć, nie umierać!

JAN HARTMAN



RYS. JARO

ne. Dziennikarka TVN Agata Wolna, dzieląca – co zrozumiałe – liberalne poglądy stacji, która ją zatrudnia, ma za męża Tomasza, niedawnego (za czasów PiS) gwiazdora TVP, dość nachalnie prezentującego myśli zrodzone przy ul. Nowogrodzkiej. Para ma się dobrze, chowa trójkę pociech. Niedawno przeżyła niezapomnianą przygodę, udała się mianowicie w podróż dookoła świata i pochwaliła się tym w sieci.

Czy statystyczny mężczyzna urodzony w rodzinie głoszącej na Donalda Tuska może jednak wyobrazić sobie noc poślubną z posłanką Joanną Lichocką? I czy byłoby z tego dzieci, czy tylko siniaki i guzy?

Przyzwyczajiliśmy się twierdzić, że ewolucja działa powoli. To nie zawsze prawda i nie trzeba przywoływać przykładu muszek owocówek, które ewoluują niemalże pod okularami mikroskopu badających je uczonych, czy wirusów, które sprawiają kłopoty producentom szczepionek, bo nim coś wymyślą i opatentują już trzeba kombinować nowy preparat.

Jakiś milion lat temu nowa odnoga rzeki Konga przedzieliła stado szympansov. Jedna część miała dzięki temu łatwy dostęp do pożywienia, nie musiała toczyć o nie krwawych wojen i zajęła się przyjemnościami, głównie doskonaleniem techniki seksualnych. Dziś mamy dwa zupełnie różne gatunki szympansov: agresywnego szympansa zwyczajnego i znacznie mniejszego bonobo, który realizuje słynne hasło hipisów „make love, not war”. W tym przypadku analogie z dwoma gatunkami ludzi, które nazwaliśmy liberałami i konserwatystami, są mniej ryzykowne niż w przypadku muszek owocówek.

Czy lis merda ogonem?

Do mojego wywodu bardzo pasuje eksperyment przeprowadzony w latach 50. minionego wieku w Nowosybirsku przez radzieckiego uczonego dr. Dmitrija Bielajewa. Z każdej populacji hodowanych lisów wybierał te, które zachowaniem najbardziej przypominały psy. Nie było to proste, bo lisy są z natury nieufne i agresywne.

Wystarczyło kilkanaście pokoleń, by liski Bielajewa witały go merdaniem ogonem. Z czasem w kolejnych krzyżowanych w ten sposób miotach nastąpiły wyraźne zmiany anatomiczne. Lisy stały się mniejsze, ich łapy krótsze, a ogony zakręcone, jak u psich kundli.

Po śmierci Bielajewa eksperyment kontynuowała dr Ludmiła Trut. W pewnym momencie wydawało się, że trzeba będzie go zakończyć, bo zabrakło funduszy. Najprościej byłoby ściągnąć skórę z hodowanych lisów, a z ich cennego futra uszyć czapki i kołnierze. Zdecydowano się na bardziej humanitarny krok. Spisane lisy wystawiono na sprzedaż. Chętnych do trzymania w domu rozkosznego pupilka o lisiej mordzie okazało się zaskakująco wielu i płacono za nie na tyle dużo, że nowosybirska placówka mogła nadal funkcjonować. Poważny krok ewolucyjny wśród lisów odbył się więc za mojego życia, bo w latach 50. minionego wieku, gdy zaczynał eksperyment, byłem już niestety na świecie.

Skoło wystarczyło stosunkowo niewiele pokoleń, by lisy Bielajewa fizycznie odróżniły się od swoich leśnych pobratymców, być może podobne zjawisko wystąpiło wśród ludzi.

Zwierzęta jednego gatunku doskonale porozumiewają się między sobą na różny sposób: dźwiękami, gestami, zapachami. Natomiast porozumienie między gatunkami jest niemożliwe. Pieśń godowa samca szpaka nie wprawi w podniecenie samicy sójki, choć ona niewątpliwie ją słyszy. Komunikacja między współistniejącymi dwoma gatunkami ludzi też nie jest możliwa, choć wzajemnie rozumieją poszczególne słowa. Podczas zakupów w sklepie spożywczym – a miało to miejsce przed wyborami parlamentarnymi – usłyszałem, jak jeden obywatel mówił do drugiego: „Jeśli wróci Tusk, to wróci niewolnictwo”. Czy mógłbym się z nim porozumieć?

Dobór naturalny apetytu

Posłuchajcie publicystycznych audycji w radiu lub telewizji, jeśli jeszcze wam się nie znudziły. Z góry będziecie wiedzieć, kto co powie, a zależeć to będzie oczywiście od gatunku, który reprezentuje. I z góry wiecie, że żadnego międzygatunkowego porozumienia nie będzie.

W jaki sposób dokonano wielkich odkryć przyrodniczych? Alfred Wallace nie był naukowcem. Podróżował po nowo odkrytych lądach i chwycił tam egzotyczne zwierzęta, by wypchane wysłać do modnych wówczas muzeów historii naturalnej. Naukowiec Karol Darwin podczas wyprawy dookoła świata na żaglowcu „Beagle” zwrócił uwagę, iż zięby na poszczególnych wyspach archipelagu Galapagos różnią się dziobami, przystosowanymi do znajdującego się akurat tam pożywienia. Obaj zebrali materiały spostrzeżenia i w roku 1858 wspólnie ogłosili przed gremium Towarzystwa Linneuszowskiego w Londynie teorię doboru naturalnego. Początkowo mówiło się zatem o teorii Wallace’a i Darwina. Później Wallace wypadł z tego duetu, ale to już inna historia.

Słynne dzieło Karola Darwina „O powstawaniu gatunków drogą doboru naturalnego” to jedna z najdonioślejszych rozpraw naukowych w historii. Nie będę się nad nią rozwodzić, bo wszyscy jej główne założenia poznają w szkole, oczywiście nie na lekcjach religii, bo tam dzieci są uczzone, że Bóg stworzył świat w sześć dni, a siódmego odpoczywał.

Nie tylko Wallace i Darwin widzieli to samo. Na różnorodność gatunków, ich rozkwit i wymieranie, zwracało uwagę wielu im współczesnych. Nikt przed nimi nie potrafił jednak zebrać tego w zgrabną teorię.

Nie chcę się porównywać do Darwina, do swojego odkrycia doszedłem przypadkowo. Choć już dość dawno minęły wszystkie wybory, jakie mieliśmy w politycznym kalendarzu, przed sklepem spożywczym, w którym robię zakupy, wisi nadal spory baner z wizerunkiem Małgorzaty Gosiewskiej. Po jakimś czasie zauważyłem, że za zakupy płacę jakby mniej niż dawniej i to mimo inflacji. Wówczas zrozumiałem, że oszczędzam właśnie za sprawą tego plakatu wyborczego. Po prostu widniejąca na nim twarz odbiera mi apetyt.

Stąd był już tylko krok do odkrycia, że należymy do dwóch różnych gatunków ludzi. Czy potomni nazwą to teorią Mittelstaedta?

WOJCIECH MITTELSTAEDT
wojciech.mittelstaedt@interia.pl

Wakacje z syfami

Fatalne pamiątki z urlopu

Krzysztof Bosak, poseł Konfederacji i wicemarszałek Sejmu, jakby mało mu było kompromitacji z tytułu pełnienia obydwu tych funkcji, strzelił kolejne *faux pas*. Krótko po zakończeniu uroczystości upamiętnienia ofiar Wołynia, w której brał udział, w swoich social mediach umieścił tajemniczą frazę „mmm free”. Po intensywnym dziennikarskim śledztwie udało mi się ustalić, że skrót ten to popularny w pornografii akronim oznaczający fikołki trzech mężczyzn z jedną kobietą. Jeden lubi pomarańcze, drugi – jak mu śmierdzą nogi, trzeciego kręci Wołyni... Trudno, co robić? Natury nie oszukasz, ale możesz odczytać jakie daje znaki. Grupa fascynacja cielesnością zainspirowała mnie do pewnej refleksji. Jako że mamy sezon urlopowy, w którym – jak pokazał poseł Bosak – łatwo poluzować gumę nie tylko wirtualnie, postanowiłam zrobić krótki przewodnik po nietypowych objawach chorób wenerycznych. Na wszelki wypadek oczywiście.

Komu loda?

Pieczę przy sikaniu, cewka ropieje? To jeszcze nic. Okres inkubacji, czyli czas między zarażeniem się bakterią dwinki rzeżączki do momentu wystąpienia pierwszych objawów jest dość długi. Wynosi 1–14 dni. U mężczyzn zazwyczaj trwa od 2 do 5 dni. W przypadku kobiet, jeśli infekcja przebiega objawowo, zwykle daje o sobie znać po około 10 dniach. Krótko mówiąc, w trakcie stosunkowo udanych wakacji można niechcący narobić niezłego bigosu. Wirtuozeria zarazy jest ściśle powiązana z pomysłowością seksualną nosiciela. Nietypowy ból gardła po oralnej imprezie bez towarzystwa gorączki z obustronnie powiększonymi, zaczerwienionymi migdałkami i ropną wydzieliną, powinien skłonić delikwenta do wizyty u lekarza. Brzmi syfiasto? Spokojnie, to dopiero preludium, zdarzają się nawet przypadki okulistyczne czy sepsa rzeżączkowa. Stara, pocziwa rzeżączka miewa różne (he he) twarze. A tak się śmiano w pandemii z масечек i przyłbic...

Jej wysokość

Owzrodenia odbytu i narządów płciowych, błony śluzowej języka, osutka płamista i osutka nawrotowa, śródmiaższowe zapalenie wątroby, nefropatia, zakażenie układu nerwowego... Aj, bogactwo konsekwencji zakażenia pewnym sympatycznym krętkiem nie zna granic. Dobrze zatem mieć się na baczności, bo niektóre z objawów łatwo przeoczyć. Umówmy się, że każdemu czasem wyskoczy jakiś pypec na gębie. Pozarło się niezdrowego jadła, popiło procentowo ubogaconych trunków, a to poruchało... W ostatnim przypadku warto jednak takie parchy obserwować. Płaskowyniosłe zmiany (tak to się ładnie i fachowo nazywa) dajmy na to przy kąciku ust, mogą być objawem królowej genitalnych uciech – kiły, brzydko zwanej syfilisem. Kłykciny płaskie nie rozwijają się w miejscu wnikięcia mikroba do organizmu, to późniejszy etap choroby. Co istotne, wilgotna wydzielina je pokrywająca zawiera bakterie i uchołdzi za wysoce zakaźną. Jak podają rozmaite źródła, chorobę do Polski przywlokła w 1495 r. kobieta znana jako Wojcie-

chowa, małżonka niejakiego Wojciecha Białego z Krakowa, która powróciła zakażona z odpustu w Rzymie, dziwka jedna. Historycy przypuszczają, że na kiłę zmarli królowie Polski: Jan I Olbracht i Aleksander Jagiellończyk oraz ich brat, prymas Polski i kardynał Fryderyk Jagiellończyk. Wszędzie tylko ruja i próbstwo... W każdym razie żaden wstyd, współcześnie skutecznie leczyć nie tylko można, ale i należy. Do boju!

Ślodziak

Trichomonas vaginalis, uroczy maluszek, który wiele potrafi. Rzęsistkowica to zakażenie rzęsistkiem pochwowym, które często przebiega bezobjawowo, ale jak już pojawiają się symptomy, ich asortyment jest solidny jak wyrok za posiadanie dragów. U kobiet może powodować pieniste żółtozielone upławy o dalekim od przyjemnego zapachu oraz ból w okolicy cewki moczowej. Rzęsistkowica bywa przyczyną przewlekłego zapalenia narządów rodnych, co zwiększa ryzyko niepłodności u kobiet (choćby tyle dobrego). U mężczyzn zakażenie wywołuje tylko zapalenie cewki moczowej. Trichomonas vaginalis zwykle spodziewamy się w drogach moczowo-płciowych, ale niefortunnie zawleczony w nieodpowiednie miejsce rzęsistek wywoła równie mało sympatyczny bajzel np. w spojówkach. Taki to sprytny patogen.

Ty mendo!

Niech pierwszy rzuci kamieniem, kto choć raz nie nazwał kogoś gnidą – obyście ich sami nie mieli! Wszy, zwierzątka zwykle kojarzone z etapem wczesnej edukacji szkolnej, mają swój mniejszy i bardziej upierdliwy odpowiednik – wesz tonowaty Pediculus pubis. Stawonogi te żywią się ludzką krwią, ale nie należą do gatunku, który przenosi poważne zakaźne choroby bakteryjne i wirusowe. Do zakażenia dochodzi najczęściej podczas łóżkowych zapasów, ale używanie wspólnych ręczników czy spanie w tej samej pościeli również może mieć przykre konsekwencje, jeśli ktoś hoduje zwierzątki na kroczu. Zabawną ciekawostką jest fakt, iż małe menty poza obszarami strategicznymi chętnie adaptują się w brodach, rzęsach i brwiach, a nawet pachach. Kłucie, świąd i brunatne paprochy mogą być objawem niechcianych lokatorów. Lekarze widzieli gorsze rzeczy, zatem nie warto szczypać się samotnie po przysłowiowej pipie, tylko pokazać problem specjalście.

Z roku na rok liczba przypadków chorób wenerycznych w Polsce rośnie. W 2023 r. zanotowano blisko 3 tys. szczególnie z kiłą, a przypadków rzeżączki wykryto przeszło 1370 – dwukrotnie więcej niż w 2022 r., gdy zachorowań było 601. Wszystko to czubek góry syfowej, bo choroby przenoszone w trakcie figli wciąż są w kraju nad Wisłą tematem tabu i nie każdy trafia pod opiekę medyków.

Kochajcie się, łączcie w pary, a nawet czworokąty, ale bawcie się z głową, szczególnie jeśli trzymacie ją między cudzymi udami.

ITALIA DUBICKA

Każdy rodzaj wypoczynku może być przyczyną wielu groźnych chorób

Wakacje jeszcze trwają, a i długi weekend przed nami. Pogoda na razie zapowiada się znakomicie. Wiadomo zaś, że jak jest ciepło i nie pada, to trzeba wypoczywać. Namawiają do tego wszystkie telewizje, radia, portale i gazety. Na miejsce kanikuły trzeba się jednak najpierw dostać. Już to wiąże się ze sporym ryzykiem. Głównie dlatego, że reklamowany zewsząd wypoczynek powinien być aktywny. Znacząco trzeba albo chodzić pieszo, albo co najwyżej przemieszczać się rowerem.

Ruch to zdrowie

Tymczasem poruszanie się na nogach to niemal samobójstwo. W 2023 r. odnotowano 4943 wypadki z udziałem osób pieszych, czyli prawie co czwarty. Zginęło w nich 457 pieszych. Co najmniej na pogotowiu wylądowało zaś 4609 miłośników przemieszczania się *per pedes*.

Upał do chodzenia nie zachęca. Po jakimś czasie skóra na twarzy wędrowca staje się czerwona, albo blednie. Człowiek obficie się poci, zaczyna mieć dreszcze i nudności. Jego chód staje się chwiejny, a mowa niewyraźna i bełkotliwa. Przed oczami widzi mroczki. Po czym pada bez przytomności. Jak to przy udarze słonecznym.

Bezpieczniej zatem wędrować, gdy na niebie są chmury. Tyle, że z małej chmury może zrobić się duża i w dodatku granatowa, by chwilę później przerodzić się w zjawisko burzy z piorunami.

Bliski kontakt z gromem zalicza rocznie kilkadziesiąt osób. Większej części udaje się to nawet przeżyć. A jest to prze-

życie niezapomniane, acz krótkotrwałe. Widać błysk, a potem czuje się ułtucie. Mocne ułtucie. Następuje zatrzymanie akcji serca i oddychania. Na ciele pojawiają się zwęglenia i oparzenia, czasem bardzo głębokie. A nade wszystko „figury piorunowe”, czyli przebarwienia pokazujące przebieg drogi pioruna przez ciało osoby, w którą trafił.

Wędrować można stadnie. Najpopularniejszą formą stadnego pieszego przemieszczania się są pielgrzymki. Co prawda znawcy sekt ostrzegają, że to właśnie na nich można zostać zwerbowanym, ale co to w sumie za różnica, czy idzie się z jednym natchnionym religijnie, czy z innymi.

Pielgrzymowanie nie-sie z sobą niebezpieczeństwo zdercia stóp lub gardła oraz odzwyczajenia się od higieny osobistej. No i nie zapomnijmy o chorobach przenoszonych drogą płciową.

Wskoczenie na siodełko nie dość, że pozwala przemieszczać się szybciej, to od chodzenia jest bezpieczniejsze. W zeszłym roku zaistniało 3596 wypadków z udziałem cyklistów. Zginęło ich 154, a 3264 zostało rannych. Najgorzej jednak jest wyjechać rowerem z miasta. Jak podaje policja „poza obszarem zabudowanym wypadki rowerzystów cechowały się wysoką ofiaro- rochłonnością, w 444 wypadkach zginęło 71 osób – w co szóstym wypadku była ofiara śmiertelna”.

Łąki kwieciami umajone

Jeśli jednak uda nam się dotrzeć na zieloną trawkę, to wcale bezpieczniejsze tam nie będzie. Kleszcze tylko czekają by wstrzyknąć nam pierwotniaki z rodzaju Babesia. Powodują one wysoką gorączkę, dreszcze, bóle głowy, bóle mięśniowe, nudności, wymioty. Jeśli ktoś ma pecha, to czeka go nawet niewydolność nerek i obrzęk płuc.

Kleszcze, którym braknie pierwotniaków, mają w zanadrzu wirusy kleszczowe-



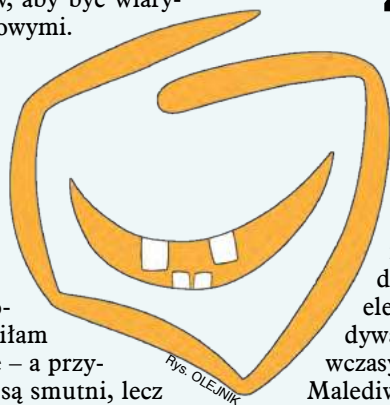
RYŚ. GRZEGORZ SOBIECH

Po jesiennym zwycięstwie uśmiechniętej Polski, reprezentowanej przez polityków szczerzących niepokojąco białe zęby, panuje urzędowa radość. Mamy się cieszyć, jakby powiedział mój nieświeży pamięci dziadek, jakby ktoś nam nasrał do kieszeni.

W jakimś sensie protoplastami uśmiechniętego kraju byli pisowcy szefowie Orlenu, wydający grubą forszę – publiczną, choć do biednych nie należeli – na wyrafinowane usługi stomatologiczne. Tłumaczyli, że osoby kierujące państwowym de facto koncernem muszą mieć uśmiech hollywoodzkich gwiazdorów, aby być wiarygodnymi partnerami biznesowymi.

Gęby ponure

Jak chodzę po ulicach, to jednak wciąż widzę te same, co za ośmioletniej nocy kaczyzmu, ponure gęby, na których uśmiech gości równie często, co Iga Świątek w darmowej jadłodajni. Tak się zastanowiłam i uznałam, że może nie tyle – a przynajmniej nie tylko – nadal są smutni, lecz wstydzą się pokazać swój stan uzębienia. Brak górnej dwójki, zęby żółte czy przeżarte próchnicą, mogą skutecznie tłumić uśmiech nawet u osoby, która jest najradośniejsza.



RYŚ. OLEJNIK

Polska uśmiechnięta kontra Polska szczerbata

Zapaść publicznej stomatologii

Aby to zbadać, niczym dentysta w usta pacjentów zajrzałam do paszczy rodzimej stomatologii.

Z jednej strony, prywatni dentyści spoglądają w przyszłość z radosnym uśmiechem, bo rynek usług stomatologicznych rośnie jak na drożdżach. I ich jedyne troski to dylematy, czy kupić elektryczne bmw czy teslę, a także dywagacje, czy fajniej będzie spędzić czas na Bali czy jednak znowu na Malediwach. Z drugiej strony, tylko jedna trzecia stomatologów ma podpisaną umowę z NFZ i ich liczba wciąż spada.

Niektórzy pacjenci muszą jechać nawet 100 km, aby skorzystać z bezpłatnej opieki dentystycznej.

A sytuacja się pogarsza i wszelkie (chyba bardziej pozorowane niż poważne) próby resortu zdrowia, aby cokolwiek zrobić w tej sprawie, przypominają one słynną frazę ze „Skapca” Moliera, w której tytułowy bohater zalecał biednym, aby robili pyszniętkę potrawy za małe pieniądze. Bez dosypania dużej kasy do publicznej stomatologii nic się nie zmieni, chyba, że na gorsze.

Żeby nie było, że w kraju biało-czerwonego serduszka jestem malkontentką, zacznę od szklanki do połowy pełnej – doskonałej kondycji prywatnej stomatologii.

Dentysta śpi, a próchnica rośnie

O rolnikach mówiono, że chłop śpi, a mu w polu rośnie. Stomatolog w Polsce, gdy kła-

dzie się wieczorem, odczuwa radość, bo wie, że jak wstanie, będzie potrzebny jeszcze większej liczbie pacjentów, niż było to wczoraj. I skazuje ich wedle jeszcze bardziej wygórowanych stawek. Uświadomiłam to sobie boleśnie, gdy mój mąż chciał zrobić sobie zęby, aby jakoś wyglądać. Skończyło się na wzięciu 50 tys. zł pożyczki: ledwo starczyło na implanty. Mąż będzie pamiętał te zabiegi przynajmniej przez te sześć lat, gdy będzie spłacał zaciągniętą pożyczkę. Anegdotalne świadectwo potwierdza ją twarde dane.

Firma PMR w opublikowanym w marcu bieżącego roku raporcie „Rynek usług stomatologicznych w Polsce 2024” oszacowała, że rynek ów w latach 2024–2029 będzie rósł średnio o 9 proc. rocznie.

Zęby to sprawa klasowa; osiem na dziesięć osób korzystających z usług dentysty w Polsce wierzy, że zdrowe i ładne zęby wpływają na fizyczną atrakcyjność i zarazem ułatwiają kontakty społeczne.

Prawie połowa ankietowanych uznała, że wygląd zębów świadczy o zamożności.

W raporcie czytamy: „Wyniki badania PMR z lutego 2024 r. wykazały, że w ubiegłym roku z usług stomatologicznych nie skorzystało 44 proc. Polaków. Kobiety korzystają z usług stomatologicznych częściej niż mężczyźni – jest to tendencja widoczna w niemal wszystkich dziedzinach opieki zdrowotnej. Świadomość

A rzucić by to wszystko...

go zapalenia mózgu. A te przypawiają o takie doznania jak 40-stopniowa gorączka, rzyganie dalej niż się widzi oraz ból stawów i mięśni. Gdy to minie, zostaje niewielki paraliż, trwałe uszkodzenie słuchu, albo drobne zaburzenie psychiczne.

Łażenie po łące to pewny atak owada błonkoskrzydłego. Najgorsze jest użądlenie przez pszczołę. Wprowadza do organizmu 50–140 mikrogramów jadu. Trzmiel – ledwie 30–31, osa – 1,7–3,1, a oskarżany o największą jadowitość szerszeń – 3–10 mikrogramów. Poza tym pszczoły wykazują owczy pęd. Jak jakaś zaatakują, to wszystkie okoliczne pszczoły pójdą jej śladem.

Użądlenie kończy się obrzękiem, bólem lub opuchlizną. No chyba, że podobnie jak 10 proc. ludzi jest się uczulonym. Wtedy dochodzi do wstrząsu anafilaktycznego, czyli trudności z oddychaniem, zawrotami głowy oraz drgawkami. Nie można jednak wpadać w panikę. W Polsce z powodu użądleń umiera ledwie kilkadziesiąt osób rocznie.

Ugryźć mogą także pająki. Na szczęście nie są to ukąszenia niebezpieczne, ale bolesne i przyjemne jedynie dla masochistów.

Łąka grozi jeszcze spotkaniem żmii zygzakowatej. Po iniekcji żmii, jeśli na czas nie zaaplikuje się osobie ukąszonej antydota, to zamiast wypoczynkowych karesów, kilka dni przyjdzie rodzinie delikwenta spędzić na biurowej mordędze związanej z pochówkiem.

Rosliny też dają popalić. Kontakt skóry z włoskami klująco-parzącymi pokrzywy powoduje dermatozę. Toksyczne zapalenie skóry przejawiające się swędzeniem i bólem oraz białymi grudkami i krostami o nieregularnym kształcie i zaczerwienionych obrzeżach. Osty jedynie klują. Natomiast wybitnie niezdrowo jest w czasie upału zahaczyć o barszcz Sosnowskiego. Oparzenie drugiego, a nawet trzeciego stopnia ma się jak w banku. Barszcz ma bowiem na włoskach furanokumaryny, które oprócz parzenia skóry mają jeszcze właściwości rakotwórcze i takie, które powodują powstawanie wad płodu.

Może nad morze?

Najpierw kilkadziesiąt minut korka na wyjeździe z własnego miasta i kolejne przed dojazdem do morskiego kurortu. Potem szansa, że adres, pod którym znajduje się zaliczkowany tyśiąc złotych pokój, istnieje nie tylko w internecie. Jeśli wszystko się uda, można rozpocząć przygodę z Bałtykiem.

Słońce wnika w skórę, uszkadzając włókna kolagenowe i elastynę, osłabia

układ immunologiczny i zmienia DNA skóry. Pojawiają się przebarwienia i zmarszczki. A po jakimś czasie złośliwy nowotwór o nazwie czerniak, rak kolczystokomórkowy lub chłoniak.

Zakopanie się w piasku nic nie da. Na 10 cm kw. bałtyckiej plaży żyje średnio tysiąc organizmów wielokomórkowych: robaków, skorupiaków, małży i ich larw, ślimaków, wieloszczetów, skąposzczetów, roztoczy, larw owadów i innych grup bezkręgowców. A oprócz tego enterowirusy, bakterie gronkowca złocistego, grzyby i pierwotniaki pasożytnicze. To jednak jeszcze nic. Sanepidowi udawało się znaleźć też jaja glisty psiej, kocięj, ludzkiej i włosogłówki.

Do morza aż strach wchodzić. I nawet nie chodzi o to, że można się utopić. Woda w Bałtyku ma temperaturę ściskającą krocze, więc pływanie w nim to domena morsów. Polacy toną więc głównie w wodach śródlądowych. Co roku mokry zgon zalicza ponad 400 osób.

Nasze morze jest szkodliwe nie tylko z powodu zimnej wody, ale choćby dlatego, że pływa w nim bakteria *E.coli*. A zakażenie nią prowadzi do biegunkę przypominających cholerę lub czerwone, krwotoczne zapalenia jelit, zespołu mocznicowo-hemolitycznego i zakrzepicy. Niektóre szczepy mogą powodować zapalenia otrzewnej i sepsy.

Wodę bałtycką ulubili sobie także enterokoki, czyli paciorkowce kałowe. Przygoda z nimi to zapalenie prostaty, wsierdzia albo opon mózgowo-rdzeniowych.

Tereny lesisto-jeziorne

Mazury to niemal jak nad Bałtykiem – piasek i woda. Ale ta mazurska oprócz *E.coli* i enterokoków ma coś więcej. Tym czymś jest salmonella. Bakteria znana i nie lubiana z tego choćby powodu, że wywołuje dur brzuszny, sepsę i defekację krwią.

Mazurskie wody stojące to oaza sinic. Te z kolei wydzielają toksyny powodujące wysypki, gorączkę, biegunkę, zapalenie płuc, a przy okazji uszkadzają wątrobę i układ nerwowy. W małych akwenach grasują również rzęsistek pochwoy. Pierwotniak, który – jak sama nazwa wskazuje – atakuje kobiece narządy płciowe. Wielkich spustoszeń w organizmie nie robi, ale potrafi skutecznie zdyskomfortować seks poprzez pieczenie i mało interesujący zapach upławów.

Skoło Mazury, to i las. Czyli trujące grzyby, wściekle dzikie zwierzęta oraz jak zwykle kleszcze. Tym razem z ofertą boreliozy. Choroba rozwija się długo, a kończy zapaleniem stawów, mięśnia sercowego, a skórę pokrywają



różnokolorowe rumienie. Na płatku ucha, brodawce sutka, a co gorsza na mosznie wyrośnie niebiesko-czerwony guzek lub blaszka. To coś ma nazwę ziarniak chłonny i wcale nie jest ostatnim stadium choroby. Po nim na rękach i nogach pojawia się ciastowaty obrzęk, z postępującym zanikiem skóry.

Przy łucie szczęścia kleszcz zaraża tylko tularemią. Węzły chłonne urosną do wielkości kurzego jajka. Chyba, że choroba przyjmie tylko postać dużego bolesnego wrzodu na skórze, zapalenia spojówek, zapalenia płuc albo szraczki z elementami duru brzuszego.

Prawdziwi szczęściarze załapią od kleszcza ludzką anaplazomę granulocytarną z niewielką gorączką, drobną wysypką, nudnościami i kaszlem.

Zbieranie poziomek, jagód czy borówek może przyprawić o bąblownicę. Nabywa się ją poprzez zjedzenie razem z owocem leśnym jaja tasienka wiciogłowego. Tego, że jajo wzięło się na jagodzie lub poziomce z kupy zarażonej sarny, tłumaczyć nie trzeba. Gdy jajo trafi do jelit, wyklują się larwa, przegryza przez jelito i trafia do krwioobiegu. A z nim dociera, gdzie chce. Najczęściej osiada w wątrobie, rzadziej w płucach, mózgu, sercu, nerkach, śledzionie, gałce ocznej, kościach. Pęcherz bąblowca rośnie wol-

no, ale po kilku lub kilkunastu latach osiąga rozmiary od kilku do kilkudziesięciu centymetrów. Bąbel z robakami wielkości pomarańczy w mózgu daje do myślenia. Zwłaszcza że co roku przypadłość ta dopada w Polsce kilkadziesiąt osób.

Ostatnia wieczerza

Mięso, warzywa i wędliny skwierczą nad ogniem. W tym czasie z kapiącego na rozżarzone węgle tłuszczu są uwalniane rakotwórcze heterocykliczne aminy. Zaś w grillowanych potrawach wytwarza się groźny dla zdrowia akryloamid. W pobliżu grilla stężenie dioksyn siedmiokrotnie przekracza normy dopuszczalne dla pieców do spalania odpadków. Dioksyny powodują osteoporozę, zaburzają pamięć, obniżają poziom testosteronu i estradiolu, hamują owulację i spowalniają ruchliwość plemników. Ale przede wszystkim wywołują raka.

Gdy grill się dymi, a zapas piwa kurczy, wokół zaczyna się roić od meszek i komarów. Samice meszek do rozwoju jaj potrzebują krwi. Owad wpuszcza do ciała ofiary ślinę, która powoduje w organizmie reakcję podobną do alergicznej. Ukąszenia powodują złe samopoczucie, bóle głowy i dolegliwości sercowe. Skoro 20 tys. ukąszeń jest w stanie zabić krowę, to

ile trzeba by uśmiercić grillującego człowieka?

Gronkowiec złocisty upodobał sobie ciasta, lody, kremy i mleczno-owocowe galaretki. Nie gardzi też pasztetami, sosami, sałatkami z jaj, kanapkami, wędliną, a nawet hot dogami. Daje o sobie znać już po dwóch godzinach skrętem kiszek. Potem na przemian biegunka i wymioty. I tak przez 1–2 dni.

Salmonella spotykana w knajpach i cukierniach, a także na weselach i stołówkach kolonijnych, to ta sama salmonella, co w wodzie. Tyle że serwowana przez mistrzów kuchni dociera do większej liczby odbiorców.

W wędlinie, przetworach mięsnych, zapiekankach, pasztecikach lub gulaszu można napotkać jad kiełbasiany. Zatrucie objawia się po dobie. Najpierw bóle głowy, zawroty, suchość w ustach, opadanie powiek, potem widzi się jak przez mgłę lub podwójnie, po chwili dochodzą zaburzenia mowy. W końcu pojawiają się trudności z przełykaniem i oddychaniem. Gdy oddychanie stanie się niemożliwe, następuje zgon.

Z górki na kanapę

Krupówki, oprócz psychozy wywołanej miejscowymi cenami, nie różnią się od Piotrkowskiej, czy Marszałkowskiej. Dzięki temu, w czasie dwutygodniowego pobytu pod Tatrami można ani razu nie być narażonym na kontakt z przyrodą ożywioną.

To może nie w Tatry, ale w Beskidy, Bieszczady lub Sudety. Czyli do lasu ze wszystkimi tego konsekwencjami. Z jedną drobną korektą – brodzenie w górskich strumykach nie jest tak ryzykowne jak w innych akwenach. Wartki nurt i niska temperatura działają hamująco na rozwój bakterii. Trzeba tylko uważać na ostre kamienie, które mogą poranić stopy.

Osoby, które nie chcą skończyć w szpitalu, kostnicy lub jedynie na pogotowiu, mają jednak szansę spędzić wakacje życia. W tym celu muszą jedynie nie słuchać mediów i

pozbyć się dziecka oraz współmałżonka na kilka tygodni. A potem do woli porastać na kanapie w cholesterol, wolne rodniki i tkankę tłuszczową, nabawiając się takich przyjemności jak zawał, wylew, marskość wątroby, albo nowotwór.

TOMASZ BOROWIECKI

zdrowotna, a co za tym idzie, większy odsetek korzystających z usług stomatologicznych znacząca się w grupie osób w szczycie wieku produkcyjnego (35–54 lat) oraz wśród tych z wyższym wykształceniem, co może korelować też z wyższymi zarobkami”.

Idź do Wróżki Zębuszki

Kiedy wypadają bachorom zęby mleczne, rodzice wkładają im – ta moda przyszła z USA – jakąś dyszkę czy dwie pod poduszkę, jako prezent od Wróżki Zębuszki. Wydaje się, że wielu dorosłych zgarnęłoby niezłą forszę, gdyby Wróżka Zębuszka kładła im banknot za każdym razem, kiedy wypadła im żąb.

Ponieważ problem nabrzmiewa, miłośniczowie panująca nam koalicja spod znaku serduszka zaczęła działać. Na ulicach miast i miasteczek pojawiły się parę miesięcy temu tzw. dentobusy, mobilne gabinety stomatologiczne, które miały zająć się zębami małych. Podczas wizyty w dentobusie – czytamy na oficjalnej stronie rządowej – stomatolog „oceni stan zdrowia jamy ustnej, ustali plan leczenia, zapewni leczenie, udzieli informacji w zakresie indywidualnej profilaktyki próchnicy”.

Wredni dziennikarze z Tok FM niedawno zapytali ministrę zdrowia Izabelę Leszczynę o jeden ze stu konkretnych Koalicji Obywatelskiej, czyli bon stomatologiczny dla dzieci i mło-

dzieży poniżej 18. roku życia. Szefowa resortu kluczyła, zajmując się głównie biadoleniem, że pracuje nad stomatologią, bo „ona jest bardzo trudna, dwie trzecie stomatologów w ogóle nie ma kontraktu z NFZ i nie chce go mieć, po prostu nie chce”. Leszczyna zaznaczyła, że opłaca się studentom bardzo drogie studia medyczne z budżetu państwa, a potem oni „mają prawo iść do prywatnego systemu” i „najczęściej właśnie prywatny sektor wybierają”.

A teraz mały eksperyment myślowy. Wyobraźmy sobie, że minister obrony Władysław Kosiniak-Kamysz skarży się, że koncerny zbrojeniowe nie chcą mieć kontraktów z MON-em, „po prostu nie chcą”. Ministra Leszczyna, uchodząca trafnie za jedną z nieprzesadnie kompetentnych na swoim stołku, nie wpadła na pomysł, jakże sprawdzający się w obronności: zaoferować lepsze pieniądze kontrahentom.

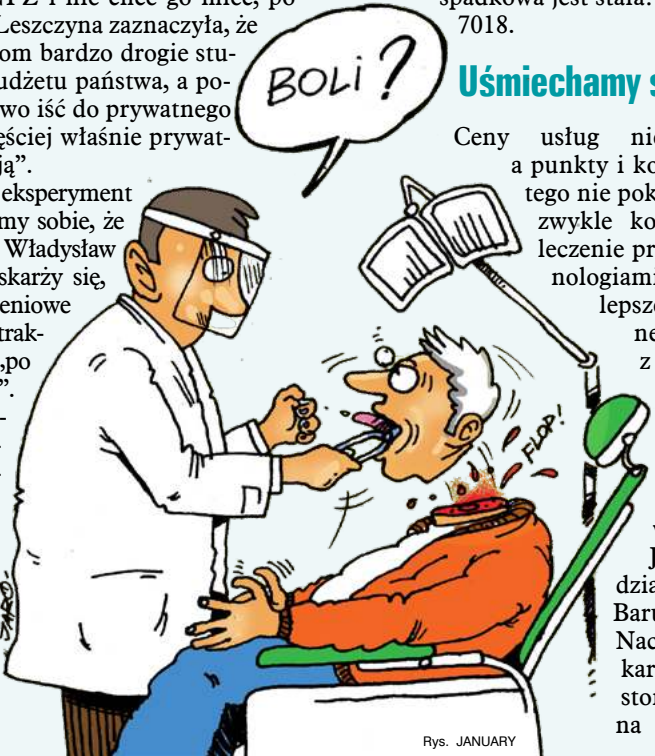
Na koniec pierwszego kwartału 2024 r. liczba stomatologicznych świadczeniodawców na NFZ wynosiła – wedle oficjalnych danych – 5239. Czyli w ciągu roku ubyło 130. Tendencja spadkowa jest stała: w 2019 r. było ich 7018.

Uśmiechamy się prywatnie

Ceny usług nieustannie rosną, a punkty i kontrakty publiczne tego nie pokrywają. Co gorsza, zwykłe kontrakty obejmują leczenie przestarzałymi technologiami. A dopłacić do lepszej usługi w gabinetach z umowami z NFZ nie można.

W zgodnej opinii specjalistów, zakres refundowanego leczenia jest daleko niewystarczający.

Jak sucho powiedział mediom Paweł Barucha, wiceprezes Naczelnej Rady Lekarskiej: „Niestety, stomatologia publiczna powolutku prze-



staje istnieć. Finansowanie, które w tej chwili jest przekazywane z NFZ, to jest nieco ponad 2 proc. ogólnego budżetu. To absolutnie nie wystarcza”. Barucha odnotowuje, że nakłady na publiczną stomatologię rosną, ale dużo wolniej niż koszty: „Przekazywane środki nie tylko nie pozwalają na rozwój, ale też coraz częściej nie starczą na zwykłe przetrwanie”.

Wedle zeszłorocznego sondażu, dwie na pięć osób w Polsce leczy zęby wyłącznie prywatnie, tylko na NFZ mniej niż jedna piąta, nieco więcej niż jedna piąta łączy zabiegi finansowane z prywatnej kieszeni z tymi oferowanymi przez państwo. Wiele osób nawet nie wie, że cokolwiek im przysługuje w ramach opłacanej składki zdrowotnej. Ciekawostka: prawie wszyscy (dokładnie 98 proc.) Polacy w wieku 35–44 lat mają próchnicę.

Stan uzębienia to nie tylko kwestia estetyki i dobrego samopoczucia. W zaniedbanej paszczy – jak czytamy na stronie serwisu Infodent 24 – mogą zaczynać się choroby takie jak „cukrzyca, udar mózgu, zawał, zapalenie nerek, reumatoidalne zapalenie stawów; realnych zagrożeń jest znacznie więcej”.

Na naszych oczach rosną dwie Polski: bogata, o śnieżnobiałym uśmiechu, który kosztuje tyle, co auto średniej klasy, i biedna, szczerbata, wstydząca się katastrofalnego stanu swego uzębienia.

ZUZ

Historia świata to historia migracji

Strach przed migrantami ogarnia Polskę. Premier Tusk jest bliski polecenia, aby strzelać do usiłujących nielegalnie dostać się do Polski. Jarosław Kaczyński zapowiada zbiorę podpisów pod żądaniem referendum w sprawie wypowiedzenia paktu migracyjnego, dość umiarkowanego skądinąd. Agnieszka Wołk-Łaniewska niedawno bardzo słusznie potępiła na naszych łamach pomysł strzelania na granicy do bezbronných i domagających się od Polski jedynie azylu. Nawet na Dzikim Zachodzie za strzelanie do bezbronnego groziła szubienica. Nasza władza – ta dawniejsza i, niestety, obecna – podsyciła i politycznie wykorzystuje strach przed migrantami. A przecież mamy w genach doświadczenie wielkiej migracji, która przed kilkunastu wiekami stworzyła dzisiejszą Europę i zamknęła karty starożytności. Może warto je przypomnieć.

1

Wielka wędrówka ludów pod wieloma względami przypomina obecną sytuację. Zmiany klimatyczne i demograficzne wprowadziły w ruch milionowe masy i nic nie zdołało się tej nawale oprzeć. Trzeba było przemyslnie się do niej dostosować, aby wyjść na swoje.

Pod koniec ostatniego tysiąclecia przed naszą erą z przeludniającej się Skandynawii i Jutlandii spłynęły na południe w kilku falach plemiona germańskie, wypierając, a raczej podporządkowując sobie miejscową ludność celtycką w Europie na wschód od Renu aż po stepy czarnomorskie. Basen Morza Śródziemnego opanowało Imperium Rzymskie. Podbój Galii przez Juliusza Cezara, a nieco później też Wysp Brytyjskich, zakończył ten proces.

Cesarz zamierzał również podbić część opanowanej przez Germanów Europy między Renem a Łabą, ale nie zdążył. Początkowo próbował ten zamiar zrealizować Oktawian August, jednak bez powodzenia. Wyprawa 30-tysięcznej armii

(trzy doborowe legiony XVII, XVIII i XIX) została zwabiona w pułapkę w Lesie Teutoburskim (dzisiejsza Westfalia) przez germańskiego wodza Arminiusza (w historii niemieckiej Hermann der Cherusker) i wybita prawie do nogi. Sam Arminiusz, syn wodza Cherusków, w wieku pięciu lat został wysłany do Rzymu jako zakładnik, tam wychowywał się w rodzinie Oktawiana i zromanizował się pozornie całkowicie, służył w legionach i uzyskał rangę trybuna wojskowego (pułkownika), a cywilną pozycję – ekwity. Jako młody Rzymianin wrócił do swego plemienia i zorganizował potężny ruch obrony przed rzymską inwazją. Ta klęska skłoniła Oktawiana do poniesienia zamiaru podbicia Germanii i wycofania się za Ren, który aż do końca imperium pozostał rzeką graniczną strzeżoną przez 10 legionów, prawie połowę rzymskiej armii w czasie pokoju. Nastawiono się na współpracę zamiast wojny (Pax Romana). Z żalu i wstydu postanowiono też nie restytuować trzech zaginionych legionów – ich numery do końca istnienia Imperium Rzymskiego pozostały puste.

2

Przez kilka wieków Ren był raczej spokojną granicą. Germanie przenikali ją w pojedynkę i grupami, Rzymianie chętnie ich przyjmowali i akceptowali, często w służbie wojskowej. Ceniłi Germanów za waleczność i wierność. Cesarze rzymscy lubili otaczać się germańską strażą przyboczną. Wojskowi spiskowcy, którzy zamordowali Kaligulę, długo wyczekiwali momentu, kiedy pojawi się on bez germańskiej obstawy – dopiero wtedy trybun wojskowy Kasjusz Cherea dobył miecza i dokonał dzieła. Marzeniem germańskich wodzów plemiennych nie był podbój, lecz status sprzymierzeńca (foederati) Rzymu z prawem osiedlenia się w jego prowincji.

Sytuacja zmieniła się w IV w. n.e. Z głębi Azji wyłonił się liczny lud Hunów, konnych wojowników o cechach mongoloidalnych, cywilizacyjnie prymitywnych, lecz bitnych i okrutnych. W ich azjatyckich siedzibach susze pogorszyły warunki bytowania. Odbili się zatem od chińskiego Wielkiego Muru i ruszyli na zachód w poszukiwaniu łupu i lepszych siedzib. Niektóre zagony skierowały się ku Indiom i Persji, ale główne siły parły ku Europie, podbijając po drodze i włączając w swe szeregi różne koczownicze i rolnicze plemiona, również słowiańskie. W IV w. pojawili się między Wolgą i Dunajem, budząc panikę wśród osiadłych

Wędrująca

tam społeczności. Ostatecznie swój największy obóz założyli nad Cisą, dopływem Dunaju.

Uciekające przed Hunami germańskie plemiona, głównie Gotów, zwracały się do cesarza Rzymu Flawiusza Walensa o status sprzymierzeńców i prawo osiedlenia się na Bałkanach, deklarując wspólną obronę przed Hunami. Status ten otrzymał, ale po pewnym czasie, zniechęceni niedotrzymaniem przez cesarstwo umowy o dostarczaniu żywności, zbuntowali się. Cesarz zorganizował karną ekspedycję z kilku legionów i ruszył uśmierzać ten bunt. 9 sierpnia 378 r. pod Adrianopolem (obecnie Edirne w europejskiej części Turcji) doszło do bitwy. Goccy migranci rozgromili legiony, a w bitwie zginął sam cesarz Walens.

3

Granice imperium zostały dla Germanów otwarte; nielegalnie, ale na krótko. Następny cesarz Teodozjusz Wielki zawarł nowe i znacznie szersze porozumienie z Wizygotami

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Pomór z bożą pomocą

Pięć lat trwała terapia szokowa zaaplikowana Irlandczykom przez brytyjskich wolnorynkowców. Jej skutki Irlandczycy odczuwają do dzisiaj.

Polscy publicyści i politycy, zwłaszcza ci o „bambiarzowym” rozumku, cyklicznie przypominają o klęskach głodu. Wywołanych przez polityków obcych ich opcji. Najczęściej wspomniane są wielki głód na Ukrainie przypisany gensekowi Stalinowi i chiński masowy głód wywołany polityką przewodniczącego Mao. Nie wspominają zaś o irlandzkim wielkim głodzie. Choć zdziśiatkował on naród katolicki, europejski i polski.

Atak ortodoksów

Irlandia w roku 1845 była angielską kolonią. O rygorach i represjach znacznie gorszych od odczuwanych przez Polaków w zaborach rosyjskim, pruskim, austriackim.

Na wyspie żyło wtedy prawie 9 mln Irlandczyków. Większość stanowili katolicy robotnicy rolni i biedni dzierżawcy ziem należących do angielskich i irlandzkich właścicieli. Ci irlandzcy ziemianie byli brytyjskimi lojalistami i protestantami. Posiadane przez nich farmy produkowały mięso, mleko i masło na brytyjski rynek. I słynny cheddar. W Irlandii wyrabiany, ale ze względu na cenę rzadko konsumowany.

Ponad jedna trzecia ludności Zielonej Wyspy żywiła się jedynie uprawianymi dodatkowo na licznych małych poletkach ziemniakami. Jedzono je z dodatkiem mleka lub maślanki. Taki jadłospis dyktowały im ówczesne wolne rynki.

We wrześniu 1845 r. pojawiła się w Irlandii zaraza ziemniaczana. Sprawiała, że wykopane bulwy szybko gniły. Na wsi irlandzkiej pojawił się głód. Nic nowego, bo w poprzednich dekadach

bywały podobne zarazy, a ludność okresowo głodowała.

Wtedy działania podjął Robert Peel, brytyjski sekretarz do spraw administracyjnych w Irlandii. Jego urzędnicy rozdawali głodującym kukurydzę zakupioną w USA. Bez zgody brytyjskiego rządu.

Peel skasował też obowiązujące w irlandzkiej kolonii prawa zbożowe, co dało spadek cen chleba. W efekcie Irlandczycy nie dojadali, ale z głodu jeszcze nie umierali.

Ale nadmierna „charytatywność” sekretarza Peela wzbudziła ostry sprzeciw brytyjskiego rządu. Zastąpił go John Russell. Ortodoksyjni zwolennik leseferysty, czyli przekazywania wszystkich społecznych problemów w uścisk niewidzialnej ręki wolnego rynku.

Niestety, od jesieni 1846 r. zaraza znów zaczęła się rozpleniać. Wtedy już wszystkie wykopane ziemniaki szybko gniły. Podobnie było w latach następnych. Głodnych irlandzkich biedaków przybywało.

Początkowo brytyjskie gazety syciły się sensacyjnymi opisami irlandzkich obdartusów. Brudnych, zarośniętych, podobnych zwierzętom. Grzebiących w ziemi w poszukiwaniu czegokolwiek do zjedzenia. Biednych, zatem pogardzanych przez media preferujące rycerzy sukcesu na wolnym rynku.

Potem jednak przyszło angielskie współczucie. Gazety zapełniły się obrazami irlandzkich wsi pełnych żywych ludzkich szkieletów egzystujących pośród trupów.

Jesienią 1847 r. w Irlandii zaprzestano grzebać zwłoki. Palono je razem z domami. Czyniono tak ze względów estetycznych i higienicznych. Wy-

głodzeni, osłabieni robotnicy rolni i dzierżawcy podatni byli na szerzące się przy okazji głodu epidemie tyfusu, dyzenterii, skorbutu, żółtej febrы. I powszechnej puchliny głodowej.

Masowy głód niewiele przeszkadzał żyjącym obok sytym i bogatym. Życie toczyło się normalnym trybem. Podobnie bywa na sąsiadujących obszarach wolnych od walk podczas wojen, lokalnych powstań, czystek etnicznych.

Gospodarka brytyjska miała się wtedy dobrze, bo irlandzcy dzierżawcy jako ludzie pobożni, honorowi i pracowici, aż do swej śmierci starali się wywiązywać z zakontraktowanych dostaw zboża, mleka, mięsa.

Zaraza dosięgała jedynie ziemniaków i dziesiątkowała ich konsumentów. Na irlandzkich polach dalej rosła soczysta trawa, pasły się mleczne krowy i mięsne bukaty. Mleko ciągle przerabiano na markowe sery importowane przez sąsiednią wyspę. Chleba w Irlandii też w piekarniach nie brakowało. Tyle że irlandzkich ziemniakożerców nie było stać na takie rarytasy.

Dłatego sekretarz John Russell deklarował, w imieniu brytyjskiego rządu, że nie ma potrzeby dokarmiać wszystkich irlandzkich głodujących. Można jedynie przeciwdziałać nadmiernemu podnoszeniu cen żywności przez nieuczciwych spekulantów. Starac się obniżyć je jedynie tam, gdzie wolny rynek nie zadziała.

Wola Nieba

Wolny rynek tak działał, że w 1848 r. angielscy ziemianie gromko niepokoiłi rząd Jej Królewskiej Mości. Martwili się, bo ich robotnicy rolni i dzierżawcy masowo marli albo emigrowali do USA.

A to mogło zakłócić nieprzerwany ciąg dostaw zboża, mięsa, masła i sera na angielskie stoły.

Na to kanclerz skarbu Charles Wood uspokajał, że wszystko idzie w dobrym kierunku. Po prostu „klęska głodu zlikwiduje problem przeludnienia Irlandii”. I poufnie wyrażał radość, że taka sprawiedliwość dziejowa nie ubrudzi rąk rządu. Dłatego „nie powinniśmy się skrzyżować na to, co w gruncie rzeczy chcieliśmy uzyskać”.

Tu warto przypomnieć, że skolonizowani Irlandczycy nie chcieli bratać się z angielskimi na jeźdźcami. Pozostawali zatwardziałymi katolikami, notorycznymi buntownikami. Kulturowali swoją kulturę i ludowe zwyczaje. No i własny język gaelicki.

Dłatego problem irlandzkiego głodu został przez rząd w Londynie zmarginalizowany i oddany w ręce innego ortodoksyjnego leseferysty Edwarda Trevellyana, asystenta sekretarza skarbu Wooda.

Trevelyan uważał, że problem głodu najlepiej uregułuje wolny rynek. On przecież ustali realne, czyli sprawiedliwe ceny. Jako człowiek pobożny wierzył też, że głód jest wyrazem „boskiej sprawiedliwości”, której człowiek powinien się pokornie poddać.

Takim „lekarstwem wszechrozumnej Opatrzności”.

Pozostali brytyjscy politycy myśleli podobnie. Głód to słuszną karą losu dla Irlandczyków, którzy co rusz kásają przyjaźnię wyciągniętą rękę brytyjskiego imperium. Zatem po co buntowników dodatkowo karmić?

Nawet dla uważanego za światłego przyszłego premiera Benjamina Disraeliego Irlandczycy byli obcą rasą. To ludzie „niesforni, nieodpowiedzialni, leniwi, niepewni, przesądni”. Psujący wiznerunek dynamicznie rozwijającego się Imperium.

Kiedy rząd umył ręce, ziemianie – przerażeni kurczącymi się zasobami ich irlandzkich pracowników – wzięli sprawę w swoje. Nie udało się zastąpić Irlandczyków zniewolonými Afrykańczykami, bo niewidzialna ręka wolnego rynku kierowała ich na amerykańskie plantacje bawełny. Dłatego Ziemiańskie Towarzystwo Przyjaciół i Brytyjskie Stowarzyszenie Pomocy uruchomiły pomoc dla głodujących. Na wyspie pojawiają się garkuchnie serwujące pożywną zupę dla głodujących. Za darmo tym razem.

Ponieważ garkuchnie obsługiwali protestanci, a w kolejkach ślaniali się osłabieni z głodu katolicy, to pojawiła się dodatkowa motywacja do brytyjskiej dobroczynności. Zupa była serwowana za akt porzucenia ohydneho papizmu. Wyrzeczeni się Rzymu, katolicyzmu. Przejścia na protestantyzm.

Ponieważ ówczesny Rzym nie palił się do wsparcia swych głodujących irlandzkich katolickich braci, to niektórzy z nich przechodzili na protestantyzm. Religie irlandzkich kolaborantów. Za co zostali pogardliwie nazwani „zuperystami”.

Jednak w 1848 r. rozmiary głodu były już tak wielkie, że spróbowano niekonwencjonalnych środków, niezgodnych z wyznawanymi wtedy dogmatami ekonomii leseferysty.

Spróbowano organizować pracę dla głodujących, aby móc im wypłacać głodowe zasiłki.

Europa

i innymi plemionami germańskimi, osiedlając ich w różnych prowincjach dla obrony przed Hunami. Tenże cesarz przed śmiercią (395 r.) definitywnie podzielił cesarstwo na Wschodnie i Zachodnie, na władców wyznaczając swych synów. Ten podział okazał się trwały.

Presja Hunów na imperium rzymskie gwałtownie się wzmogła, gdy do władzy w ich już bardzo obszernym państwie w 444 r. doszedł ambitny i wojowniczy Attyła, przez ludy chrześcijańskie zwany „biczem Bożym”. Bizancjum i cesarstwo wschodnie obłożył ogromnym trybutem w złocie, a skupił się na podboju Rzymu i cesarstwa zachodniego. Po kilku nieudanych próbach wiosną 451 r. wyruszył na zachód na czele wielotysięcznych hord. Zamierzał najpierw podbić i ograżyć bogatą Galię, a następnie Italię i Hiszpanię.

Na Polach Katalaunijskich (dzisiejsza Szampania) doszło do walnej bitwy Hunów z połączoną armią rzymską i wizygocką. W jednodniowym krwawym starciu Hunowie zostali rozbici i zmuszeni do ucieczki. Germańscy sojusznicy nie zawiedli Rzymu. Ta klęska położyła kres podbojom Attyły, a próba wznowienia napaści na Italię w następnym roku już się nie powiodła. Rok później Attyła zmarł, podobno z przepicia. Jego państwo rozpadło się, wiele huńskich grup wycofało się do Azji, inne rozplynęły się w miejscowej ludności. Był to koniec wielkiej wędrówki ludów. Następną groźną falą najeźdźców ze wschodu pojawiła się dopiero w XII wieku z Dżingis Chanem.

4
Pozostał jednak problem germańskich plemion, które w ramach tej wędrówki ludów wywo-

lanej przez Hunów zasiedlili prowincje cesarstwa zachodniego. Praktyczni Rzymianie wymyślili sprytną organizację współżycia tych barbarzyńskich sprzymierzeńców z ludnością rzymską lub zromanizowaną. Na obszarach z mieszaną ludnością każda wspólnota rządziła się własnym prawem i obyczajami. Germanie byli dużo bardziej prymitywni – znajdowali się bowiem wciąż na etapie plemiennorodowym. Dla celów wojennych powoływali królów i organizowali się w państwo, ale w życiu pokojowym rządziły bezpośrednio rody i wspólnota. Nie potrzebowali państwa nawet dla wymiaru sprawiedliwości. Każdy występki był karany przez wspólnoty rodowe na podstawie wróży – prawa zemsty rodowej według zasady oko za oko, ząb za ząb. Występki przeciw plemieniu były też karane przez wspólnotę spaleniem chaty i dobytku oraz wygnaniem (banicją). Taki rodzaj germańskiego szariatu.

**Rzymianie na ten szariat się nie obu-
rzali, jak Kaczyński na jego współczesną islamską odmianę, lecz go akceptowali w przekonaniu, że lepiej niż narzucone i obce im rzymskie prawo może germańskiej starszyźnie dyscyplinować własne plemię**

i zapewniać wewnętrzny mir. Ta metoda dwu różnych systemów prawnych we wspólnej organizacji państwowej przetrwała przez wiele pokoleń, nie tylko w obszarach osiedlenia się „sprzymierzonych” ludów, lecz również w państwach germańskich, które powstały po upadku Rzymu. Germański król Wandalów Odoaker ze swym plemieniem przedostał się przez Gibraltari do Afryki, tam założył państwo i w połowie V w. najechał w celach rabunkowych Italię. W kilka lat później zdeponował 13-letniego cesarza zachodniej części imperium rzymskiego Romulusa Augustulusa, po czym odesłał go wraz insygniami do Konstantynopola. Ten akt uznawany jest dziś za upadek Rzymu – symbolicznie, gdyż współcześni tak nie sądzili, sam Odoaker też nie. Przyjmował, że imperium nadal istnieje, tylko jest zarządzane z Konstantynopola. Wniosekował o powierzenie mu namiestnictwa, czego nie uzyskał. Bizancjum skorzystało z okazji dla wznowienia jedności cesarstwa. Na pewien czas to się nawet udało, na przykład pod rządami Justyniana Wielkiego (527–565). Ale ostatecznie upadek cesarstwa zachodniego nastąpił i na jego terytorium powstały germańsko-rzymskie państwa sukcesyjne. Jedyną trwałą pozostałością po zachodnim cesarstwie okazała się prowincja kościelna – patriarchat Zachodu z siedzibą w Rzymie kierowany przez papieża.

5
Te germańskie państwa sukcesyjne spajające nową wspólnotę germańską i pierwotną rzymską w ciągu dwu wieków ewoluowały w zmiennym kierunku. Choć kierowane przez plemiona germańskie, przekształcały swoją organizację, system prawny i instytucje nie w kierunku barbaryzacji czy germanizacji, lecz romanizacji. Elity germańskie były zaurczone rzymską organizacją dominatu jako wzorca monarchii i stopniowo, cierpliwie ten wzorzec wdrażały. Wspierało ich w tym duchowieństwo chrześcijańskie – od IV w. zarówno Rzymianie jak Germanie byli chrześcijanami. W państwach niezających pisma Germanów duchowni stanowili jedyną dostępną biurokrację, a łacina jedyny poręczny język państwowy. Równoległe z procesem romanizacji trwał też proces jednoczenia tych germańskich plemiennych państw w monarchii naliczniejszego ludu Franków. W połowie VIII w. proces ten doprowadził do końca król Franków Karol Wielki, który podporządkował sobie drugi co do liczebności lud germański – Longobardów władających północną Italią. Sytuacja dojrzała do wznowienia cesarstwa zachodniorzymskiego. W święto Bożego Narodzenia 25 grudnia 800 r. król Franków i Longobardów Karol Wielki został namaszczonej przez papieża Leona III „z woli Bożej” na cesarza Rzymu. Bizancjum z tym wskrzeszeniem cesarstwa na Zachodzie się pogodziło. Władztwo tego cesarstwa rozciągało się na całą zachodnią Europę i część środkowej. Przetrwało ono po wielu modyfikacjach pod nazwą cesarstwa rzymskiego narodu niemieckiego do 1807 r., kiedy rozbił go Napoleon I, zaś w tytulaturze cesarzy Austro-Węgier – aż do 1922 r. Na fundamencie cywilizacji grecko-rzymskiej wyrosła nowa – europejska.

Wnioski z tej historii są optymistyczne. Wywołała zmiany klimatu i demografią

wielkie ruchy migracyjne są nie do powstrzymania przemocą. Można jednak i należy nimi sterować tak, aby w konsekwencji z tygla mieszkających się wspólnot w drodze pokojowej ewolucji wyłonił się postęp, a nie regres cywilizacyjny. Doświadczenie historyczne przemawia za współpracą i tolerancją przeciw przemocy.

Obowiązywała zasada: „Wędką, broń boże ryba”. Aby otrzymaną „wędką” zarobili na chleb. Kiedy okazywało się, że głodujący zwykle nie nadawali się już do żadnej pracy, to fingenowano ją. Aby tylko umierających nie karmić za nic.

Po zbilansowaniu wydatków wyszło, że koszt organizowania takich „wędek” przewyższał koszty ewentualnego rozdawnictwa „ryb, bez wędek”. Pomimo tych twardych faktów i liczb, wyznawcy wolnego rynku nadal nie pozwalali karmić głodujących bez wciskania im „wędkę”.

Aby uniknąć mnożenia kosztów i wolnorynkową cnotę zachować, to wprowadzono nową zasadę. Darmowe jedzenie dostanie tylko ten, kto posiada przynajmniej ćwierć akra ziemi. I uprawia ją, nawet teoretycznie. No to ruszyła lawinowo sprzedaż ziemi. Na czym w końcowym efekcie skorzystali bogaci ziemianie.

Ostateczne rozwiązanie

W 1851 r. przeprowadzono w Irlandii spis powszechny. Poprzedni z 1841 r. odnotował 9 mln mieszkańców. W 1851 r. było ich tylko 6,5 mln.

Dziś historycy oceniają, że z głodu i chorób zmarło wtedy 1,5 mln Irlandczyków. Drugie 1,5 mln wyemigrowało do Stanów Zjednoczonych. Wielu z emigrujących nie przeżyło podróży. Wtedy powstało irlandzkie powiedzenie: „Bóg zesłał na nas zarazę ziemniaczaną, ale to Anglicy dali nam głód”.

Jak przekazuje amerykański historyk Michael P. Hanagan: „W Irlandii w 1846 i na początku 1847 r. brakowało żywności, ale setki tysięcy istnieć można było uratować, gdyby irlandzkie zasoby były skutecznie wykorzystane. A co najważniejsze, zasoby żywności w Zjednoczonym Królestwie, którego Irlandia była częścią, wystarczyły aż nadto do ulżenia głodującym”.

Wywołana głodem emigracja trwała w następnych latach. Do roku 1990 do USA wyemigrowały ponad 4 mln Irlandczyków. Obecnie amerykańskich Irlandczyków jest więcej niż rdzennych na wyspie.

Głód w 1850 r. wygaś, bo zaraza się skończyła. Bo sadzono coraz mniej ziemniaków. Bo ich konsumenci zmarli z głodu albo emigrowali. Opuszczone przez nich polatki zasilili rozrastające się farmy produkujące mięso, mleko i zboże. Ziemniaczani biedacy stanęli przed wyborem: emigracja albo nędzna egzystencja. Wybierano emigrację.

Można zatem rzec, że Opatrzność przyniosła i cofnęła zarazę. Ale jej skutki były nieodwracalne. W 1841 r. ponad 4 mln Irlandczyków mówiło po gaelicku. Był to język oporu przeciwko Anglikom i kolaborującym irlandzkim elitom. Ale też język wiejskiej wspólnoty, biedoty. Tej, która z głodu wymarła, albo wyemigrowała do USA. Pozostali na wyspie przyjmowali język angielski.

Stał się on tak bardzo irlandzkim, że słynna niepodległościowa proklamacja powstańcza Patricka Pearsea z 1916 r. była wydrukowana tylko po angielsku. Po angielsku pisali swe pożegnalne listy skazywani na śmierć bojownicy o niepodległość Irlandii. Po angielsku wydawano rozkazy w Irlandzkiej Armii Republikańskiej walczącej z angielskimi kolonizatorami.

Pisano tak, bo po wielkim głodzie angielski stał się też językiem Irlandczyków w USA. Wspólnoty, która po przejściu przez emigrację piekło zaczęła znacząco wpływać na losy rodaków mieszkających na wyspie.

Irlandzcy emigranci na nowym kontynencie kultywowali swój folklor, religię, zwyczaje. Wspierali finansowo, organizacyjnie wszelkie ruchy nacjonalistyczne, wyzwolenie na irlandzkiej wyspie. Od republikanów po radykalną IRA. Pierwszy prezydent Republiki Irlandzkiej Eamon de Valera pochodził z USA.

Dziś nie pamięta się, że to emigracja irlandzka w USA rozpropagowała Dzień Świętego Patryka na świecie. Bo Irlandczycy musieli coś swojego pokazać podczas popularnych tam narodowych parad. W Ameryce kultywowano i rozwijano irlandzką muzykę, odtwarzano irlandzkie tańce. Irlandzcy aktorzy podbili Hollywood. A przywleczony do USA irlandzki Halloween stał się globalnym i totalnie skomercjalizowanym.

Co roku Irlandię odwiedzają ponad 3 mln turystów z USA. Niewiele mniej niż żyjących na wyspie Irlandczyków. Trudno wśród nich znaleźć takiego, który nie ma rodziny w USA. I nie był za oceanem. Nie pracował tam.

Po wejściu Irlandii do Unii Europejskiej angielskojęzyczna wyspa stała się biznesowym przystankiem na trasie USA – Wielka Brytania – UE. Po brexicie jest jedynym państwem anglojęzycznym w Unii Europejskiej. Głodująca niedawno wyspa jawi się jako oaza sukcesu i dobrobytu.

Echo irlandzkiego wielkiego głodu można usłyszeć w popularnej balladzie „The Fields of Athenry”. Wyrażającej smutek irlandzkiego chłopaka, który płynie angielskim statkiem więziennym do Australii.

Bo w czasie wielkiego głodu w okolicy Athenry ukradł zboże na polu należącym do podłego Trevellyana.

Pieśń można często usłyszeć w angielskich więzieniach śpiewaną tam przez irlandzkich osadzonych. W każdym irlandzkim pubie, kiedy lokal jest zamykany. No i podczas przegranych przez Irlandczyków meczów piłki kopanej.

Dziś wielu śpiewających nie zna korzeni ballady. Fajna muzyka jest. Nostalgiczna, oddaje irlandzki charakter.

PIOTR GADZINOWSKI

FYS. MARCIN BONDAROWICZ

Między alternatywą a Jankiem Pietrzakiem

Wszystko płynie – mawiali starożytni filozofowie. Tylko krowa nie zmienia poglądów, bo ich nie ma – twierdzą współcześni. Historia zna wiele dziwnych wolt i zmian stron barykady. Myślałam, że już nic mnie nie zdziwi, ale właśnie w „Gazecie Wyborczej” przeczytałam, że niejaki Jędrzej „Kodym” Kodymowski, lider alternatywnej kapeli Apteka („Policja i władza powietrze zasmradza”), zarobił na sprawie muzycznej „Resetu”, udającego dokument propagandowego serialu pisowskiej TVP. Za umuzyczenie tej manipulatorskiej antytuskowej tyrady „Kodym” nie przytulił tyle, co jej twórcy, krezusi dojeiny zmiany Sławomir Cenckiewicz i Michał Rachoń, ale 56,6 tys. zł piechotą też nie chodzi.

Okazuje się zatem, że pisowska władza walcząca z lewactwem jak św. Jerzy ze smokiem, opiera się na marksistowskiej maksymie, zgodnie z którą nie świadomość kształtuje byt, lecz byt kształtuje świadomość. Istotą tzw. dobrej zmiany była zmiana na lepsze – w kategoriach ekonomicznych i prestiżowych – odczuwana przez tych, którzy ją wspierali. Prezes i jego ludzie, podobnie jak Lenin, rozumieli, że najważniejsze są kadry. A radość z jednej nawróconej owcy jest większa od tej, jaką daje 99 owiec, co zawsze były w stadzie.

Warto prześledzić drogę „Kodyma” od antypolitycznego miłośnika używek do żołnierza Prezesa.

Miłe złego początki

Na początku lat 80., gdy komuna zaczynała długie gnicie, trójmiejskie podziemie muzyczne tworzyło Gdańską Scenę Alternatywną. Łączyła ona młodych ludzi uciekających od szarości i prażności PRL w happeningi, poezję czy muzykę. Jednym z jej filarów była założona w 1983 r. punkowa Apteka.

Nazwa była znacząca, bo zespół przez lata oferował fanom liczne dowody, że lekiem na całe zło jest nie msza u (jak dziś wiemy, pedofila i gwałciela) prałata Solidarności Henryka Jankowskiego, lecz mocne wejście w substancje psychoaktywne. Inna rzecz, że w rozmowie z „Dziennikiem Polskim” „Kodym” mówił, że Jankowski „prywatnie to zupełnie inny człowiek, niż postać na jaką wykreowały go media”, albowiem „w prasie i telewizji funkcjonował jego negatywny obraz, tymczasem była to pozy-

Rys. KRZYSZTOF OLEJNIK

tywna osoba; przecież to on położył podwaliny pod to, na czym karierę zrobili tacy ludzie, jak Wałęsa czy Michnik”...

Jedna z kultowych piosenek Apteki „Ujara-ne całe miasto” zaczynała się od inwokacji lepszej niż ta mickiewiczowska: „za ofiarę ziemi z dwóch, trzech liści koki. Prosi o dobry zasiew. Przy większych pracach składa ofiarę całopalną z wybranych liści koki”. W „Psychodelicznym kowboju” mamy opowieść o człowieku, który zasmakował peyotlu (narkotyku z kaktusa), w którym była „taka siła, że kowboja odmieniła”. Kowboj „rzucił kolt, puścił konia, na gitarze zaczął grać”, chcąc co roku wracać do kaktusa.

OD PUNKOWCA DO PISOWCA



„Kodym” w swych piosenkach sławił imprezy, czego dowodem jest piosenka „Chłopaki i dziewczyny”, która jest peanem na cześć grubej biby. Jak to w Aptece, podmiot liryczny żywi nadzieję, że „diler chyba nie da plamy”, ale nade wszystko „chłopaki i dziewczyny piją wodę oraz wino”,

a dokładniej „laski piją pierwsze drinki, bo to luźne są dziewczynki”. Są używki, co jak wiadomo sprzyja łajdaczeniu się: „A w łazience zamiast wody golden shower dla ochłody; ta, co przyjechała w fiacie, lubi klocka mieć na klatce”.

A koniec żaloszny

Jakiś czas temu piewca „transowego amoku narkoekstazy” (piosenka „Amfetamina haszysz morfina”) zaczął mieć transowy amok na punkcie nacjonalistycznych konserwatystów. Kiedyś śpiewał nihilistycznie „nie dla lewicy, nie dla prawicy”, teraz zaczął do znudzenia głądzić o patriotycznych tradycjach rodzinnych: matka sanitariuszka AK, ojciec po wojnie siedział za konspirację i nielegalne posiadanie broni, jeden dziadek zabity w powstaniu warszawskim, drugi w Katyniu.

W drugim roku rządów PiS powiedział Onetowi: „Myszę, że coś tam robią. Na pewno są rzeczy, które mi się podobają, jak odwoływanie się do naszej narodowej tożsamości”. Niby dodał, że parę rzeczy mu się nie podobało (populizm), ale szybko okazało się, że wspierał pisowską rozprawę z sędziami, którzy robią chaos, by zablokować „reformę sądownictwa”, a przecież „system ten jest zbudowany w celu ułatwienia życia oszustom i złodziejom oraz gnębienia ofiar”.

„Kodym” bronił nawet zamieszania na Liście Przebojów Trójki związanego z piosenką Kazika o Jarosławie Kaczyńskim „Twój ból jest lepszy niż mój”. Dawny punkowiec w rozmowie z Rachoniem przekonywał, że to trik marketingowy Staszewskiego: „Moim zdaniem był to efekt zamierzony, aby pomóc płycie, którą nagrał Kazik. Ta sytuacja jest typowym elementem show-biznesu, który od lat funkcjonuje na całym świecie, a u nas dopiero pojawiają się tego typu nowatorskie pomysły”.

Kodymowski był jednym z gości żenującego koncertu nieśmiesznego kabareciarza Jana Pietrzaka, który – jak to satyrycy wykłęty – śmieszkował w sposób rasistowski, seksistowski i ksenofobiczny, bawiąc publiczność np. zauważaniem, że Niemki są brzydsze od krów.

Po latach wchodzenia w dupę PiS-owi bez mydła „Kodym” został objęty programem „rodzina na swoim”. Jego córka Ksenia (owoc małżeństwa z kobietą, z którą się – jak przystało na katolika – rozwiódł), zaczęła robić kuriozalne reporterskie relacje dla Rachonia, szukając m.in. na warszawskim lotnisku celebrytów uciekających przed rządzącą prawicą. „Kodym” miał program (przez pewien czas nawet dwa) w radiowej Trójce. Puszczal głównie muzykę alternatywną, co mu się chwali, choć być może po latach zapomniał, o czym śpiewali idole jego młodości.

Upadku reżimu jego praca dla publicznego nadawcy nie przetrwała.

W służbie systemu

Oczywiście, może „Kodym” po prostu przedawkował z dragami i wodą, idąc poniekąd śladami Kukiza – od punkowca do Prezesa dachowca. Znamienne, że

jak niejedna kurwa (czy jak każe dziś mówić Partia Razem, seksworkerka) staje się na starość dewotką wrogą wszelkim, zwłaszcza cielesnym, przyjemnościom, tak „Kodym” od lat występuje przeciwko narkotykom (włącznie z medyczną marihuaną), alkoholowi i papierosom.

Czyli jednak jest coś w tym, że skrajności się przyciągają.

A przecież „Kodym” mógłby PiS-owi i jego zwolennikom zanucić fragment „Wiochaowska”: „Masa debili, masa baranów, wykorzystana przez cwanych chamów. Nowa kasta wyzyskiwaczy, dla której człowiek nic nie znaczy”.

Wydaje mi się, że promując ćpanie, chłanie i ruchanie bynajmniej finansowo nie stracił, raczej wręcz przeciwnie. Najlepiej podsumować te niewesołe rozważania tekstem piosenki Apteki zatytułowanej „System”: „Kiedyś na nich plułeś, a dziś im służysz! Ty sprzedajna kurwo! Tak łatwo jest się sprzedać, tak łatwo jest się skurwić!”.

KAT

Czytając wywiad rzekę Pawła Dybicza z prof. Andrzejem Romanowskim myślałam sobie, że gdybym spotkała bohatera książki trzy dekady temu – nie znośiłabym go, jak całej Unii Demokratycznej. Namaszczonego własnymi historycznymi zasługami i poczuciem misji dziejowej budowniczych nowego świata, unurzanych w katolicko-kombatancim sosie i całkowicie oderwanych od losu ludzi, którym urządzili piekło w imię budowy kapitalizmu. Ludzie – to optymistyczny wniosek – jednak się zmieniają. I mam tu na myśli zarówno siebie, jak i profesora.

Andrzej Romanowski, badacz kultury pogranicza, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, ultrakrakowski Krakus, przeszedł drogę od Unii Wolności, będącej wówczas centrum mainstreamu – nie tyle partii, co zespołem poglądów, które należało posiadać w dobrym towarzystwie – do bluźniercy, podającego w wątpliwość wszystkie postsolidarnościowe dogmaty.

Szczerść, ale i dystans do samego siebie, z jakim opowiada o tym Dybiczowi, czyni z „Życia pełnego historii” lekturę nie tylko zajmującą, ale też dziwnie podnoszącą na duchu.

Romanowski – wychowany w antykomunistycznym domu współpracownik podziemnych pism w stanie wojennym, a w tzw. „wolnej Polsce” współzałożyciel i członek najbardziej styropianowej partii jaką była ROAD, przekształcona w Unię Demokratyczną, przekształcona w Unię Wolności – mówi dziś o Polsce Ludowej nie tylko

Krakowski bluźnierca

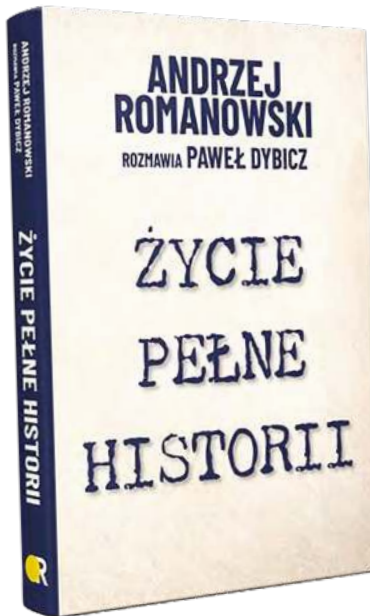
Andrzej Romanowski wsadza kij w kombatancie mrowisko

z uczciwością i obiektywizmem, ale także sporą dozą sympatii.

„Na sprawiedliwy osąd czeka cały PRL” – mówi profesor – „Nie mam zamiaru wyrzucać PRL na śmietnik historii, chciałbym zachować, co było w nim dobre”. I dalej posuwa się do już całkowitej herezji, pytając: „Co właściwie jest ważniejsze – antykomunizm czy Polska?”. I odpowiada: „jeżeli na danym etapie historii komunizm służy Polsce, to trudno: trzeba służyć komunizmowi”. Nie była to jego osobista droga – ale ma odwagę, patrzeć wstecz, przyznać, że się mylił.

Szczególnie, jeśli chodzi o Wojciecha Jaruzelskiego.

„Do 1989 roku lekceważyłem wszystko, co robił Jaruzelski. Był dla mnie wyłącznie autorem stanu wojennego, który przez niewiele znaczące gesty usiłuje się uwiarygodnić. Ale od początku 1989 z każdym miesiącem zadziwiał mnie coraz bardziej” – wspomina. Finalny efekt tych zdziwień deklaruje w odpowiedzi na pytanie, czy byłby skłonny napisać o generale książkę: „Nie wiem, czy dziś napisałbym obiektywny tekst, bo jak wiesz, uprawiam kult Jaruzelskiego”. Dostrzega to, co dawni solidarnościowcy starannie ignorują: że Jaruzelski miał rację, kiedy „zatrzymał



rewolucję solidarnościową, zamrażając Solidarność i uniemożliwiając interwencję zewnątrz”.

Wspominając pamiętne kazanie prymasa Wyszyńskiego po wybuchu strajków w sierpniu 1980 r. – to, w którym prymas apelował, żeby „pracować rzetelnie” – i oburzenie, jakie wzbudziło ono także wśród dziennikarzy „Tygodnika Powszechnego”, Romanowski

przyznaje: „Nie po raz pierwszy byliśmy głusi na niewygodne prawdy”. Jeden z mitów założycielskich krakowskiej opozycji, mówiący o zakatowaniu przez SB Stanisława Pyjasa – który tak naprawdę spadł na głowę z drugiego piętra krakowskiej kamienicy – prof. Romanowski nazywa dziś: „kłamstwem krakowskim, poprzednikiem kłamstwa smoleńskiego”. Opowiada też o swojej reakcji na propozycję okrągłego stołu: od „w żadnym wypadku” do „stopniowego odchodzenia od dotychczasowego manicheizmu”.

Interesujący jest stosunek prof. Romanowskiego do Balcerowicza i jego planu. Z jednej strony mówi: „Uznanie dla jego reform pozostaje we mnie do dziś” i chwali się, że „ściskał dłoń dwóch wielkich wicepremierów, reformatorów gospodarki: Leszka Balcerowicza i Eugeniusza Kwiatkowskiego”. Z drugiej zaś przyznaje, że był przez Balcerowicza „uwiedziony”. Zapytany przez Dybicza, czy on i jego środowisko polityczne nie było świadome, że „zostawia na pastwę losu niemалą część narodu” – odpowiada szczerze: „Nie. Można dziś rzec, że byliśmy ślepi”. I dodaje: „Przenikliwy był Karol Modzelewski, który już wtedy mówił, że zdradziliśmy klasę robot-

niczą”. To ostatecznie zdanie leje miód na moje serce, bo w momencie, w którym bez mała 40-letni wybitny intelektualista Romanowski ulegał czarowi Balcerowicza, ja w moim szczeniackim, 18-letnim buncie, wiedziałam, że rację ma Modzelewski. Choć uczciwie muszę dodać, że w wybraniu właściwej drogi mógł mi pomóc fakt, że byłam – i na zawsze pozostałam – „uwiedziona” przez Modzelewskiego, którego ludzki format, ale także osobistą charyzmę trudno porównać do kogokolwiek innego, ze szczególnym uwzględnieniem Balcerowicza.

Warto też odnotować odwagę, z jaką Andrzej Romanowski mówi o swoich przemyśleniach o Rosji. „W moje myślenie wkalkulowałam zawsze interes Rosji i wrażliwość Rosjan” – przyznaje, dodając, że skłaniało go to do powściągliwości wobec akcesu Ukrainy do UE i do bycia przeciwnikiem jej wejścia do NATO. Twierdzi co prawda, że „agresja i tak by nastąpiła, bo Rosja wróciła do istoty swojej tożsamości” i „musi się rozszerzać drogą podbojów” – ale dodaje, że „jednakże przed agresją warto było być bardziej powściągliwym”. Co do tej pierwszej tezy pozwalał sobie mieć inne zdanie – ale z drugą zgadzam się w zupełności.

Książka ma 400 stron, a ja tylko pół kolumny, więc pozostaje mi napisać jedno: kupcie, przeczytajcie. Jest dostępna na stronie „Przeglądu”.

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA

„Życie pełne historii”, Andrzej Romanowski, Paweł Dybicz, Fundacja Oratio Recta, 2024.

Odpocznijmy na chwilę od igrzysk w Paryżu. Porozmawiajmy o sportach nieolimpijskich.

W Paryżu o 329 kompletów medali walczy się w 32 dyscyplinach olimpijskich. Jedne weszły do tej ekskluzywnej rodziny, inne z niej wypadły. Trudno trafić za działaczami Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego, źródła ich decyzji nie są jasne, choć niewątpliwie daje się zauważyć pewien trend. Faworyzowane są sporty uprawiane przez młodzież oraz przez kobiety. Podobają się także te sporty, w których kobiety i mężczyźni startują jednocześnie. To podkreślać ma równość płci.

Ringo redaktora Strzyżewskiego

Wiemy już, ile jest obecnie dyscyplin olimpijskich. A ile mamy sportów nieolimpijskich? Tego nie da się policzyć. Każdy przecież kiedyś, w jakimś tam wieku, uczestniczył w jakiejś rywalizacji. Cymbergaj, czy pikuty – za moich szkolnych lat były rekordy popularności. Dziś mało kto o nich pamięta. Nie, cymbergaj na pewno nie trafi na igrzyska olimpijskie. Już prędzej gra „kamień, nożyce, papier” znana na całym świecie.

Ringo wymyślił i starał się popularzować były szermierz, a później dziennikarz sportowy Włodzimierz Strzyżewski. Z grubsza mówiąc, ringo polega na przerzucaniu kółka nad linką. Strzyżewski początkowo uważał tę grę za element swojego szermierczego treningu, dopiero później wpadł na pomysł, że można grać na punkty i że młodzież powinna gnać się do jego pomysłu. Dyscyplinie nadał nazwę „gry w kółko”, później, w 1968 r., doszedł do wniosku, że jeśli ma zrobić międzynarodową, najlepiej olimpijską karierę, potrzebna jest nazwa bardziej przystępna dla cudzoziemców i tak powstało „ringo”.

Zapał, z jakim Strzyżewski popularyzował swój sport, był niesamowity. Ponieważ organizował przeróżne zawody w ringo, także mistrzostwa Polski, nachodził wszystkie redakcje i wiercił nam dziurę w brzuchu, żeby opisać je w gazetach, na równi z futbolem i innymi popularnymi sportami, którym poświęcaliśmy wiele miejsca na łamach. Aktywny był także na arenie międzynarodowej. Założył najpierw polską, później międzynarodową federację ringo; obu oczywiście był prezesem. Mało tego, podczas pięciu igrzysk olimpijskich organizował pokazy gry w ringo, co ciekawe – oficjalnym sędziowskim językiem miał być język polski.

Trudy niezmordowanego Włodzimierza Strzyżewskiego pozornie poszły na marne. Na igrzyska olimpijskie w Paryżu trafił tylko breaking, o ringo nikt się nie upominał. W sklepach sportowych można jednak kupić zestawy do gry wymyślonej przez pana Włodzimierza, z czego należy wysnuć wniosek, że nie została całkiem zapomniana.

Rower na żwirze, piłka pod trzepakiem

Kolarstwa mamy pełno podczas igrzysk olimpijskich: szosowe, torowe, BMX. U nas dyscyplina ta, podobnie jak wiele innych, przeżywa głęboki kryzys. Aktualną mistrzynią świata jednak mamy. Tyle, że w gravelu. Została nią Katarzyna Niewiadoma, od lat nasza najlepsza zawodniczka na szosie.

Gravel to nowa odmiana ścigania się na rowerach. Nazwa sugerowałaby,

że kolarstwo gravelowe rozgrywane jest na żwirze – i istotnie duża część trasy prowadzi po takiej nawierzchni. Mamy jednak również odcinki szosowe i prowadzące po leśnych ścieżkach. Kto wie, czy nie jest to najbardziej wyczerpująca dyscyplina kolarska, bo trasa prowadzi w trudnym, pagórkowatym terenie. Myślę, że kiedyś dorobi się olimpijskiej nobilitacji. Ale czy Katarzyna Niewiadoma jeszcze będzie się ścigać?

Rower gravelowy różni się nieco od szosowego. Już na pierwszy rzut oka widać szerokie opony z wyraźnym bieżnikiem. Nie można natomiast zobaczyć skomplikowanej technologii ukrytej w konstrukcji i sprawiającej, że rower do tej dyscypliny jest droższy od zwykłego roweru szosowego. Zauważyłem, że amatorów jeżdżenia na grubych, szerokich oponach jest u nas niemało, choć cena roweru może zniechęcać do podejmowania prób.

Koszykówka 3x3 to typowy sport podwórkowy. Grę do jednego kosza od dawna mogliśmy oglądać w amerykańskich filmach, w Polsce było to coś egzotycznego. Teraz nastąpiła zmiana. Na naszych szkolnych boiskach jeden kosz nie jest rzadkością. Co więcej, jeżdżąc po moim miasteczku, widzę podobny obrazek na prywatnych posesjach. Mecze koszykówki 3x3 z Paryża transmitowano na cały świat, a najlepszym wieszano na szybach prawdziwe medale olimpijskie.

Za moich czasów na podwórkach grało się w „nogę” na jedną bramkę, którą – bywało – stanowił trzepak. Dziś już sprzęt niemal całkowicie zapomniany, a służący (poinformuję młodzież) do czyszczenia dywanów z kurzu przy pomocy trzepaczki.

Dziewczyny spotykały się przy trzepaku i robiły na nim przeróżne gimnastyczne ewolucje pod baczny okiem chłopaków, czekających na moment, w którym któreś z nich odwinie się sukienka i zobaczą majtki.

Gra w „nogę” na jedną bramkę miała swoje przepisy. Mogły się różnić na poszczególnych podwórkach, ale jedna reguła była niezmienna: trzy rzuty różne równa się karny.

Składy drużyn ustalało się w ten sposób, że najlepszy piłkarz jako pierwszy wybierał sobie kolegę, drużyna przeciwna formowana była w podobny sposób.

Nie byłem najlepszym piłkarzem, ale zazwyczaj to ja wybierałem jako pierwszy. Powód był oczywisty. Futbolówka była moja. Warto przypomnieć, że prawdziwa piłka była wówczas dobrem dość luksusowym: skórzana, ręcznie szyta, z gumową dętką wewnątrz. Grało się do zdobycia przez jedną drużynę określonej liczby goli – chyba, że musiałem wcześniej pójść do domu i zabierać futbolówkę.

I niech teraz ktoś mądrzejszy ode mnie powie, dlaczego gra w piłkę nożną na jedną bramkę została niemal zupełnie zapomniana, a podwórkowa gra na jeden kosz zrobiła zawrotną, bo aż olimpijską karierę. Amerykanie potrafią robić reklamę.

World games pod auspicjami MKOl

Trwa nieustająca dyskusja czy szachy są sportem, czy nie są. Oczywiście przy szachownicy nikt nie biega, nie skacze, ani nie rzuca figurami. To sport intelektualny, wymagający nieustannego treningu (podobnie jak w innych sportach zaczynającego się w dzieciństwie) i – wbrew pozorom – żelaznej kondycji fizycznej. Jeśli za sport uznajemy dziś gry komputerowe, nie ma najmniejszego powodu, żeby traktować inaczej szachy.

Szachiści już dawno uznali, że nie mają po co stukać do drzwi Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego. Po prostu zorganizowali sobie własną olimpiadę.

Począwszy od 1927 r. Międzynarodowa Federacja Szachowa organizuje



Rys. OBYWATEL JANEK

Bule, żużel, cymbergaj

w cyklu dwuletnim turniej drużynowy nazwany właśnie olimpiadą szachową. Polska nie tylko poszczycić może się sukcesami – prawdą, w latach międzywojennych – ale nawet zorganizowała olimpiadę w Warszawie w 1935 r.

Czy myślicie, że tylko szachiści są tacy mądrzy? Wiele nieolimpijskich dyscyplin połączyło siły i stworzyło swoje igrzyska, oficjalnie nazywane „world games”. Organizuje je międzynarodowe stowarzyszenie sportów nieolimpijskich (IWGA), ale – uwaga, uwaga! – pod patronatem Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego, a imprezy otwierali zazwyczaj prezydenci MKOl. Nie jest to więc jakaś grupa buntowników, ale oficjalnie uznani sportowcy, tyle, że nieolimpijscy. World games odbywają się zawsze rok po tych, które właśnie oglądamy w Paryżu.

Podczas world games nie rozgrywa się wcale jakichś bardzo oryginalnych sportów, które ktoś wymyślił na potrzeby imprezy. Niektóre cieszą się naprawdę wielką popularnością. Jeśli wymienię oficjalną nazwę dyscypliny „pétanque” mało kto, włącznie ze mną, będzie wiedział, o co chodzi. A jest to po prostu gra w bule. I jesteśmy w domu. Na całym świecie rzucają metalowymi bulami do niewielkiej kulki, zwanej swinką. Tylko w Polsce jest kilkadziesiąt klubów zrzeszających miłośników tej gry, a przecież w naszym kraju nie należy ona do najpopularniejszych. We Francji w pétanque gra grubo ponad pół miliona obywateli. Ta gra zręcznościowa cieszy ludzi na całym świecie i na wszystkich kontynentach, a zasięg i popularność to przecież podstawowe kryteria podczas przydzielania miejsc w najbardziej prestiżowych imprezach.

Wrocław rulez, Kraków mniej

W 2017 r. gościliśmy world games we Wrocławiu. Początkowo nie miałem zamiaru śledzić imprezy na antenach Polsatu, bo co mnie mogą

obchodzić jakieś nieolimpijskie zmagania. Jestem przecież dziennikarzem sportowym starej daty. Oczywiście zająłem, co tam się dzieje i... całkowicie mnie to pochłonęło.

Okazuje się, że nie tylko mnie. Igrzyska pokazywano na ekranach telewizorów w 131 krajach, a w trakcie ich trwania Polsat dostawał kolejne zamówienia na transmisję. To było naprawdę nie tylko ciekawe, ale i całkowiście świeże. Przecież zawody na (wybudowanym specjalnie na potrzeby imprezy) torze wrotkarskim, czy turniej plażowej piłki ręcznej to było dla nas coś zupełnie nowego i pasjonującego.

Gospodarze wykazali się sprawnością. Gdy nad Wrocławiem przeszła potężna burza i zniszczyła część obiektów na wolnym powietrzu, już tego samego dnia zostały odbudowane. I jeszcze coś – niezapomniana ceremonia zamknięcia world games. Nikt nie zapraszał światowych gwiazd estrady, ani nie silił się na jakieś nie stworzone pomysły. Na scenie pojawił się dolnośląski raper L.U.C. z grupą bębniarzy. Potrafił rozruszać zebraną pod sceną grupę sportowców do świetnej zabawy, trwającej aż po świt.

Choć NIK przyczepił się do organizatorów o jakieś sprawy (chodziło chyba o nieprawidłowości przy zamówieniach publicznych) world games nie kosztowały kroci. Nie licząc budowy pływalni przy ul. Wejherowskiej, toru wrotkarskiego i modernizacji Stadionu Olimpijskiego – co i tak znajdowało się w miejskich planach – organizacja kosztowała 80 mln zł.

Dla porównania, igrzyska europejskie w Krakowie w ubiegłym roku kosztowały ok. pół miliarda złotych (też nie licząc infrastruktury). Oczywiście złotówka przez siedem lat straciła na wartości, ale i tak różnica jest aż nadto wyraźna. Nie wiem, czy do dziś udało się wszystko rozliczyć – w każdym razie jeszcze kilka miesięcy po zamknięciu igrzysk w spółce pracowało ponad 100 osób i pobierało wynagrodzenia.

Polska przejęła flagę igrzysk europejskich po Azerbejdżanie i Białorusi. Z tego co wiem, następcy nie ma. Była to więc droga, nikomu niepotrzebna impreza, która właśnie umiera.

Oczywiście nam, w Polsce, najbardziej by się spodobało, gdyby do rodziny sportów olimpijskich lub chociaż world games dołączył żużel. Wiadomo, że speedway jest u nas niezwykle popularny, mamy mistrza świata, a nasza liga jest najlepsza. Niestety, ta dyscyplina nie ma żadnych szans na wejście do elitarnej grona.

Dlaczego tak się dzieje? Choć na czarnym torze ścigają się w całej Europie, w Stanach, Australii, a nawet w Argentynie, wciąż jest to sport niszowy. Najlepsi rajderzy występują w kilku europejskich ligach, a w nich powtarzają się te same nazwiska. Żużlowcy to garstka straceńców, gotowych ścigać się o pieniądze i o punkty, nie patrząc na niebezpieczeństwo. Co tu dużo mówić: ściganie się na motocyklach bez hamulców nigdy nie stanie się sportem na tyle masowym, by zawodnicy mogli spoglądać na płonący znicz.

Mam nadzieję, że Czytelnicy nie wezmą mi za złe, że choć na chwilę odciągnąłem ich uwagę od tego, co dzieje się w Paryżu.

WOJCIECH MITTELSTAEDT
wojciech.mittelstaedt@interia.pl



SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY REDAGUJĄ:

Jerzy Urban – honorowy redaktor naczelny,
Waldemar Kuchanny – redaktor naczelny,
Edyta Baker – sekretarz redakcji,
Agnieszka Wolk-Laniewska – redaktor prowadzący,
Małgorzata Daniszewska, Idalia Dubicka, Robert Jaruga,
Tadeusz Jasiński, Michał Marszał, Marta Miecińska,
Łukasz Piotrowicz, Marek Sanowski,
Krzysztof Olejnik, Paweł Krokodyl Ferenc – grafika, DTP.

WYDAWCA: „URMA” Sp. z o.o.

ADRES redakcji i wydawcy:
00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
tel.: 22 848-84-48, 22 848-44-20, 22 848-96-68;
tel./fax 22 849-72-47 i 22 849-52-58.

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849-59-38.
INTERNET
www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa.

E-MAIL:
NIE@redakcja.nie.com.pl

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca. Zastrzegamy sobie prawo skracania i adustacji tekstów oraz listów. Tytuły i źródła wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji. Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

DRUK:
Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl

Sprzedaż elektroniczna:
www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl,
www.eprasa.pl, www.nexto.pl

Numer zamknięto: str. 1–32 – 6.08.2024 r.

SŁÓWKA PÓŁGŁÓWKA

– Ile jeszcze? – zapytał prezydent Andrzej Duda.

– Rok – odparła Małgorzata Paprocka, szefowa Dudowej kancelarii.

Marcin Mastalerek, szef Dudowego gabinetu, znalazł w smartfonie stronę iledni.pl, rzucił okiem i sprecyzował: – Trzysta sześćdziesiąt dni, osiem godzin, dziewiętnaście minut i pięćdziesiąt dwie sekundy.

– Jaki plan na ten czas? – Duda zadał drugie pytanie.

– Jebać Tuska? – pytaniem na pytanie odpowiedział Mastalerek, który w tej części Europy słynął z poczucia humoru, a przynajmniej sądził, że słynie.

Paprocka skrzywiła się: ona z poczuciem honoru nie miała nic wspólnego. Tfu, z poczuciem humoru...

– Czyli? – padło trzecie pytanie.

– Niczego nie podpisywać, wszystko kwestionować. Krytykować, wyszydzać, kpić i głośno się wyśmiewać – Mastalerek sądził również, że jest genialnym politykiem.

– Szykować kogoś na moje miejsce?

Mastalerek nie odpowiedział, bo odpowiedź była oczywista.

Paprocka nie odpowiedziała, bo nie wiedziała, co powiedzieć.

– Nie szykować, bo nikt inny się nie nadaje – sam sobie odpowiedział Duda i zadarł podbródek w mussolińskim stylu.

– Coś jednak trzeba robić – dodał po pauzie. – Niczego więcej uszczknąć już się nie da, bo te sukinsyny patrzą nam na ręce.

– Może trzeba zacząć sobie szukać nowych posad? – zapytał Mastalerek.

– Ja to bym chciał zostać prezydentem – rozmarzył się prezydent.

– Przecież jest pan prezydentem, panie prezydencie... – podlizła się Paprocka.

– Chciałbym zostać prezydentem Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego – uzupełnił Duda. – Otwierałbym igrzyska, wręczałbym medale, przebywałbym w towarzystwie Igi Świątek.

– Wydaje mi się, że mógłbym zostać wiceprezydentem Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego – po namyśle powiedział Mastalerek. – Pod warunkiem, że hajs by się zgadzał.

Paprocka skrzywiła się jak po zjedzeniu limonki. Tfu, cytryny...

– W EmKaOlu nie ma wiceprezydentów – Duda podniósł podbródek najwyżej w tej części Europy. – Są tylko członkowie.

Mastalerek chciał rzucić jakiś żart o członku, lecz żaden nie przyszedł mu do głowy.

Mimo to Paprocka wybuchła śmiechem.

PRZEMYSŁAW ÓWIKLIŃSKI

Dialogi dam,

z których
obie żyją

JOANNA SENYSZYN znowu podróżuje po Europie,
a AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA po Podlasiu.

Ale spotkają się 15 sierpnia w Spale na Zlocie Ateistów.

Senyszyn: – Członkowie PKW biją się z myślami, czy przyjąć sprawozdanie finansowe PiS. W Kaliszu wygrywają te przychylne kaczymom. Czyżby Rysio chciał pójść w ślady Aleksandra i zostać prezydentem wszystkich Polaków?

Wołk-Łaniewska: – Trochę bym się zdziwiła, zawsze miałam Ryszarda za realistę. Ale z drugiej strony – po Dudzie to już każdy może.

– Może i nie może, bo do kandydowania trzeba milionów złotych, a do wygrania milionów głosów. A jedno i drugie mają tylko dwie partie: PO i PiS. W Platformie kandydatów zatrząśnie, więc nie ma szans, bo Trzaskowskiego ani Sikorskiego nie przeskoczyć, a tym bardziej Tuska. Ale i PiS szuka kandydata...

– Ejże, chyba przesadzasz trochę. Ja nie mam poczucia, że Kalisz się łączy do PiS. Myślę raczej, że zaznacza swoją adwokacką niezależność. A przy okazji pokazuje fucka Giertychowi. Obie postawy uważam za chwalebne i godne uznania.

– A ja się jednak zastanawiam nad drugim dnem. PiS ma zagrożoną subwencję. Wprawdzie poradzą sobie i bez niej, bo słyszałam, że mają się opodatkować: 38 zł miesięcznie od członka, pardon, głowy – akurat tyle, ile mogą stracić. Ale jak Kalisz przyniesie Kaczyńskiemu w zębach sto milionów, to mogą go w podzięce wystawić. Wprawdzie ostatnio mówili o wysokich wymaganiach, że minimum metr osiemdziesiąt, a Rysio ma metr sześćdziesiąt dziewięć, ale może dobre serduszko zrekompensuje kilkanaście centymetrów.

– Przy całej mojej, nieprzemijającej, sympatii do mecenasa Kalisza: prezentację ma on raczej nieprezycencką.

– Kiedyś wystarczało, żeby chłop był trochę ładniejszy od diabła...

– Ale to było dawno temu i tylko do ożenku.

– W temacie ożenku to kobiety miały jeszcze mniejsze wymagania: „kulawy, o jednym oku, byle w tym roku”.

– To był przejaw przemocy symbolicznej patriarchalnego dyktatu, na szczęście słusznie minionego.

– Prawda, dziś singielki przebiegają jak w ulgach, bo do „trzydziestki” jest przewaga mężczyzny. Ale wracając do Kalisza. Może go wystawi Czarzasty. Wprawdzie ma dużo kandydatek, ale ze swojej partii nie chce, bo po co ma sobie hodować konkurencję. Przecież Ogórek też kandydowała tylko dlatego, że była bezpartyjna. Gdyby Miller wystawił kogoś z SLD, kto zdobył-

by z 8 proc. – co w 2015 r. było realne – straciłby na jego rzecz partię. Więc wołał mizerię Ogórek.

– Zawsze była taka opcja, żeby sam wystartował. Szczerze mówiąc, uważałam wtedy, że to jego zarwany obowiązek. Żeby zacytować posła Łyżwińskiego...

– To źródło cytatu, którego dawno nie słyszałam...

– Prawda? Myśli posła Łyżwińskiego są powszechnie niedocenione, a był on źródłem wielu mądrości. Opowiadał mi kumpel z Samoobrony, jak jakiś pożar w burdelu odbywał się w sejmie, a Łyżwiński z olimpijskim spokojem sączył piwo za kratką. I ten mój kumpel mówi do niego: „Stasiu, przewodniczący już szósty raz na trybunę wychodził, ledwo wrócił z tefalenu, już jedzie do TVP, a ty tu

sobie siedzisz i browca wciagasz?!”. A Łyżwiński na to: „Założył se firmę, to niech zapierdala”. To rada, której powinni posłuchać wszyscy szefowie partii...

– Powinni, ale dziś już mało kto robi to, co powinni. Zwłaszcza w polityce. Słyszałaś o posłach piszących projekty ustaw, bo ja nie. A przecież parlamentarzysty to ustawodawcy, a nie uliczni bojownicy za wolność naszą i waszą. Są od stanowienia sprawiedliwego prawa. Ale wracając do Millera z Ogórką, to był prekursorem wystawiania ludzi spóźnionej partii na stanowiska, a ludzi z partii do wiatru.

– I wyznaczonym przez niego szlakiem poszedł Czarzasty cztery lata temu, namaszczonej Biedroni...

– Obaj w swojej strachliwej głupocie nie spodziewali się pogromu, choć Czarzasty już powinien. Wtedy szacowałam Biedronia na 2,5 proc., a nawet tyle nie dostał. Ale czy Kalisz by startował od Czarzastego – raczej wątpię, bo Włodek ma Biejątkę z Razem, a więc kandydatkę bezpieczną, która mu nie zagraża w dysponowaniu prawie 10 mln zł rocznie. A znowu Kalisz z PiS to byłoby trudne dla obu stron, choć cel uświęca środki.

– Ty go nie lubisz po prostu. Zmieniając temat: o olimpiadzie chciałam porozmawiać...

– No nie, kpisz sobie ze mnie.

– Właśnie, że nie. No dobra, trochę. O zjawisku kulturowym na marginesie olimpiady.

– Już lepiej. Słucham.

– Wiesz kto to jest Yusuf Dikeć?

– Nie ma pojęcia.

– Widzisz? A cały świat wie. To taki Turek, który zrobił błyskawiczną karierę w necie, bo zdobył srebrny medal w strzelectwie, strzelając z jedną ręką w kieszeni i bez żadnego specjalnego wyposażenia. Inni strzelcy wyglądają jak z filmu o wojnie przyszłości, a Yusuf miał zwykłe okulary z gatunku „twój stary” i żółte zatyczki do uszu; takie, co to wtykasz, jak twój stary chrapie.

– Nie stosuję, bo mam osobną sypialnię, a zresztą sztuczna inteligencja na pytanie o mojego męża Bolesława, mówi: „Postać fikcyjna stworzona przez Joannę Senyszyn”. Tak to jest, jak człowiek nie epatuje informacjami o życiu rodzinnym. Ale wracajmy do Yusufa...

– Też okazał się postacią cokolwiek fikcyjną. Facebook zalały doniesienia, że to mechanik samochodowy, który zaczął strzelać w zeszłym roku, bo musiał spuścić parę podczas rozwoju i jeszcze, że jak wystrzelał srebro, to powiedział do kamery: „Sharon, jak mnie słyszysz, to chcę odzyskać psa”.

– No i co?

– No i to wszystko nieprawda, wymyślona przez satyryczny profil facebookowy „The Sports Memory”, który wypisuje dla zgrywy takie zabawne historie. Teraz chłopaki z „TSM” pod postem o Yusufie dodali notkę: „To jest post satyryczny. Jesteśmy wyraźnie oznaczoną stroną satyryczną/parodystyczną”. Ale cały świat to kupił.

– No i kim niby jest ten cały Yusuf?

– Profesjonalnym sportowcem. To jego piąta olimpiada, choć pierwszy olimpijski medal. Ale generalnie ma tych medali na kopy, kilka złotych z mistrzostw świata i Europy, strzela od 2001 r. i woli koty od psów.

– Ja wolę psy, więc może dlatego kiedyś portal, też satyryczny, „Nonsensopedia” napisał o mnie: „Odprawia czarne msze w swoim przydomowym ogródku, za każdym razem mordując kota sąsiadów”. Ale co z tym medalem?

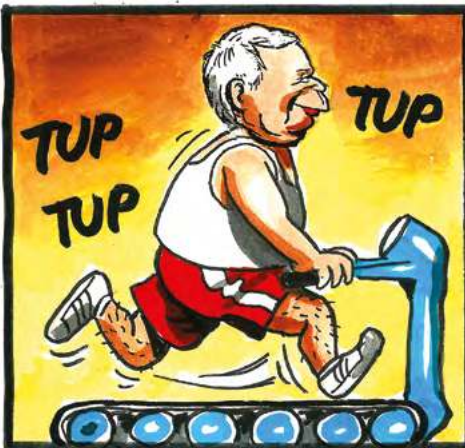
– Koleś zdobył go nie sam, tylko w mikście, czy jak to się tam nazywa, z kobitą, Seval Ilaydą Tarhan. Pies z kulawą nogą się o niej nie zająknął, bo facet strzelał z ręką w kieszeni.

– A ty mówiłaś o minionym patriarchalnym dyktacie. Ale kult dużego penisa chyba się skończy po tym, jak Anthony Ammirati, nadzieja Francuzów na medal w skoku o tyczce, nie awansował do olimpijskiego finału, bo na wysokości 5,70 stracił poprzeczkę genitaliami.

– Szacun.

senyszyn@wp.pl, wolklaniewska@wp.pl

PRZYGODY JARKA NIEZDARKA odc. 210



Rys. RYSZARD DĄBROWSKI